





Digitized by the Internet Archive
in 2025

POWIEŚĆ O DUSZY POLSKIEJ

TEJŻE AUTORKI:

DUSZA — Opowiadania. Kraków 1907.

GROMNICE — Powieść. Kraków 1907.

POŚLUBIEŃCY BUNTU — Opowiadanie.

Kraków 1909.

MARJA ZABOJECKA

POWIEŚĆ
O DUSZY POLSKIEJ
OJCOWIE

WARSZAWA 1918 KRAKÓW
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE
MAZOWIECKA 12, STARE MIASTO 11, MARSZAŁKOWSKA 143

Printed in Poland

Przedruki, nieuprawnione przez autorkę, wzbronione.
Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przeróbek
zastrzeżone.

Copyright by Mary Zabojecka nineteen hundred eighteen

2151

Drukarnia Naukowa. Warszawa, Rynek Starego Miasta 11.

Geprüft und auch für die Ausfuhr freigegeben. Presever-
waltung Warschau, d. 7/IX 1917. T. № 7132. Dr. № 246

...zbliża się do mnie i pyta, z jakich narodów jestem człowiek: odpowiadam, że z nieszczęśliwego.

Rzecz mi: to zapewne Polak jesteś...

(Dziennik podróży Józefa Kopcia, 1810 r.).

Głęboko, pod falą, która zatopiła wszystkie dotychczasowe loty narodu ku wolności, trwa dusza polska. Stamtąd daje o sobie wiadomość.

W tragicznej powieści zapasów naszych o byt żyje niezmożony duch, niczym niezduszone łaknienie swobody. Alegorja o Hiramie, przeniesiona przez Łukasieńskiego jako symbol do Polski, życiem jest tam, pod falą. Napadli Hiram, budowniczego świątyni, trzech zdrajczy-czeladnicy; ranili potrzykroć u wrót południowych, wschodnich i zachodnich. Padł. Lecz następcom swym przekazał w najpóźniejsze czasy sprawę pomsty i odbudowania z gruzów świątyni.

Trwa przykazanie. Jeśli Nowosilcow mówił, że Polakowi „nie można pozwolić ani na jeden moment wytchnąć w niedoli, aby z tego zaraz nie skorzystał i nie chciał być niepodległym“, prawdę mówił i powiedziałby jeszcze prawdę, dodając, że wśród oceanu krzywd Polak ku niepodległości żegluje. Mówił i powiedziałby prawdę mianowicie o pewnej rodzinie duchów, poprzez

wieki jednej, mimo różnic czasu, stanu, wierzeń i gestu; mówił prawdę o nieprzeliczonej rodzinie krzyżowców wolności, jej żołnierzy, chorążych, siewców i skaldów.

Z okrzykiem: Jezus Marja! jako konfederaci pójdą na śmierć i katusze.

Jako Reyteny nastawia Jezierskim pierś swoją, by deptali po niej, gdy nastawia się „za cześć i swobody“ narodu.

Przez usta Sołtyka biskupa powiedzą: „wolałbym ostatek dni moich spędzić w ciemnym lochu, mieć ręce obcięte, utracić raczej nawet życie, niż podpisać wyrok podzielenia mej ojczyzny“.

I czy wdzieją na siebie świętę Kościuszkowską, czy mundur legionisty; czy „gdy Bóg powierzył im honor Polaków, jednemu oddadzą go Bogu“; czy wprost od kopyta pójdą „sposobić spóółstwo“; czy jako promieniści i filareci pokuszają się szerzyć „bezrozumną“ narodowość polską; czy zbiorą się w łozach wolnomularskich lub w pałacu Łazienkowskim; czy z rozesańcznych okopów głos podniosą; czy jako szarzy emisariusze tropieni i wytropieni zawisną na szubienicach lub umierać pójdą na posielenie; czy zaciągną się pod znak Ściegiennego; czy wyśpiewają krwią rapsod 63 r.; czy pod ziemią przygotowywać poczną czas nowy, znacząc jego pochod tradycyjnemi już stacjami męki:—rodzina to jedna.

Nie kłóć się w niej wcale fijolety biskupie z bluzą robotniczą, świetny mundur księcia Józefa z szarą świtką poleskiego chłopca. Dziś za kołysze wicher proletarjackimi zwłokami, jak wczoraj na stokach cytadeli kołysał ciałem Kociszewskiego czy Traugutta. Nie kłóć się mowy ich, jakkolwiek jedne lśnią wspaniałym polorem kruszczu, polorem szlachetnej kultury, inne dzwonią tylko twardym i ostrym jak kamień słowem. I nie kłóć się wiary ich, bo jakiegokolwiek są, choć z pozoru nic niema w nich wspólnego, są jednym, są wiarą. „Różne dary, ale jeden Duch, różne posługi, ale jeden Pan!“ Drogi i środki ich są różne; cel—jeden: wolna i szczęśliwa Ojczyzna. Język, którym tłumaczą wiarę swoją, jest rozmaity, argumenty, któremi ją popierają, z odmiennych płyną źródeł; obraz szczęśliwej Ojczyzny nie w tej samej widzą postaci:—lecz w cokolwiek wierzą i jakkolwiek się tłumaczą, wiara ich ma źródło w miłości tej samej — żarliwej i nieugaszanej.

Gdy wsłucha się zaduma w tę ciemną falę, jaka nakryła loty i upadki nasze, usłyszysz z głębi chór dziwnych szeptów. Przędzie się tam cudowne i może najbardziej złożone, najciekawsze i najwyższe życie duszy polskiej, szepcze jej nieśmiertelna tajemnica. Tam, przez wiek przeszło, mówi dusza polska głosem swoim istotnym, tam wyjawia swoje Słowo,—Słowo, którym trwa, rośnie i uskrzydla się na wieki. Miłość je rodzi, wiara daje mu siłę. Męka na imię jest żywo-

tom, które na polskiej ziemi los-guślarz w koło
tych mocy wwiódł. W tym zaś czarów pełnym
kole wieści się baśń straszliwie piękna, baśń
o człowieku, który, gdy kochał—umierał, a gdy
umierał—żył. Polska to bajka...

I.

„My giniemy, Ojczyzna żyje; my żyjemy
— Ojczyzna ginie...”

Ta jest prawda, która u samego progu walki o wolność narzuca się duszy polskiej z żywiołową, z nieodpartą mocą.

— Trzeba zginąć! — mówi do zgromadzonej garstki niezbyt ufego żołnierza regimentarz Pułaski, starosta Warecki. — „Dałby Bóg nieszczęściem naszym kupić Ojczyźnie szczęście jej!” — mówi jeszcze.

Wyboru innego niema.

Tą determinacją na śmierć, tą niechęcią wchodzenia w jakiekolwiek targi z losem, jasnowidzeniem, że taki, a nie inny być on musi, gdy atmosferą duszy jest „odważna wspaniałość”, tą właśnie odważną wspaniałością, którą podkreśla starosta Warecki, odcina się odrazu rodzina polskiej irredenty od tłumu, który „zdrowie nad wiarę i wolność szanuje”. U samego progu walki o byt narodu stają naprzeciw siebie dwie rodziny dusz: jedna, dla której wiara,

Ojczyzna, cnota i wolność są sensem życia, jego wartością, najpierwszym jego warunkiem, do istnienia niezbędnym; i druga — dla której słowa to są, mniej lub więcej ponętnie brzmiące, czasem zgoła obojętne, miłe możliwości, gdy są, i niemożliwości, gdy trzeba ich bronić lub walczyć o nie. Są to dwie rodziny dusz, które przeciwstawiać się sobie będą przez cały wiek i dłużej i przeciwstawiały się sobie zawsze na owej niezmierzonej przestrzeni, którą bólem, miłością i ofiarą wyorał człowiek. Tu odetną się od siebie natychmiast i tak już odcięte, obce sobie i obcą jakoby mową do siebie mówiące, zachowają się do końca.

Powie do tamtych regimentarz Pułaski: „...kiedy pewnie sił waszych pomocą utrzymać życia naszego nie chcecie, chciejcież pierzchliwą ucieczką niestrasznej nam przyczynić śmierci!“...—i pierzchną. Tylko coś w nich nie przebaczy owym, że nie pierzchnęli wraz z nimi, że uciec musieli sami. Świadomość, i może nie świadomość, a mgliste odczucie, że ci ważący się są inni i piękniejsi, będą chcieli zgłuszyć w sobie, jak się da.

...„Oto my, co święte zamysły, bo sami najlepiej chęci nasze znamy, nie interesowane, a tylko samym prawidłem Boga i Ojczyzny miarkowane, przedsięwzięliśmy, teraz za zbójce, łotry, buntowniki, złoczyńce, zgoła za ludzi na wszystkie występki zuchwałe wyuzdanych bez sądu osądzeni, bez władzy potępieni jesteśmy...“

Tak skarży się starosta Warecki. „Osądzili“ ci, co pierzchają, a władza ich mocna jest jak sam instynkt życia. Osądzając, kierują się nieświadomie tylko owym właśnie instyktem, który „zdrowie chroni“, — tamci zdradzają go. Nazywano nieraz kochających zdrowie i codzienne nawyki spokoju nikczemnikami, zdrajcami, plemieniem Lucypera... Szatan wszakże z trudnością dojrzałby w tej trwożliwej, nieświadomej i ledwie dyszącej słabiznie własnej, tęgiej ponoś krwi.

Tak więc już na pierwszych kartkach powieści, którą opowiada o sobie dusza naszych krzyżowców, zapisuje się przedział między nią a wszystkim, co nią nie jest, zapisuje się jej głuche i ciężkie odosobnienie. Cisza, która się zwolna koło niej czyni, obciąga ją nakształt czarnego obłoku. W takiej ciszy mocniej bije serce i gdy ze „szczęśliwego“ świata wpadnie w nie okrzyk „łotry, złoczyńce“ — słyszy się go także mocniej i inaczej, niż na rynku. Od okrzyków owych cisza, która dla niejednego stawiała się jego ciszą, jedynym domem i schronieniem, cisza ta rwie i strzępi się, i to, co przed chwilą było jeszcze obłokiem, zwiśnie nagle jak żebraczy łachman.

To jest chwila, dająca duszy jej wieczystą samotność, niezatartą, niezapomnianą na wieki.

I jest to także na drodze ku celi więziennej, wygnaniu lub nieznanej mogile pierwsza stacja, na której człowiek, z natury wolny, za-

myśli i zastanowi się nad osobnością swoją. Jest to chwila poznania, i gdy dusza obejmie je całe takim, jakim się narzuca, wychylą się zeń godziny życia, godziny konieczne, te, o których się mówi, że są przeznaczone, od których ująć nie sposób, wychylą się jedna po drugiej, wszystkie aż do ostatniej, sypiącej tułaczy czy bezimienny grób. Takiej to chwili, gdy właśnie uderzyły w duszę strzały: łotr, złoczyńca! starosta Warecki przeży się i woła: „dla czego obierajmy albo haniebną, okrutną tych czasów nagrodę cnoty, śmierć przez kata, albo przez rycerską na placu dzielność... Idźmy naprzeciw widocznej śmierci!“... Takiej także chwili zapewne modlili się konfederaci, jak to czytamy w „książeczce do nabożeństwa w czasach konfederacji Barskiej ułożonej“: „Panie! wszakże sam Piotr potrzykroć zaparł się Ciebie. Daruj winy wszystkim braciom naszym, co się nas i Ciebie zaparli i zapierają. Niech ich brzemię skruchy przycisnie, aby nadal nie byli narzędziami wroga ich kraju, katami, bratobójcami krwi własnej!“

Całość Ojczyzny—mówi Pułaski—„na garłach i krwi naszej zależy“. Jakże więc gardła i krwi żałować? Zwyciężyć albo zginąć. Nie paktować, nie poddać się, nie stchórzyć. Gdy syn jego, starosta Zazuleniecki, wzięty w Berdyczewie, czyni t. zw. „reces“ i za recesem tym jest wypuszczony, Krysiński i podczaszy litewski ledwie wyprosić go mogą ojcu. „Chce go „krygzrechtować“, to jest sądem wojennym osą-

dzić „za to, że reces podpisał i czemu w więzieniu dłużej nie siedział“ i niewolę ks. biskupa Krakowskiego i innych za przykład stawia. Zdarzy się później, że tenże starosta Warecki przez chciwych władzy o zdradę osądzony, więziony przez seraskiera tureckiego, oko w oko spotka się z możliwością cofnięcia się z drogi, zaszanowania lat sędziwych i zdrowia. Cóż uczyni? Z więzienia pisze do synów o niewinności swojej, o bezzasadności wszelkich przeciw niemu oskarżeń, zaklina „by zapomnieli o oszczerstwach, przebaczyli jego przeciwnikom i uwiecznili pamięć niewinnego ojca przez godne siebie czyny“. Jakoż umiera w więzieniu.

Niewola—śmierć... Refren to niemal jakiejś zgrozy pełnej ballady... To tylko droga się wydzwania, po której Polak chodził, by wolność odnaleźć. Ktokolwiek żył i zmarł tam, pod falą, czynił i umierał, jak stary Pułaski. Walka, niewola lub śmierć—i lepsza po stokroć śmierć, niż niewola.

Do ks. Sułkowskiego pisze Repnin: ...„Podaj się natychmiast wmc pan ze wszystkimi adherentami najjaśniejszej pani... bez najmniejszego oporu; albo też rozpuść wszystkich każdego do własności swojej, a wmc pan sam, albo do ziem swoich, albo do Poznania udaj się. Ażeby zaś w drodze i na miejscu mógł być wmc pan w zupełnym bezpieczeństwie i bez bojaźni, potrzeba mi dać na się rewers, jako więcej nie będziesz wmc pan w podobne mie-

szał się intrygi zuchwałe“... Cóż odpowiada ks. Sułkowski? Odpowiedź jego, niepozbawiona wytwornej ironji, zrazu gładka, wykwintna i dworska, a uderzająca nagle w ton zgoła odmienny, jest nadzwyczaj ciekawym dokumentem psychologicznym. „Rozumiałbym zawsze sam o sobie, —pisze Sułkowski— że nie czynię zadosyć opinji w. x. m. o pocziwym moim charakterze, gdybym w tych krytycznych okolicznościach, w które wmc pan wprawileś ojczyznę moją nie-szczęśliwą, nie dał jasnego dowodu przez moją akcję, żem gotów jest dla onej całości poświęcić dobra moje i życie moje. Obrona narodu mojego i praw ojczystych jest u mnie najpierwszą powinnością... Tak mi się zdaje, że czynię zadosyć sprawiedliwości serca i rozsądku wmc pana, mimo wszelkiego sobie pochlebstwa, tak dalece, że (odłożywszy na stronę stan i rozpoczęcie wmc pana) jako człowiek rozsądny powinienbyś uznać chwałę memu postępkowi. Bo w samej rzeczy, jaką, proszę, mógłbyś wmc pan mieć myśl o tym obywatelu, któryby ojczyznę zdradzał, a dla nadziei podłego jakiego zysku i nagrody, zapomniał o tym, co winien swojemu honorowi i swojej nacji? Należec to będzie do mojej kochanej Rzeczypospolitej, która jest tylko sama moim naturalnym i jedynym sędzią, decydować czasu swego, czyli co złego uczyniłem, że dosyć nierychło śpieszę się łączyć do jej obrony. Wmc pan, który niczym u mnie być nie możesz, tylko jedynym posłem, i któryś po-

deptał i zgwałcił u nas prawo narodowe, obawiaj się słusznie *resentimentu*, któryś zarobił wmc pan w sercach naszych i nie spodziewaj się wmc pan, ażeby obywatel taki, jak ja, chciał się podpisać na rewersie podłym, który mi wmc pan podpisać radzisz. Odbijać siłą własną gwałt i być zagrzebanym w popiołach i ruinach ojczyzny, to jedyne prawa, których słuchać mi się godzi i które rezolwuję się utrzymać aż do ostatniego życia mego momentu“.

Czuć w liście tym, że Sułkowski przede wszystkim sobie wyjaśnia stanowisko swoje, sobą i sprawą jest zajęty. Wszechwładny Repnin staje się nagle czymś przypadkowym, czymś, co wiatr nawionął i co trzeba sobie z drogi uprzątnąć. Ks. Sułkowski spełnia tę czynność z wielkopkańskim gestem. „Wmc pan, który niczym u mnie być nie możesz“... powiada. Nie rozprawiam się z tobą, z sobą i z rzeczpospolitą moją się rozprawiam... Gdy rzeczpospolitą wspominał, uprzytomnia sobie nagle, z całą swoją dla niej miłością, oblicze wroga. W mgnieniu oka staje się groźny, wyniosły, patetyczny. Rewers, który mi podpisać każesz, jest podły, ty sam jesteś nikczemnością i gwałtem—ty drżyl! Ja—ślubuję!...

Jak śluby brzmią ostatnie słowa listu Sułkowskiego i powtórzą je jeszcze nieraz, jakkolwiek w ujęciu trochę odmiennym, ludzie jego rodziny. Maluje także ten list z żywiołową, aż zadziwiającą w piśmie tak kunsztownym, pro-

stotą, żywiołowo układający się stosunek ducha wolnego do czegoś, co staje nad nim, jako jego władza, a jest przemocą. „Wmć pan, który niczym u mnie być nie możesz“... Zarówno wtedy w 1768 r., jak w 1905 r., gdy w obliczu sądów wojennych mówiono: „jestem żołnierzem rewolucji,—tam jest władza, której rozkazów słucham“... Niosą dzieje nasze coraz nowe, nigdy niemilkające echa ślubów przedstuletnich i niosą także owo niezmienione: „Wmć pan, który niczym u mnie być nie możesz“...

Ze wspomnień rewolucji naszych znana jest dobrze metoda „wpływania“ na rewolucjonistę bądź za pomocą groźby bezpośredniej, bądź też pośrednio, przez zastraszenie rodziny, krewnych, przyjaciół, kogokolwiek bądź zresztą z bliższego otoczenia, byleby wolnym był od rewolucyjnej niezłomności i perswazjom czy strachowi przystępnym. Metoda to stara bardzo—używa jej i Repnin. Do niezłomnego ks. Sułkowskiego usiłuje trafić przez brata jego, Antoniego. Ten na fali żyje i postanowił z nią płynąć. Radzi rewers wystawić, pomnym być dobroci imperatorowej, do jedności braterskiej, przez ojca nakazanej, wzywa... I tu w oczach naszych rozwiążą się silne węzły rodzinne w imię czegoś od nich mocniejszego. Prawda, przeżyta w Ewangelji, jawi się jakby nowa, jakby tej właśnie zrodzona chwili. „A wyda brat brata na śmierć i ojciec syna; i powstaną synowie przeciw rodzicom, o śmierć je przyprawiać będą“.

Rozwiążą się tu w oczach naszych mocne, mimo różnicy charakterów, węzły rodzinne i stanie się obcym dla brata brat. A i to smutne, to typowe zdarzenie powtórzą dzieje nasze po tysiąc-krotnie.

...„Podziękowałbym był za wszystkie jej (imperatorowej) dobroci, a przeniósłbym gorliwość moją, którą przez wszystkie względy winieniem ojczyźnie mojej. Co się tyczy rewersu, o którym mi wmc pan nadmieniasz, oświadczam to wmc panu, że... żadną miarą dać go na siebie nie mogę i że nie godzi się go ode mnie wyciągać. A jak poświęcić życie moje, a zardować dobro za całość ojczyzny, bronić praw i prerogatyw onej, były to reguły i maksymy, które śp. ojciec nasz wpajał w nas od dzieciństwa i które powinny składać charakter każdego obywatela; przenikniony wskroś temi obowiązkami, a wzbudzony przykładem większej części narodu do odpierania gwałtu przez siłę, osądziłem: że nie godzi się dłużej znosić jarzma ohydneho, które jmc pan Repnin od dwu lat na nas doświadczył w nieszczęśliwej naszej nacji... Będzie to powinnością mojej rzeczypospolitej, która jest sędzią moim właściwym i jedynym, sądzić o tym swego czasu, jeżeli gorliwość moja przyzwoitą była do obowiązków. Wmc, panie apostołe, który mi braterską wspominasz jedność, tak ściśle nam zaleconą, chciej zważyć, że gdyby ten, który dał wmc panu życie, mógł był to przewidzieć, że wmc pan masz

się stać najemnikiem ojczyzny, udusićby kazał
wmc pana zaraz po urodzeniu. Wierz mi wmc
pan, że ta absolutna zwierzchność dzisiejsza, ten
poseł pełnomocny, którego się wmc pan prze-
sławiasz dobrociami, nie może tylko gardzić
wmc panem, widząc, że tak jawnie zdradzasz
rzeczpospolitą swoją;... wnijdź przeto wmc pan
(póki jeszcze czas jest) sam w siebie, zechciej
mnie naśladować i pokazać się być godnym
tej krwi, z której pochodzisz, a odtąd zaraz mi
będzie słodko wmc pana nazywać imieniem mi-
łośnym i dawać dowody, że serce moje jest
pełne ku wmc panu przywiązania i szacunku“...

... Zaraz mi będzie słodko wmc pana na-
zywać imieniem miłośnym—dodaje ks. Sułkow-
ski pośpiesznie, jakby w tych tak miękkich i tkli-
wych słowach zatopić chciał już teraz pamięć,
że musiał nazwać brata twardym imieniem po-
gardy. Ale rozdział już się uczynił i „imię mi-
łośne“ często, bardzo często zamrzeć musi w ser-
cu tam, pod falą, na zawsze.

Smutek — błady i samotny — ściele się od
pierwszych zaraz kroków na drodze całej tej ro-
dziny, która szła i idzie po radość dla wielu.
Nie jest to rozpacz: „wszak nie rozpacz w nas“
—powiada stary Pułaski—„bo dawno wszystko
przrzekliśmy i obraliśmy, ale raczej miłość
Boga i narodu do odważnej wspaniałości duszy
nas prowadzi“... Nie rozpacz to więc. A jednak,
zjawiska, o których była mowa: niemożność „od-
stąpienia cnoty“; pewność męki, czy śmierci;

sam na sam przebywanie z obrazem jej i troską o szczęście narodu; widok i obawa zdrady, bo „co się u nas zdrady namnożyło, trudno opisać i owo zgoła, że i tego wieku judaszów dość, na którychbym się nigdy nie spodziewał”;—nawet wszystko zaś uczucie osamotnienia; przeświadczenie, że pali się płomień na jednej jakiejś polanie ojczyzny, że pali się ogniem jakiejś części narodu, garści „zbójców, łotrów, złoczyńców, buntowników”; świadomość, że niema rzeczy cięższej nad przywrócenie wolności komuś, dla kogo jest ona tylko stanem innym od tego, w którym już przywykł trwać, a więc stanem obcym i pełnym niepokoju;—wszystko to razem składa się na ciężar bez nazwy, na brzemień bez imienia, chyba, że się je określi ołowianym imieniem smutku. I ta drużyna, która nie ucieka ani przed pięścią siepaczy, ani przed śmiercionośną kulą, ani przed zatrutemi pociskami własnych braci, drży przed owym wrogiem, zaczajonym wewnątrz duszy, jak drży dziecko zbłąkane w kniei przed skrzącemi się w ciemności ślepiami wilka. Drży przed wilczemi kłami smutku, aby nie podcięły jej mocy, nie podkopały niesamowitą swoją robotą fundamentów duchowego bytu. We wspomnianej „książeczce do nabożeństwa” znajdujemy wyraz tak przejmujący tego właśnie smutku, że wobec wymowy jego cichniemy jak w obecności mogiły, która dopiero co przysypała jakieś blizkie, a śmiertelnie zmęczone żrenice. Zdaje się, że patrzyliśmy na

nie przed chwilą, że wyjrzą na nas z pierwszego zakrętu ulicy. Tak dużo, niepojęcie dużo jest w Polsce zabitych przez smutek oczu!...

„W przygodzie“ zwie się owa modlitwa. Jakoż w przygodzie przedewszystkim zachować trzeba było siebie:

Częstochowska Pani, o nasza,
Z nieba mnie wspomóc racz,
Ot biedna-m dziecina lasza,
Zawodzę cichy płacz.

Kiedy kościół duszy, co widny
Jak źródło, do dna, w głąb,
Zamąci brzydki, ohydny
Pocisków chciwych ząb—

O, to ciszy trzeba, Anielska!
W łaskę mię swoją wtul,
Abym jak w grzyby i w zielska
Nie porósł w własny ból!

O, ja mam moc! Ciężar na ramię
Ogromny nałoż mi!
Lecz niech mnie tylko nie złamie
Ta gorycz cichej łzy!

Częstochowska Pani, o nasza!
Od smutku ty mnie chroń!
Bo mnie do kosy, pałasza
Potrzebna jasna skroń!

Rozpocznie także upadek konfederacji nie-
skończony szereg owych *exulów*, których dzieje
na wschodzie i na zachodzie pisać się będą
cały przeszło wiek. Zdejmie Franciszek Pułaski,
konfederat Brzeski, bohater z pod Częstochowy,
mundur „piękny, bogaty, huzarski, srebrem la-
mowany“, mundur, którego nie zdejmował nigdy
prawie, i przywdzieje „szarą jakąś taratatkę
i prostą, granatową czapkę z siwym barankiem“...
Dawny, świetny strój wróci już tylko dla repre-
zentacji, jako wspomnienie chwały minionej. Tu
mają początek owe rozmowy wygnańcze, o któ-
rych pamiętnikarz Rogowski powiada, że „nie-
zawsze były wesołe, jak zwyczajnie *exulów*, rzu-
cających kochaną ojczyznę... a dla ojczyzny tej
złe następowały czasy“... Tu po raz pierwszy
sprawa wolności stanie się sprawą świętą i glo-
rją świętości wyzłoci myśli i czyny jej aktorów.
Niewolnika, zabranego pod Brześciem, Pułaski
puszcza wolno. Byli jeńcy wstępują napowrót do
szeregów moskiewskich, mówiąc: „nasi generało-
wie uczą nas, że gdy Polacy odwołują się do
praw ludzkości, jest to głupotą polską, że nie
zabijają naszych żołnierzy, a więc sami sobie
winni. My o ludzkość nie dbamy, bo mamy tyle
ludności, iż nie zważamy na ludzi i bierzemy
tyle rekrutów, ile zechcemy“... Lecz właśnie do
praw ludzkości poczęli się odwoływać Polacy
i tu, w konfederacji, ma źródło ów pęd dziejo-
wy, który, wszczęty przez garść „łotrów i zło-
czyńców“, rzucać będzie polskiego żołnierza na

wszelki w obronie wolności sypany szaniec. „W narodzie naszym obrzydzenie jest do wszelkiej tyranji — mówi do Franklina Pułaski — a pryncypalnie do cudzoziemskiej, więc gdzie tylko na kuli ziemskiej biją się o wolność, uważamy oną jakby naszą własną sprawę“... Zwycięski przed chwilą Brześć za odwróceniem ręki stanie się stacją krzyżową gnanych na wschód żołnierzy wolności i niejednemu z nich, w chwilach najbardziej sierocych, stawia przed oczyma zamordowaną wczoraj godzinę szczęścia. Długim, nieskończonym szeregiem potoczą się kibitki wygnańcze i gdy w r. 1767 pierwsza z nich powiezie jako pierwszego, i tylko do Kaługi, Józefa Załuskiego, biskupa, to następne pomkną dalej i coraz dalej i zaledwie w kilka lat później, podając memoriał królowi Stanisławowi Augustowi, Thesby de Belcourt wymieni 5290 konfederatów nieuwolnionych. Rozewrą się wrota Tartaru polskiego, i ktokolwiek wstąpi w nie, za błogi sen o piekle poczyta Dantejską pieśń. „Nazywają kraj ten czyścem katolików—mówi Thesby de Belcourt;—co do mnie, nazwałbym go, i mniemam, nazwałbym go słusznie, piekłem wszystkich ludzi honoru i rzetelności, których spotyka nieszczęście tego zesłania; rajem zaś—łotrów. ¹⁾ Pozna człowiek wolny, co to jest nie-

¹⁾ „On nomme ce pays-là le purgatoire des Catholiques pour moi, je crois pouvoir le nommer, avec raison, l'enfer de tous les gens d'honneur et de probité, qui ont le malheur d'y être envoyés, et le paradis des scélérats“.

znany mu dotąd nawet z nazwy „etap“, pozna niewolnik, co to jest tęsknota. Tam, w kraju, zamajaczy jeszcze na chwilę wielki cień Reytena, rozlegną się wieszczce słowa: „depczcie to łono, które się nastawia za cześć i swobody wasze“ i przez leżących na straży honoru Reytenów przestępywać poczną Jezierscy...

...„Już też jawnie o tym i w Rosji ogłoszono, że trzy znaczne części oderwanych od Ojczyzny naszej krain Cesarskiemu, Pruskiemu i Rosyjskiemu dostały się państwu. Nie mogła się ta nagła w myślach naszych pomieścić w Ojczyźnie naszej odmiana“...

Padła wieść w serca pierwszych wygnańców. Nie mogło im się „w myśli pomieścić“, że zginęła Rzeczpospolita...

II.

W opowieści Karola Lubicza Chojeckiego „Pamięć dzieł polskich i niepomyślny sukces Polaków” odsłania się jedna z pierwszych dróg tej doli polskiej, której na imię jest niewola. Węzłowy punkt szlaku owego zwie się: Zdrada. Wytrzymano w Krakowie szturm i oblężenie dziesięciodniowe (1768): —za sprawą zdrady wróg wchodzi do miasta. Fakt ten wstrząsa uczuciem, rozpala wyobraźnię. Ktoś z grona uwieczonych konfederatów, ktoś bezimienny usiłuje zastanowić się nad dziwnym zjawiskiem i oto przekonywa się, że w dziejach było to zjawisko powszednie. W naiwnym i bezkształtnym wierszu woła:

Z Zdrado! jakżeś wielkie sprawiła zmieszanie!..
...Od wieków sztuki twoje na świecie panują,
Które i teraz nasze czynności rujnują...

I opierając się na przykładach, myśli najbliższych, a może także najbardziej jej znanych, przygodny wierszopis przypomina:

Tyś Adama i Ewę z raju rugowała,
Gdyś się zakazanego jabłka dotknąć dała,
Tyś, niecnoto, Samsona pozbawiła siły
Wtenczas, gdy go Dalili pieszczoty uśpiły.
Tyś Saula na Dawida zwaśniła osobę,
Chcąc królewską zdjąć z głowy onego ozdobę;
Jezusa niewinnego wydałaś na stratę,
Chcąc zdrajcy Judaszowi wymyślić intratę.
I w terażniejszych czasach figlów nie przestajesz
Wyrządzać, kiedy w takie czynności się wdajesz!

Zdrada — siła w sobie — coś tajemnego, a mocniejszego nad Ewę, Dalilę, Saula i Judasza, którzy w tej interpretacji sami zdają się być w jej rękach bezwolnym tylko narzędziem. Interpretacja to charakterystyczna. Znał naród wprawdzie zdradę, wiedział, że bywali i wśród niego zdrajcy, lecz w poznaniu tym mieściła się zawsze jeszcze świadomość o wyjątkowości zbrodni tak ohydnej w łonie jego własnym. Żyła ta zbrodnia z woli jakoby jakiejś mocy tajemniczej i niesamowitej, jawiła się nagle i znikwała, nie wschodziła ze słońcem każdodziennym. Znał naród powieści i przypomnienia o zdradzie — z przeżyć własnych, z przeżyć cudzych; wiedział, że i teraz po jego zagonach ślizgać się poczyną coś szpetnego i ślizkiego, jak gad, że Zdradą się to szpetne zowie i z judaszowego jest nasienia. Nie spotykał się jednak dzień w dzień z twarzą zdrajcy; nie drżał przed nią na ulicy, w kościele, we własnym domu; nie

dławił się trwogą zdrady, połykając codzienną strawę.

Targowicy jeszcze nie przeżył. Zwolna, zwolna urośnie i rozwinie się w narodzie o Judaszu polskim wiedza, wiedza o niewoli, strachu i spodłonej bezsile. Wylęgnie się straszliwa hydra wszędzie, gdzie zakwitnie czyn, i nieraz owoc jego całkowity pożre głodem swoich stu paszcz. Zwolna, zwolna stanie zdrajca u progu domu, na wylocie ulicy. Ucałujesz go, jako brata, jako gościa posadzisz przy stole swoim: — Zdrajca jest. Nie będzie już myśl goniła obrazów bezlicej Zdrady po zaułkach legendy dziejowej. Wryje się w oczy twarz zdrajcy, zachowa pamięć po wiek wieków najohydniejsze w Polsce nazwisko. A gdy pamięć przejdzie dziedzinę, na której przez stulecie przeszło ręka wroga siała jadowite ziarno niewoli, struchleje... Gdyż legion jest nazwisk w Polsce najohydniejszych, siła jest w Polsce Judaszów... — A pamięć pamięta.

Przez Skalmierz, Iwaniska, Staszów, Nowe Miasto, Opatów, Zawichost, Zaklików, przez Rozwadów, Zasław, Sałtyków i Kamionną pędzona jest partja jeńców krakowskich. Zatrzymają się w Kijowie: zapoznają się z więzieniem moskiewskim. Po ośmdziesięciu i dziewięćdziesięciu stłacza się ich w jednej izbie więziennej, dwa dni przetrzymuje się ich „bez jadła wszelkiego“. „Po trzech tygodniach siedzenia nie było dnia, żeby w jednej izbie pięciu lub ośmiu

nie umarło, z którymi sypiać i nocować żywi musieli po kilka dni... Po trzynastu tygodniach z sześciuset przeszło ludzi przeszło połowa zmarła“... Z Kijowa trakt wiedzie do Kazania i od tego punktu gromadka wygnańców spotykać będzie coraz to inne partje, podobnym tutaj zagnane losem. Dziś — będą to pojmani na Wołoszczyźnie, jutro — jeńcy z pod Baru. Zobaczy się twarze znajome, ludzi w kraju znacznych. Tu, w Kazaniu, uderzy w gromadę, w której rychło los wspólny, los wygnańczy zatarł przedział hierarchji i wyczarował nowe uczucie, uczucie bratniej solidarności, ból także nowy. Bo oto ta dopiero co zrodzona wspólnota, źródło pociechy, a może i siły na tułaczym gościńcu, zerwana będzie brutalnie, nagle i niespodzianie. Podzielią szeregowców; popędzą jednych do Orenburga, drugich do Tobolska. „Wychodzili już do marszu — opowiada Chojecki — z płaczem rozłączając się z nami, którym i my sowicie dopomogliśmy takowej tragedji, a tak wyprowadziwszy ich za miasto i pożegnawszy ich mile, powracaliśmy smutni do swoich kwater...” Wystąpi tu na widownię los-nauczyciel, los-pedagog i poradzi: patrz na nieszczęście cudze, większe jest od twego... I Chojecki zapomni, że sam, wraz z swoją partją, wyprawion będzie do Tobolska, zapomni o własnym trudzie, niewygodach i znękanju, a pomyśli, cały ogarnięty współczuciem dla tamtych: „Smutni by-

liśmy z ich rozłączenia, uważając tak daleki ich marsz, do którego piechotą zabierali się“...

Kijów—Kazań—Tobolsk!... Tobolsk, w którym więzienie dla przyszłego niewolnika budował w ciągu piętnastu lat niewolnik-Szwed, padając pod murami z trudu, głodu i wycieńczenia! Kijów i Kazań, magiczne dźwięki, którym echo wołało: chwała!... Skądkolwiek bądź gnany będzie więzień polski, na ścianach cel kijowskich, kazańskich i tobolskich odnajdzie nazwiska braci. Zajdą mgłą obrazy dawnych zwycięstw: — przed oczami wyrośnie, wszystko zakryje wizerunek odmienny, nowy—obraz po wolności sieroctwa. Ale nietylko łza, i ból, i żal spłyną w duszę ze świadomości, że zginęło coś bezcennego, wartość, której utraty nic nie zrównoważy i nic nie zatrze. Że tej właśnie wartości zbrakło, spręży się moc, która powie: odzyszczę! i już placówki swojej nie opuści. Coraz gęstsze będą napisy, znaczone polską ręką po więzieniach moskiewskich, coraz tłumniejsze będą gromady, pędzone wygnańczym szlakiem:—ktokolwiek jednak—dalszy—napisy odczyta i ludzi, którzy tędy szli, wspomni, powie, jak później Giller: „wspomnienie umacniało mnie na tę trudną drogę, po której nie pierwszy idę“.

Pierwsi z siebie, a może i z głębokiej religijności, która długo jeszcze dla nieszczęścia polskiego będzie źródłem otuchy, czerpali siłę. Trzeba jej było wiele. Nietylko na ciężki marsz

i niewygody podróży, nietylko na przyzwyczajenie myśli, by przemyślała: jestem niewolnikiem! —ale na przymuszenie instynktu, oczu, nerwów, by nauczyły się znosić widok człowieka, który był wolny. Że był wolny, a już nim nie jest, dowodzić mu pocznie po swojemu ręka gwałtu. Kapitana Moczydłowskiego knutują w Tobolsku. Chojecki patrzy na to, patrzą inni. Pawła Skrelowskiego, Michała Milewskiego i Wojciecha Tęczyńskiego przeznaczają dla wysokiego wzrostu do rotty grenadjerskiej“... Trzech od nas wyłączonych do cerkwi zwołano i przysięgać na służbę wojskową rozkazywano, lecz ci żadnym sposobem przysięgać nie chcieli, za co wzięci pod areszt, a potem niemiłosiernie i sromotnie ukarani zostali, wyprowadzono ich na plac, rozebrano do naga, przyniesiono kryminalne instrumenta, osobiwie drzewo jakoweś, do którego za szyję, ręce i nogi paskami rzemieniemi na przeczkach przypięci i tak długi czas smagani byli, że ciało miejscami odlatywało. A po takim ukaraniu do kordygardy pod areszt zaprowadzeni zostali i tam dzień cały i noc zostawali, nazajutrz złożona była parada z dwóch bataljonów. Barabanczyki przynieśli ze sobą wielkie pęki kijów i batoża, a pomienionych aresztantów do powtórnej wyprowadzono kary, lecz każdy widział, że się tam już nie było nad czym pastwić, bo zaledwie tylko w nich duch kołatał się!...”

To się widziało. Widziało się także, jak

sześciu innym wymierzono po ośmset pałek, jak powyrywano im nozdrza, na czołach wypalono szubienice i skutych wysłano na Szyłkę. Poznało się żołnierską służbę w pułkach rosyjskich... To też „ile tylko sposobów mógł kto wynaleźć z Polaków naszych, ubiegał jeden drugiego do ucieczki“...

Ucieczka, myśl o niej, stanie się manjacką niemal myślą każdego więźnia i każdego wygnańca, jeśli manjactwem jest chwywanie powietrza, gdy się człowiek dusi. Ile tylko było i jest tych żywotów wygnańczych, w każdym z nich zarysuje się ruch ku ucieczce, ku wolności, ku swoim, ku służbie, porzuconej tam, w kraju.

Życie, niewyczerpane w swojej artystycznej symbolice, odsłania i tu, w tych zapomnianych włościach, obraz, który sam jeden starczy za psychologii wygnańczej dokumenty. Montaigu, Francuz, uczestnik rewolucji francuskiej, z rozkazu ojca — żołnierz marynarki czarnomorskiej, obwiniony o korespondencję z Turkami i zamiar spalenia floty, skazany jest na ciężkie roboty w Zawodzie Nerczyńskim. Od chwili sądu zaprzestaje mówić. Wszelkie próby i starania w kierunku wydobycia zeń jednego bodaj słowa są bezowocne. Przemawia do niego wszelkiemi mowami ówczesny naczelnik Nerczyńska, Jerzy de Marins Barbot, obiecuje losowi jego ulżyć, los mu osłodzić: — daremnie. „Raz tylko — opowiada ks. Ciecierski — raz tylko pokazał znakiem, że żąda widzieć mapę... Z radością udzie-

lił mu Barbot atlasu i ciekawie przyglądał się, co z nim czynić będzie. Patrzył długo na ten koniec Daurji, gdzie Amur-rzeka wpada w chińskie granice i Ocean Wschodni, uważał, myślał, przeglądał graniczące narody. Nakoniec, gdy mu Barbot, niby w myśl trafiając, przełożył, że o ucieczce ani nawet myśleć nie powinien, gdyż od wschodu są dzikie narody, od południa Mongoły chińskie, a od zachodu i północy, tak dzikie hordy, jak sami Rosjanie... rzucił atlas z żywością, a ciężko westchnawszy, zalewając się łzami, odszedł, nawet nie pożegnawszy swego zwierzchnika“...

Wyrwać się, uciec! Począwszy od „osobliwych zdarzeń sławnego Maurycego Augusta hrabi Beniowskiego“, począwszy od owych konfederatów Barskich, uczestników buntu Pugaczewa, którzy w Szyłce wybudowali statek, aby po Amurze przedostać się do Oceanu,—aż podziśdzień niema prawie więźnia lub wygnańca, któregooby nie trawiło pragnienie ucieczki. Odbywają się w tych duszach skojarzenia wrażeń zgoła niespodziewane: daleki dźwięk fortepjanu, widok światelka, błyszczącego w jakiejś widocznej chacie, wystarczy, aby rozpętać w uczuciu, w myśli, w wyobraźni niepowstrzymaną do ucieczki wolę. Gordon opowiada, że nawet we śnie Moskale ścigali go i łapali:—„ja im na nowo uciekałem i znowuż ta sama historia!“ Chciał uciekać z menażerją, która przyjechała do Orenburga, z Bucharcami na wielbłądzie do Chiwy,

chciał przebrać się za kobietę-pańnicę i o żebraczym chlebie iść na odpust aż do Kijowa i t. p. Wyznaje, że z pośród licznych chorób, zadomowionych na wygnaniu, bał się tylko jednej: „pomieszania zmysłów na myśli ucieczki“. I w samej rzeczy, jeśli ta jedna, cieniutka nić, niezmordowanie przez myśl snuta, nie urwie się i nie splącze całej reszty duchowego życia, jeśli nawet ujdzie wygnaniec obłądu, to jednak często już na granicy zamroku budowane są jego ucieczki—w kręgu rzeczy nieprawdopodobnych i niepojętych. Często jednak myśl zimno i logicznie rozważy i obliczy plan ucieczki, kunsztowną rachubę w najdrobniejszych szczegółach postokrotnie sprawdzi i wtedy na czyn się waży. W koncepcjach i sposobach przeprowadzenia tych ucieczek odbijają się najprzeróżniejsze organizacje psychiczne, tak że prawie nieomylnie powiedzieć można: jaka ucieczka — taki człowiek. Widzi się wśród tych uciekających lub układających ucieczkę obłąkanych i urodzonych strategików, dyplomatów i poetów, ewangelistów i nawet poszukiwaczy wrażeń. Widzi się często ludzi „odważnie wspaniałych“, rwących się ku wolności za każdą cenę, chociażby szalę niewoli przeciwważyć miała pewna śmierć.

Jedni, jak Chojecki, mają pamięć szczęśliwą i gdy powrócą do stron ojczystych, od jednego zamachu zrzucą z siebie brzemię przeżycia.

Z pociechy dostąpienia żądanego skutku
O ośmioletnim w Moskwie zapomniałem
[smutku—

zamyka swą opowieść Chojecki. Innym obrazy
zawidziane, doświadczone upokorzenia wgryzają
się w rdzeń duszy i, gdy nawet wrócą, smutek
do końca będzie towarzyszem ich dni.

Może z tych to właśnie tragicznych dusz
wzniósł się on i kłaść się począł, jak ciężka
mgła, nad całą polską dziedziną...

III.

Kraszewski określa hymn konfederatów Barskich jaką ostatnią pieśń szlachecką Rzeczypospolitej: powiada, że z hymnem tym „padała Polska stara, katolicka i rycerska — na jej sterujących gruzach już inne powiały chorągwie“... Powiedziećby raczej trzeba, że z powstaniem Kościuszkowskim dawna pieśń szlachecka wzbogaca się o nowe i pierwszy raz tak głośno dźwięczące strofy. Potomkowie owych, co zwali się „hufcem bożym“, co powiadali o sobie, że „u Chrystusa są na ordynansach — słudzy Maryi“ — nie odrzucają bynajmniej sztandaru wiary. Trwa dalej Polska „katolicka i rycerska“ i w tych swoich zasadniczych tonach trwając, rozwojowych pierwiastków szuka poza dziedziną wiary. Godzącym, budzącym otuchę momentem tej czarnej epoki naszych dziejów jest okrzyk sumienia szlacheckiego, przeciwstawiający się targowisku i Targowicy, jest ruch ku rozszerzeniu ciasnych szranek szlachetczyzny, jest pragnienie podbicia i zjednania dla wspólnej sprawy, dla ojczystej sprawy, nowych wyznawców i obroń-

ców. Rozebrzmiały nowe hasła, powieją inne sztandary, zjawiają się na widowni najszlachetniejszej z walk nowe postacie: chłop, mieszczanin, żyd: — woła je wszakże ku życiu ideologja szlachetka: szlachcic — ten z pod fali — w ręce nowych ludzi daje nic swojej tradycji. „Ceniąc drożej nad życie, nad szczęśliwość osobistą... niezależność zewnętrzną i wolność wewnętrzną narodu“..., nic tej oto tradycji polskiej, nic już krwawą, podaje Kościuszkę chłopu, mieszczaninowi, żydowi. Nic się jeszcze na tym przełomie dziejów w duszy Polaka nie rwie, wzbogaca się tylko dusza o nowe struny, odsłania się w kształcie bogatszym i pełniejszym.

Gdy Seweryn Rzewuski wzywa ks. Józefa, aby przystąpił do spisku Targowickiego, ks. Józef odpowiada: „Odebrałem pismo Waćpana, panie Rzewuski, nad którym długo myślałem, co ono ma znaczyć i czyli mam na nie odpowiedzieć. Lecz człowiek poczciwy nie ukrywa swych myśli, wzgarda dla podłych jest jego prawidłem, tak i ja dziś z Waćpanem postępuję. Ci, którzy śmieli dla swej dumy i miłości własnej zaprzedać krew współziomków swoich, są ohydą Narodu i zdrajcami Ojczyzny“.

To warjant tylko słów konfederata Sułkowskiego. Sułkowski nie podpisuje „recesu“ — ks. Józef nie zaprzysięga na słowo oficerskie, że przeciw Austrii walczyć nie będzie. Żadnej nie daje deklaracji. „Odbijać siłą własną gwałt i być zagrzebanym w popiołach i ruinach Ojczyzny

to są jedyne prawa,... które rezolwuję się utrzymać do ostatniego życia mego momentu“ — Sułkowski ślubuje. Nie inaczej czuje i myśli ks. Józef, tak samo niemal formułuje uczucia swoje: „Tu trzeba ginąć z honorem raczej, jak żyć w hańbie... Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu jednemu go oddam!“...

Nie zginęła Polska rycerska. Wiara jej, ta przez falę nakryta, zrzadka tylko słowem wypowiedana, a wykrwawiona w czynie, unosi się w powietrzu, wnika w organizmy duchowe bez wiedzy ich prawie. Dziś hasło ks. Sułkowskiego odżywa w duszy ks. Józefa, jutro — słowa ks. Józefa wskrzesną jako godło w sercu mieszczanina, czy chłopca polskiego. Pod wrażeniem śmierci ks. Józefa Adam Czartoryski notuje w pamiętniku: „Serce przyciśnione i zmięte... Smutek, żal i zniechęcenie się... Chciał ginąć!... Śmierć księcia godna bohatera... Przykład śmierci najpiękniejszy do naśladowania“... Inni, mniej refleksyjni, mniej skłonni do analizowania zjawisk na zewnątrz i załamania się ich w sobie, zawnioskują sprostą: „Przykład śmierci najpiękniejszy do naśladowania“. I będą go naśladowali. A jeśli później: na nabożeństwie za poległych w powstaniu Kościuszkowskim, katafalk, przyozdobiony bronią i laurami, ozdobią także słowami: „Zeszli z żywota, ale wszemu narodowi pamiątkę śmierci swej za przykład cnoty i męstwa zostawiwszy“—słowa te znowu wypowiedzą wartość czynu najdonioślejszą i nieśmiertelną.

Przysięga, składana z przystąpieniem do związku rewolucyjnego, brzmiała: „Krzywdy żadnemu obywatelowi w tej rewolucji nie zrobię“, t. j. będę miał na widoku tylko rzecz ogólną, sprawę. Sprawa—to wolna Ojczyzna. Przystępując do związku, Kiliński oświadcza obcesowo: „Jedną duszę mam i tę poświęcam na dobro Ojczyzny!“ Ani mu na myśl przychodzi możliwość innego stanowiska. Dopiero, gdy słyszy roztrząsania związkowych oficerów, którzy nie wszyscy oczywiście są z jego rodziny, widzi, że bywa, może być i stanowisko inne. Jak mu się wydadzą owi? Są wśród nich ludzie pełni poloru, wykształcenia, rozwagi. Nie zasugerują go ani na chwilę. Krótko i węzłowato, a jakże trafnie, kierując się tylko wrodzonym instynktem czynu, nazwie tamtych „tymczasowemi patryjotami“. Tymczasowi patryjoci! Są to ci sami, którym Pułaski radzi: „chciejcież pierzchliwą ucieczką niestraszej nam przyczynić śmierci!“; ci sami to są, którzy, ilekroć podnosiła się w Polsce fala rewolucyjna, szli z falą i „pierzchali“ przy pierwszym niebezpieczeństwie, przy pierwszej porażce, „troszcząc się“, by zginęła ofiara doszczętnie. Ci sami to są, którzy utrzymywać będą, że to Katarzyna przekupiła Kościuszkę, „aby zrobił rewolucję dla dania pozoru Moskwie do zabrania reszty Polski“... Spotykamy ich w 31-ym, i w 63-im, i w 1905 r. i heroldem ich będzie zawsze potwarz, a tarczą zawsze tchórzostwo. Tymczasowi patryjoci! Kiedyż

nie było ich w Polsce? „Jeśli wskutek kapitulacji opuścimy klasztor, kto wstrzyma bezbożników?—woła Kordecki.—Sprawa naszej ukocha-nej Ojczyzny polega teraz na nas, na nas samych tylko!“ Argument ten nie ma znaczenia wobec faktu, że z dziesięciotysięczną armją zmierzyć się ma trzystu ludzi. Wprawdzie „my także Polacy i tak dobrzy patryjoci, jak i kto drugi“, ale... „jeśli chcecie, wielbni Ojcowie, uratować się z przepaści, śpieszcie się z poddaniem!“... Tymczasowi patryjoci innej rady nie znali nigdy.

Kiliński ma jedną swoją szewską duszę i tę oddaje sprawie. Przysięga związkowa powiada jeszcze: „a gdybym ze związku tego miał kogo zdradzić, to śmierci najhaniebniejszej podpadać w każdym miejscu chcę“. Zna już Warszawa szpiega, uwija się po mieście pięćset z górą szpiegów Igelströma. Serce Kilińskiego nie drży. Nie on ucieka, nie sprawa upada. Upada i ucieka Igelström. W jakiś czas później aresztowanemu przez Prusaków generał Melen-dorf grozi, że wiozą go do Warszawy poto, aby tam wisiał „i że mnie dadzą na szubienicy kopyto, ażeby tam na nim szewstwo robił“. Kiliński zaś,—ale oto są własne jego, tak charakterystyczne słowa: „Więc ja jemu z wielką niecierpliwością odpowiedziałem, że miło mi będzie wisieć ‘za obronę Ojczyzny!’“ Z wielką niecierpliwością — powiada. Gwałtownie, odruchowo, bez zawahania się, bez trwogi, tak,

jak mówił, że jedną ma duszę, którą poświęca Ojczyźnie.

Szewc ten z żarliwą swoją wiarą pierwszych wyznawców, z niegasnącym do końca życia entuzjazmem dla sprawy wolności, ze zdrowym sensem nowego człowieka, trochę gruby i jakby też aż nazbyt prostolinijny, przeżył jednak swój czas jak poeta: radował się nim, przebolewał go i pozostawił w nim ślad głęboki. Radował się, gdy Igelströma wypędził, radował się, gdy z szewca i mieszczanina stał się obywatelem i kraju obrońcą. Radował się, gdy w współwzięniach: w Zakrzewskim, w Potockich, w kasztelanie Mostowskim, w pułkowniku Sokolnickim widzieć mógł równych sobie, takich samych, jak on, obywateli. Radował się, że owi w nim brata widzą. „Podpułkownik powiedział, abym ja osobną stancję miewał przez całą drogę (na drodze do Petersburga, w grudniu 1794), takżem osobno jadał, w czym mnie to cokolwiek zmartwiło. Prosili za mną tego podpułkownika panowie, aby mi nie robił tego umartwienia, ale go nie mogli uprosić, gdyż to jest zwyczajem u Rusków, że są zawsze uparci w upraszaniu... Ale jednak jw. Zakrzewski przykazał swoim służącym, ażeby mnie wszystko dochodziło z jego stołu... Widząc to moje umartwienie, p.Andrzej Kapostas, żem się nie miał z kim zabawiać i rozrywać swych smutnych myśli, więc mówił podpułkownikowi, że ze mną będzie jadał i w jednym miejscu będzie sypiał ze

mna... więc obydwu czyniliśmy sobie przez całą drogę rozrywki, ciesząc jeden drugiego, jak tylko było można“...

Przeboleł czas swój bólem najsroższym, bólem, z jakim porównać nie można cierpienia dalszych pokoleń. „Gdyśmy przyjechali do Grodna, tam niemałą ponieśliśmy ranę na sercach naszych, bośmy trafili na ten czas, kiedy obywatele przysięgę na wierność moskwie wykonywali. Ja przyznam się, że nie mogłem się żadnym sposobem nie mógł zaspokoić od płaczu wielkiego, gdy o tej przysiędze dowiedział, ale nawet wszyscy tak mocno byliśmy zmartwieni, że każdy osobno, w kąt się obróciwszy, łzami się zalał“...

W więzieniu petersburskim dusza jego gorzeje, jak gorzała na wolności. Przyznaje się wprawdzie, że nieraz wzdychał do Boga, aby mu dał „świętą cierpliwość“, aby „nie wpadł w warjacje“: — gdy jednak staje przed Repninem, jest tym samym nieustraszonym żołnierzem Ojczyzny, jakim był i w Warszawie i pod Maciejowicami i „z nieustraszoną godnością“ odpowiada na zniewagi prokuratora Samoiłowa. Repnin każe mu drzeć przed swojemi gwiazdami... „Ja znam tysiącami gwiazd, a przed nimi nie drżałem nigdy i drzeć nie będę“. W śledztwie każą mu zeznawać prawdę. Mówi: „Tu ja prawdę powiem, gdyby mi przyszło głowę utracić moją, to powtarzam słowa moje, że bez najmniejszego pretekstu te trzy potencje wydarły

nam kraj Polski. O przebógi I jakże nie ma każdy Polak na to stękać i ubolewać nad tą wielką poniesioną krzywdą!... To — cała jego prawda. I jeszcze dużo później, po wielorakich życia i kraju kolejach, po upadku Napoleona, w 1813 r., wezwany do gubernatora i zapytany, czy może zamyśla, jak w 1794 r., powstanie?— odrzuci: „O gdybym tylko mógł, pewniebym ponowił!“

W pamiętniku Kilińskiego próżnoby szukać jakiegokolwiek skargi na los jego własny, na kłeski, jakich mu w osobistym życiu przyczyniło powstanie. Nie skarży się nikt z tych ludzi. Gdy Kościuszcze Paweł wolność przynosi, ten rzecze: „Nigdybym nie ubolewał nad losem własnym, ale ubolewać nie przestanę nad losem ojczyzny mojej“... Jeśli skarżą się, to tylko tę treść ma ich skarga. Są wśród nich, którzy poznali wygnanie Berezowskie, jak Działyński, są tacy, którzy, jak Karol Prozor, w grobowcu Petropawłowskim „skruchy“ mieli się uczyć. Próba była daremna. Bo jeśli nauczyli się czegoś żałować, to tego chyba, że żyją, gdy ani wolności, ani swoich już niema. Wyobraźnia ludów szczęśliwych nie zna ani cienia tej grozy, którą na duszę Polaka rzucało życie. Gdy po uwolnieniu wyprowadzają Prozora z fortecy Petropawłowskiej, zmuszony jest zakryć oczy, bowiem, odwykły od światła dziennego, patrzeć nie może.

— Kto tu jest?—pyta witających go.—Czy jest żona?

- „Niema“.
- Czy jest jaki krewniak?
- „Niema“.
- Czy jest przyjaciel?
- „Niema“.
- Czy nie żyją?
- „Nie żyją“.
- A ja jeszcze żyję! —

Takie jest tu słowo nad sobą żalu. Dla siebie proszą tylko, jak Kiliński, o „świętą cierpliwość“, aby—w najszerszym sensie—siebie nie zatracić; wzywają śmierci, gdy przebrała się miara cierpliwości i bólu. Malują nieraz obrazy nędzy, w jaką popadli, bezmiar nieszczęścia, w jakim żyć muszą, lecz są to niejako tylko wizerunki niewoli, stanu upodlenia,—a raczej: wizerunki utraconej wolności, w których jeszcze i jeszcze raz uprzytomniają sobie i innym, że bez niej żyć niema sposobu. Nie jest to subiektywna skarga: jest mi źle!, a ciągle przytomne: „Tak przyszło mi upaść—wolnemu człowiekowi!“ Jest w tych duszach tak zadziwiająca w ludziach włoskiego Renesansu „terribilità“, zaciętość, zapamiętanie się w losie swoim, w drodze swojej. I jest w nich, czego w tamtych nie ma, miękkość, gdy idzie o los cudzy, doskonałe o tobie zapomnienie. Na zapytanie Pawła, czemu „tak smutno siedzi“, gdy otrzymał „najdroższy dar“, bo wolność, Kościuszko powiada: „Jakże radość ma wystąpić na czoło, gdy... współbracia moi nie są jeszcze uwolnieni?“ Ten ruch

serca powtórzy się pod falą nieskończoną ilość razy i, bogacąc się o coraz nowe odcienie, wśród klęsk coraz większych, w tradycji coraz dłuższej, wysubtelni się do ostatnich granic i nieraz ukaże nam ludzi tych w glorii prawdziwej świętości.

Inaczej być nie może. Siłą, która serca te porusza, jest miłość, i ona to na całe życie wewnętrzne serca rzuca swój złoty pył. Z duszy Kościuszki pieśń jej bije w kraj. Bucha płomieniem, szuka, kogoby sobą objąć, komuby udzielić żaru, z kim do komunji przystąpić. I to nie wszystko jeszcze. Występuje jako apostołka i razem odkupicielka, jest ekstazą i zamyśleniem jednocześnie, woła ku sobie, w płomienistą sieć łowi dusze i jednocześnie waży odpowiedzialność, Sumienia się pyta. Wyprowadza Sumienie i nakazy jego: odkupienie krzywd, wyrównanie przepaści, jako pierwszorzędny czynnik dziejowy, jako kamień węgielny Polski, jeśli się ma odrodzić, jako nie dające się odeprzeć Fatum narodu.

„...Jako ziarna pod młyńskim kamieniem, tak ci kmiotkowie pod pany swemi... Wielkości nasze utoną i w śmiech się obrócą. Będziecie nietylko bez pana krwi swojej i bez wybierania jego, ale też i bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy włóczędzy, które popychać nogami tam, gdzie was pierwwej ważono, będą“...

Fatum mówiło przez prorocze usta Skargi.

Posłyszał także miłosny genjusz Kościuszki rozkazodawczy jego głos. Jął się tego węzła, który tak tragicznie w Polsce splątały losy i mieczem Sumienia postanowił go ciąć. Wszczął wysiłek, który podejmowany odtąd będzie z pokolenia na pokolenie, zawsze mając przeciw sobie wiekowe przesady, trwogę posiadających, egoizm i ambicje tymczasowych patryjotów, oportunistów, co „zdrowie nad wolność cenią“. A losy się płaczą, a węzeł piętrzy się coraz groźniejszy, a Sumienie woła i czeka.

Kościuszcze podyktowało ono czyn, podyktowało mu Uniwersał Połaniecki, który z duszy chłop polskiego wyczarował „niepodobną do uwierzenia nieustraszoną“, sprawił, że głucha niwa życia chłopskiego ozwała się bohaterstwem Głowackich i Derysarzy, że ta ofiarna krew chłopska nigdy już o sobie zapomnieć nie pozwoli. Sumienie poddało także Kościuszcze wiekopomne o Żydach wypowiedzenie: „...„Naród, wzgardzony więc i niemal z rzędu ludzi wyjęty, poczytany został za niezdolny do obrony praw i własności i tylko dla korzyści samodzierżców trzymany. Lecz kto tylko zważy, że to jest naród z ludzi podobnych nam złożony, inaczej pewnie o nim sądzić zacznie... W ten czas, gdy Żydzi oddzielny naród składać zaczęli... nie cierpieli nad sobą tyranów... W pośród smutnych obrazów niezgody wewnętrznej i okrucieństwa, widać tam było przywiązanie większe do swobód i praw ojczystych, niż do życia. Tak wa-

leczny naród samych zwycięzców zadziwieniem napełnił... W dniach 17 i 18 kwietnia, gdy Warszawa krwawą bitwę z najeźdźnikami Moskalami stoczyła, Żydzi, mieszkający w tym mieście, rzucili się do oręża, zwarli się mężnie z nieprzyjacielem i dowiedli świata, iż tam, gdzie ludzkość zyskać może, życia swego ochraniać nie umieją“...

Trzeba było wielkiego męstwa sumienia, aby w ówczesnej Polsce wyznać, że, gdzie ludzkość zyskać może, nie ochraniają Żydzi życia, że to „jest naród z ludzi podobnych nam złożony“. Trzeba było wielkiej miłości i wielkiej mocy sumienia, aby uczynić głośno wyznanie, mające siłę „uwiadomienia o formującym się pułku starozakonnym“. Nieco później, sam ks. Józef, wydawszy w 1808 roku dekrety, wykluczające co do powinności wojskowej wszelką różnicę wyznania i urodzenia, w 1812 cofnąć je musi „jako niewczesne i nie dające się pogodzić z rzeczywistością“. Jeszcze później Chłopicki wykluczy Żydów od obrony stolicy, minister zaś Franciszek Morawski odrzuci prośbę Żydów o dopuszczenie ich do szeregów, aby się „rycerska krew polska nie mieszała z żydowską, znieślawiając wobec Europy walkę o wolność“...

Trzeba było wielkiego męstwa uczuć, aby w ówczesnej Polsce wyciągnąć rękę ku Żydowi. To też w oczach Berka Joselewicza Kościuszko jest „zaiste posłańcem Wiecznego Wszechmocnego“. Gorąca dusza Żyda tego jakby czeka tylko, aby pozwolono jej czynić służbę miłości.

Kołysało się w powietrzu magiczne słowo wolność, Berek wchłania je i niesie ku swoim. „On (naczelnik)—mówi—mąż tak wielki i tyle innych mężów wielkich, posiadających zaiste już dużo wolności, pragną przecie jeszcze wolności i odzyskania Ojczyzny!“... W odezwie z 1 października 1794 upaja się jakoby dźwiękiem Ojczyzna, powtarza go w coraz to innym splocie słów, cieszy się nim,—on, Żyd, który nie słyszał go i wymawiać go nie miał prawa. — „Obudźcie się jak lwy i lamparty!—woła.—Nic nam nie trzeba — powiada — jak być zgodnemi i mężne, bohatyrskie mieć serce!“...r

To bohaterskie serce miał naówni z najwaleczniejszymi. Wołał: „walczmy za Ojczyznę, póki w sobie mieć będziemy kroplę krwi“ i do ostatniej kropli krwi walczył. Gdy, osaczonego ze wszystkich stron w maneużu pod Kockiem, wzywano, aby się poddał, pasował się jak lew, wezwania nie usłuchał. Powiedział: do ostatniej kropli krwi.

Zdawaćby się mogło, że ten człowiek tak nowy głodny będzie rang i zaszczytów. Ludzie jego rodziny nie o zaszczytach jednak dla siebie myślą. Ks. Józef, naczelnik w 1792 r., w dwa lata później staje pod rozkazami Kościuszki, i ten rys bezinteresowności powtórzy się tak, czy inaczej, wszędzie, gdzie jawi się prawy idei żołnierz. Nie szuka zaszczytów Kiliński, nie szuka ich Berek. Pułkownik Kościuszkowski w legji od prostego żołnierza rozpoczyna służbę i dopiero

na nowo zdobywa szlity oficerskie. I złoży je bez wahania, bez goryczy raz jeszcze. gdy „ranga“ jego stanie się kością niezgody i waśni w obozie. „...Dla tego jednak — pisze Kniaziewicz do Wybickiego — jego prześladować nie przestają, któremu jednak niczego więcej zarzucić nie można, jak to, że się nie szlachcicem urodził“...

Obiecywał: „gdzie będzie najniebezpieczniej, tam ja pójdę, a wy dopiero za mną!“ — i dotrzymał. Ogniem swojej duszy hartował, spoił w jedność powierzoną mu gromadę; sprawie poświęcił, co dotąd w sercu Żyda było najdroższego:—rytualne modły i obyczaje związane z wiarą. Poznał wraz z Zajączkiem więzienie austrijackie, prześnił sny więźnia o ucieczce i—jak wielu innych—uciekł i jak wielu innych czekał, rychło li da los znowu stanąć w szeregach i zginąć, „by żyła Ojczyzna“.

IV.

„By żyła Ojczyzna“, toczył się bój Maciejowicki i już jeńcami zaludniają się drogi wygnańcze. Wczoraj jeszcze, na pierwszą wieść o powstaniu Kościuszkowskim, przedziera się Józef Kopeć, aż z pod Kijowa, dziedziną przez wojska moskiewskie osadzoną, by czterokrotnie w bitwie Maciejowickiej ranny, jutro jako niewolnik do tegoż Kijowa powracać. Zdawaćby się mogło, że los szatańską iście reżyserją pomaga tu wrogowi w dziele znęcania się nad duszą wojaka. Bo oto jaki obraz stawi przed oczy Kopciowi, temu Kopciowi, który od szesnastego roku życia, od prostego szeregowca służy w kawalerji narodowej, dosługując się kolejno stopni brygadiera, majora, generała, jemu, którego życie zamyka się w kole podwładnego mu żołnierza! „Kiedym był wieziony przez Kijów — opowiada — postrzegłem moich żołnierzy przy publicznych robotach i wielu znajomych szlachty, postrzegłem i bardzo wiele rabunków, w stosach leżących, broń, armaty i wiele innych znaków

wojennych, niech tu każdy czuły wchodzi, co to był dla mnie za widok“...

Czulił się i płakał świat nad dziejami więziennymi Sylvia Pellico. Wielojęzycznym żalem opiewano jego ciężką niedolę, i stał się jego pamiętnik klasyczną książką więzienia. Nieliczne pamiętnikarskie zapiski naszych więźniów nikomu poza granicą Polski nie są znane:—lecz gdyby wydarł i przedostał się w świat głos z tych „*Nostre Prigioni*“, jakąż niewinną sielanką wydałyby się podówczas nieszczęścia Sylvia Pellico! W więzieniu medjolańskim ma przyjaciela, głuchoniemego malca, i może myśleć o jego przyszłości. Koresponduje z innemi więźniami, korzysta z książek i towarzystwa. Chodzi do kościoła, słucha gry organów, polemizuje, nawraca. Pociesza, jest pocieszany. W Wenecji odwiedza ją go dzieci. Młoda Zanze, córka dozorczy, przynosi mu kawę, mówiąc: „to ja tę kawę przyrządziłam“. Powiada jeszcze: „Wszędzie mi nudno, wyjąwszy tutaj, chyba, że z narzeczonym moim przebywam“. Sylvio Pellico przyznaje, że wizyty Zanzы były dobrodziejstwem, łagodziły jego charakter, „pokrywały rzeczywistym wdziękiem moją niedolę i podwajały życie“.

Wdzięk, dobrodziejstwo, podwojenie życia, jako dary zewnętrznego świata! Nie z dziedziny doświadczeń więziennych polskich są to wartości. Pozna przedewszystkim Kopeć wdzięk kibitki, instrumentu, którego włoski więzień nie znał nawet z pojęcia. „Kibitka miała model

kufra, obita w koło skórą, a w środku żelazną blachą... z boku tylko okienko dla podania wody lub jedzenia, w spodzie—druga dziura dla spadu. Ten kufer był bez żadnego siedzenia, ani jeszcze byłem z ran wyleczony, dawano mnie wór ze słomą i włożony był na mnie tytuł aresztanta sekretnego z numerem tylko, bez imienia. Na zmianie poczt wszędzie się lud zbierał dla ciekawości, coby to było zamknięte w tym kufrze, ile że dwu zbrojnych na wierzchołku tej kibitki siedziało“... Trzeba będzie aż „manifestu“ 1868 r., aby ten typ kibitek ustąpił miejsca „klatkom Trepowa“, może bardziej ludzkim, pomyślałby kto, bardziej europejskim, bardziej do potrzeb cywilizowanego człowieka przystosowanym? Przeciwnie. Nie będzie to już kufer skórzany, a żelazna klatka, w której umieszczać będą po sześciu okutych, ręce przymocowując do krat wozu. Żołnierz siedzie z tyłu. „Gdy się taki transport przy odgłosie dzwonek zbliża, lud żegna się i ucieka do domów, mówiąc: to już chyba sam djabeł wymyślił!“

Pozna polski generał dobrodziejstwo więzienia Smoleńskiego i „ach, wzdygam się wspomnieniem!“—zawoła — „i tytułu mu dać nie potrafię! Było to miejsce, pożerające różnemi nieszczęściami i męczarnią naszych rodaków, w którym tyle tysięcy pocziwych Polaków było dręczonych: wiele z nędzy, wiele z wilgotnych murów, wiele podręczonych umyślnie poginęło. Ja w tej mojej framudze przebywam. Pytam się,

kiedy jest noc, a kiedy dzień? ale mi moja straż nie odpowiada; tylko po tym dystyngowałem dzień od nocy, kiedy mi jeść przynoszono“...

Podwoi mu się życie, gdy codzien przychodząca warta opowiadać mu pocznie, „choć się ich o nic nie pytał“, że tego dnia tylu Polaków zaknutowali, tylu powiesili, co fałszem było, ale mi umyślnie tak kazano gadać“. Samotny jest? Nie będzie sam. Nocą, gdy zaśnie, siądzie mu na nogach żołnierz. „Porywam się i pytam, czego tu siedzisz? Odpowiada mi, że mu kazano dzień i noc na mnie patrzeć, dla czego ich nie lubię“... I istotnie widok tych szpiegujących, wiecznie wrytych w niego oczu jest dla Kopcia „największym tyraństwem“. Oskarżony jest, że zrobił ekran z chustki i od oczu owych zasłania się „przez nienawiść“. No, i że właśnie oczu tych „nie lubi“, posadzą mu żołnierza w nogach, każą patrzeć dzień i noc...

Ilekolwiek dojdzie nas głosów z tej więziennej otchłani, czy będzie to głos z końca ośmnastego wieku, czy głos nam współczesny; czy miejscem więzienia będzie Tobolsk, Perm, Orenburg, Smoleńsk, Moskwa, Kijów, Petersburg czy Warszawa; czy głos ten dopłynie do nas z głębin lub z pogranicza Azji, czy z samego serca Europy—przyniesie zawsze wieść o męce owych spojrzeń żandarmskich; o zmorze dwu wiecznie w niewolnego człowieka wlepionych ślepi. Gordon opowiada, że, gdy w żołnierskiej służbie przydzielono go, jako straż, do pilnowa-

nia więźnia politycznego, Rosjanina, ani zajrzał do niego przez dwugodzinny czas warty, mimo że srogi nakaz brzmiał, aby z więźnia nie spuszczać oczu. „Nauczony niegdyś w cytadeli — objaśnia — wiedziałem, o ile świecące, wytrzeszczone oczy twarzy żołdackiej, oprawnej w ramki okienka, dały mi się we znaki. Owe oczy zimne, nieubłagane, utkwione w ciebie we dnie i w nocy, gdyby dwa sztylety!“...

Nie wie Kopeć, co mu jest przeznaczone, gdzie drogi jego kres. Tajemniczość ta należy do repertuaru sposobów, służących ku zgębieniu więźnia. Dojechali do Ochocka,—co będzie dalej, niewiadomo. Nieporównany jest ton, w jakim Kopeć kreśli ten życia swego epizod. Przypominają się oczom sceny biblijne, dźwięczy rytm jakby starodawnej epiki, rzeźbi się jej nieprześcigniony w prostocie rysunek. Aby przywykł do powietrza morskiego, kapitan każe go często prowadzić nad morze. „Jednego czasu siedzę na wyrzuconym drzewie, przypatruję się tysiącznemu stworzeniu, słyszę, że ktoś po kamieniach idzie do mnie i spostrzegam człowieka dość wspaniałego, w pięknym ubiorze. Zbliży się do mnie i pyta, z jakich narodów jestem człowiek: odpowiadam, że z nieszczęśliwego. Rzecz mi: to zapewne Polak jesteś; znam ten naród i ich interes. Ja jestem kupiec, posłany z kantory Irkuckiej dla wyprawienia okrętów na Ocean i powracam do Rosji. Jeśli masz przyjaciół i rodzinę, pisz przeze mnie, a zaręczam,

że dojdzie. Poświęcam się tu na rzecz bardzo wielką, bo gdybym był zaskarżonym, że rozmawiam tylko z takim niewolnikiem, byłbym w niewolę gdzie odesłany. Za powrotem do stancji swojej (mówi do mnie) znajdziesz papier, pióro, atrament, lak; już tam jest warta przekupiona; nawet i sam majtek, którego masz przy sobie... Pytam go się, czy nie wie o moim dalszym przeznaczeniu, powiedział, że nie wie, bo już tu się ziemia zakończyła. Jest tylko na Oceanie półwysep, który zowią ziemią Kamczacką, koło której kilka portów i cytadeli, może tam będziesz posłany“...

Jedyny to akt miłosierdzia, jakiego doświadcza wygnaniec; Greczynowi temu, bo Greczyn to był, zawdzięczać będzie powrót.

Ale, że tamten zabiega, Kopeć nie wie. Dziennik jego zaświadcza, że na Kamczatce stara się przystosować do warunków, gospodarzy, chce bodaj myśleć o tych potrawach, które sobie gotuje, bodaj o owocach, jagodach i rybach, któremi żywi się mieszkaniec Kamczatki. Lecz coś w głębi żre, nurtuje. I właśnie, kiedy ze zwykłym sobie spokojem rozwodzi się nad przysmakami kamczadalskimi, wyslizguje mu się z pod pióra wyznanie: „Nabyłem czarnej hypokondrji i przyszedłem do największego osłabienia“.

Zauważyć się daje od tej chwili, że Kopeć toczy ze sobą jakąś walkę. Stara się zachować równowagę, możność obiektywnego przyglądania

się otoczeniu, zajmuje się obyczajami i życiem Kamczadalów, chce cały być nazewnątrz siebie. Może chce uciec jak najdalej od głosów, jakie ma w sobie, może—od głosu, który tak często radzi wygnańcowi: skończ!, od innego, który nagli: uchodź!, od innego jeszcze, który skomli: łaski pros! Widzenie z Greczynem zatliło widać w duszy isierkę nadziei, że skądeś tam, ze świata, przyjdzie wyzwolenie. O ostrze codniowego zawodu co chwila rozrania się dusza. Ile było takich chwil—kto policzy? Melancholja trawi, osłabienie podcina odpór. I nagle, wśród beznamiętnych notatek o dookolnym życiu, słyszemy: „Gdy już nie miałem żadnej nadziei uwolnienia i powrotu do mojej ojczyzny, zacząłem myśleć o sposobach wydobycia się z tego nieszczęścia“...

Jakież są „sposoby“ dla ziarnka piasku, rzuconego na kraj świata, dla człowieka zapomnianego i opuszczonego. Niema sposobów. Jest sposób tylko jeden: prośba o łaskę, sposób, przez rodzinę, o której jest mowa, wzgardzony bezwzględnie. W kilkanaście lat później, gdy Piotra Wysockiego, więzionego przez trzy lata, skazanego na śmierć, namawiać będą, aby prosił o ulaskawienie, ręcząc mu za skutek pomyślny, Wysocki każe sobie do celi przynieść pióro i atrament i te słowa napisze: „Nie dla tego broń podjął, ażeby prosił cesarza o łaskę, ale dla tego, aby jej mój naród nigdy nie potrzebował“. Ten naturalny, od samego początku

walki o wolność niewątpliwy stosunek do łaski, świadczony przez bezprawie, w miarę utrwalania i zaost్రzania się walki, stanie się niemal że artykułem wiary, nakazem, nie cierpiącym wyjątków, dogmatem strzeżonym coraz żarliwiej aż do najdrobniejszych włókienek. Prośba o łaskę a upadek oznaczają jedno.—„Co do mnie—woła trochę patetycznie Rufin Piotrowski, — szczerze wyznam, że nad wszystkie kary najokropniejszą i najboleśniejszą wydawałaby mi się łaska cara.“ Odrzucają ją nietylko jednostki, odrzuca ją nastrój ogólny, nie asymiluje jej atmosfera moralna, w jakiej toczy się bój o wolność w ciągu całego wieku. Pogląd na amnestję po powstaniu listopadowym i po powstaniu styczniowym jest ten sam. „Amnestja! I któż to ją nam dawać będzie. Morderca naszej Ojczyzny? Zabójca naszych braci i dzieci?“... wołają w 1832 roku.Przyjmując przebaczenie—w 1864 r. dowodzą —stwierdzilibyśmy tym samym, żeśmy zasłużyli na karę, a więc, że dopuściliśmy się występku. Nasze uczucia ludzi wolnych, nasze usiłowania wolności, nasze ofiary i męczeństwa nazwalibyśmy gwołi carskiej obłąkaniem i występkiem“... Śpiewnik narodowy, wydawany potajemnie w 1863 r., w Warszawie, przynosi okolicznościowy wiersz, jeszcze inaczej motywujący niemożność przyjęcia win odpuszczenia:

Car w litości nieprzebrany
Raczył życie nam darować,

Jeśli zechcem swe kajdany
Znowu przyjąć i szanować...

Wróg wyzwierza się nad nami,
Pali nasze miasta, sioła;
Kraj zalany krwią i łzami,
Cała Polska zemsty woła —

A my, kraju bojownicy,
Zamiast dać jej z grobu ożyć
Mielibyśmy, jak nędznicy,
U stóp tronu broń swą złożyć?

Precz z amnestją! Bijmy wroga!
To jedyna mężnych droga! i t. d.

Uczucie i honor odrzucają nietylko amnestję, nietylko ułaskawienie, lecz odrzucają wszelkie łaski, możliwość proszenia nieprawej władzy o cośkolwiek. Najeżdźca i siepacz z jednej strony—z drugiej owe zawsze żywe słowa ks. Sułkowskiego: Waćpan, który niczym u mnie być nie możesz!... To stanowisko staje się z biegiem lat coraz bardziej niezachwiane, niewątpliwe. Biograf proletarijczyka Waryńskiego, *B. A. J.*, notuje: „Z władzami (w więzieniu Schlisselburskim) unikał starć, ale też o nic nie prosił. Ta harda, nieugięta jego postawa wystarczała, by drażnić władzę“... Dla najprostszych postawa ta jest prawidłem. Gdy na Sachalin zesłany ma być inny członek „Proletariatu“, Piotr Dąbrowski,

szewc z zawodu, ojciec jego, były powstaniec, te słowa daje mu na pożegnanie: „Zapamiętaj, nie pochwalałem działalności Twojej. Lecz miałem cię zawsze za uczciwego człowieka; teraz wrócić już z drogi nie wolno:—musisz pozostać uczciwym do końca. Jeślibyś kiedykolwiek poprosił o łaskę, ja, ojciec, wyrzeknę się ciebie“.

Kopeć, „przyszedszy do największego osłabienia“, pisze prośbę do Katarzyny. Wolność zawdzięczać będzie wprawdzie innym czynnikom, uwolniony będzie dopiero za Pawła, lecz pisze prośbę. I tu dzieje się rzecz dziwna. W „prośbie“ tej jest tym samym człowiekiem, którym był na sądzie, w przekonaniu jego najwewnętrzniejszym niema żadnej zmiany. To, co pisze Katarzynie, raczej zgubić go może, niż pomoc mu przynieść.

Na sądzie pytano go, czy przysięgał? Szło rzeczywiście o stwierdzenie, że przysięgał Katarzynie. „Odpowiedziałem, że w ciągu służby mojej dwudziestoletniej kilka razy przysięgałem, niby nie rozumiejąc, czego oni chcą.—Ale ostatnia przysięga jaka była? — Ja jeszcze nie rozumiem, odpowiadam, że ostatnia była najważniejsza, że ojczyzny mojej do ostatniej kropli krwi bronić i zastawiać będę. Rzekli oni:—ale nie o to pytamy, ale Monarchini naszej, czy przysięgałeś? Odpowiedziałem, że to był gwałt i przemoc“...

Do Katarzyny pisząc, nie kaja się, przeszłości swojej nie przekreśla: „...Oto ja, z nieszczęśliwego narodu Polak—pisze—wzięty w krwa-

wym boju, okryty ranami i zesłany w tę dziką krainę, gdzie głód, nędza i wewnętrzna zgryzota duszy, co mnie o moment mało nie pogrążyła w ciemnościach bezdennych... Cóżem ja winien, nieszczęśliwy, że los mnie na łonie mej Ojczyzny urodził Polakiem, że od dziecinnych lat oddany do wojska narodu mojego... nauczyłem się być wiernym Ojczyźnie, od której życie, imię, majątek i to wszystko wziąłem, co posiada człowiek szczęśliwy“.

Niezawodnie z owych „ciemności bezdennych“ wychylił się ku niemu, zamajaczył mu sposób... Że go dojrzał, i oczami przytrzymał, i odpędzić już nie miał siły, było może najbardziej trującą go „zgryzotą duszy“. Jakkolwiek, to jest pewne, że nieszczęśliwe jego serce nawet w tej najrozpaczliwszej godzinie mowy skomlących „o łaskę“ nie znało.

V.

Grały po świecie hejnały Legionów, szumiały sztandary. Niósł Napoleona ku wichrom mocy szął miłości polskiej, żyła jak nigdy wiara: my giniemy—Ojczyzna odżyje. W Ojczyźnie odżywał wróg. Węszył, wyciągał macki. Wystarczało mu samo podejrzenie, że ktoś legionom sprzyja, że ktoś obowiązek obywatelski pełni, by zarzucić mu na szyję pętlę.

Ciekawie jest przyjrzyć się, jak cynizm, barbarzyństwo i okrucieństwo najeźdźcy w duszach najłagodniejszych i do przebaczenia z natury skłonnych budzą pragnienie odwetu, nienawiści. Wzięty pod zarzutem przynależności do związku patryjotycznego, uformowanego na Litwie, i obwiniony o wysłanie imiennika do Legionów, ksiądz Ciecierski, przeor Dominikanów Wileńskich, tak opowiada o śledztwie prowadzonym przez Repnina: „...Wywarł pierwszy najszkaradniejsze wyrazy na mnie i to był niepospolity komplement. Słuchałem go cierpliwie... wewnątrz zaś tak się zapalałem gniewem, że najwierniej wyznaję, gdybym był przy jakimkolwiek śmiercionośnym na-

rzędziu, utopiłbym je pewnie w piersiach złośliwego starca“... Ale narzędzia śmiercionośnego biały Dominikanin nie ma. Ma za to w sobie dumę wolnego człowieka, dumę hierarchji, poczucie honoru własnego,—honoru swego zakonu. Nie może mu się pomieścić w głowie, aby jego do służby bożej przeznaczone ręce miały być skute w łańcuchy, splamione żelazem niewoli. Cierpią w nim całe wieki tradycji i „kilka razy od rzęsiстых łez wstrzymać się nie może“. Wnet jednak pozna, że ten pierwszy szczebel nieszczęścia, na którym, gdy stanął, wydało mu się, że ran zadanych jego „miłości własnej“ nie przetrwa, że ten pierwszy krok jest niczym w porównaniu z tym, przez co przejść trzeba. Jest bowiem scena wyroku...

„Ledwie w dziesiątym roku odważam się opisać tę straszną scenę, która się z nami w Petersburgu wydarzyła... Ile razy ją sobie wystawiałem, natura wzdrygała się na samo wspomnienie zdarzeń d. 2 grudnia 1797 r. Dziwno mi nawet było, czyli raczej gniewałem się, jeżeli kto był tyle bezwstydnym i o tym dniu gadać poczynął w przytomności mojej... Co do mnie w moment wysłuchania dekretu pozbyłem się miłości własnej. Jeszcze dotychczas (to jest do chwili wyroku) przedstawiałem sobie hańbę, którą w umyśle niektórych mój areszt może zrodził i moje łańcuchy... po dekrete już tego nie czułem“.

Chwilą, która wypruwa z serca ks. Ciecier-

skiego resztki „miłości własnej“, jest chwila zdjęcia z niego święceń. Trzech ich jest księży, którzy pozbawieni mają być sakry. Aktu tego dokonać ma osławiony metropolita Siostrzeńcewicz. „Tu się wstrząsły wszystkie żyły moje! — wyznaje ks. Ciecierski. Gniew, żal naprzemian pasowały się w duszy mojej. Niech sobie co chce robi przemoc, ale zacóż stolica i obrona niewinności — Kościół odpycha nas od siebie? i jako ze zbrodniarzami postępuje? Na pierwszą przemowę metropolity, czytaną z księgi ceremonjów kościelnych, lunęły mi łzy ryczałem z oczu. Ach Boże! — pomyślałem, któż tu jest zbrodniarzem? któż łotrem nie wartym społeczności ludzkiej... Polityka, bojaźń i podłość są większe nad prawa, niewinność i sprawiedliwość!“...

Wprawdzie metropolita, na żądanie księży, ceremonji dopełnia powierzchownie; wprawdzie po dziesięciu latach jeszcze usprawiedliwić chce swój postępek: — niemniej zdzierają z księży ubiory kapłanów, wycierają ręce „poświęcone dla służby Boga“ i oddają zwierzchności świeckiej, jako „ludzi, co występkami swemi tyle społeczności ludzkiej byli szkodliwemi, że ich też na swym łonie więcej cierpieć nie była powinna“...

Ksiądz Ciecierski chwili tej nie zapomni nigdy. Po latach, latach wyznaje, że „ile razy na przedmioty w tej scenie umieszczone patrzę, lub mimo nich przechodzę, krew się we mnie burzy“... Powiada: wstrząsły się we mnie żyły. W istocie: krzywda, ból, zwątpienie o „sprawie-

dliwości i prawie“ nawskroś przeorają duszę Dominikanina. Znika z niej najpierw miłość własna. Wraz z nią uchodzi przeświadczenie o własnej ks. Ciecierskiego wyjątkowości. Był ks. Ciecierski, przeor, osoba, stojąca na świeczniku—a oto niema już ani księdza, ani przeora, a jest grudka prochu, którą wiatr przywionie do tego lub innego kopca, jest ktoś szary i nieznamy, co wsunie się pocichu w tłum nieszczęśliwych i zmiesza się z nim. Było trzech księży sądzonych, trzech j e d n y c h:—po dekrete znaleźli się nagle wśród nieprzeliczonej rzeszy takich, jak oni, „zbrodniarzy“:—jak ocean są. Pomniejszony, pohańbiony z pozoru dostojnik pod cięciami pługa, który przeorał oto jego duszę, jawi się z dostojenstwem nowym, z mocą, jakiej dotąd ze siebie nie dobył.

Prowadzony jest na szafot. Zebrały się krocie narodu. Wyrok skazuje go na knutowanie i rozdarcie nozdrzy. Ks. Ciecierski nie płacze już. Nigdy jeszcze cielesnie nie tknięty, lękał się męki cielesnej. Lecz „w tym nieszczęśliwym momencie, w którym tak haniebnie ulec mieliśmy nieszczęściu, ani najmniejszego poruszenia nie uczułem“. Zdobywa się nawet na humor, na ten uśmiech do głębi smutnych i mówi do pogrążonego w melancholji ks. Dąbrowskiego: „wszystko źle; wszystko niedobrze, ale najgorzej temu, kto ma nos wielki:—rozsztutują mu tutaj tę niegdyś zaletę płci męskiej“. Rośnie, mężczyje. Czuje spokój. nieustraszonść, pogardę ży-

cia, świata i całej jego okazałości. „Już mi nawet strasznym nie był groźny Paweł!” — powiada. Wzbiera w nim moc taka, że chciałby wołać do ludu, przemówić. Żałuje w tej chwili, że rosyjskiej mowy nie zna, po rosyjsku przemówić nie umie. „Rzeknę ja tu do tego ludu — myśli w sobie — że na niewinne ofiary patrząc, uczyć się powinien przywiązania do ojczyzny i praw swoich, albo raczej narzekać będę na sprawców nieszczęścia naszego; powiem Pawłowi: pij krew, którą ci Repnin roztaczać umyślił z wolnych republikanów, chcących być użytecznymi i do grobu nieszczęsnej Ojczyźnie!”...

lny już człowiek wchodzi na drogę wygnańczą. Litera po literze poznaje cały alfabet tej doli, która się zwie zesłaniem. „Zawsze głodni, zawsze niewyspani, zawsze ciężarem łańcuchów obarczeni... Na rzekach topiliśmy się; na stancjach po śliskich schodach śkuci poodbijałiśmy sobie ręce, nosy, zęby; głodni — jedliśmy surowe ryby, surowe mięso i to jeszcze zmarzłe”... Im bliżej Nerczyńska, tym straszniejsze spotykają typy. — „Cóż to za kraj, co za ludzie? pyta zdumiony ks. Ciecierski jakiegoś skazańca. Ów odpowiada szczerze, że to kraj jest jeden na obrębie ziemi, w którym sam Pan Bóg przebywać nie chciał. „Chrystus — rzecze — odwiedził ze zwolennikami swemi świat cały, gdy zaś wstąpił na powierzchnię tutejszą, poglądnął, popatrzał, kiwnął głową i zwrócił się napowrót, mówiąc: Żyjcie wy sami sobie! Moja noga tu

nie postanie! — Jakże chcesz, pyta skazaniec — jakże chcesz, aby tu dobrze było, kiedy sam Zbawiciel wzgardził tym miejscem?...“

Okaze się wkrótce, że nieszczęścia przebyte i tak, zda się, ogromne, że już nieprześcignione, zmaleją, gdy duszą szarpnie ból nowy, z nowego poznania, z dopiero rozkwitłych niw uczuciowych wybuchały. Z chwilą, gdy ks. Ciecierski zrzucił z siebie dawnego człowieka, pamiętnik jego o nim samym, o jego osobistych klęskach żadnej już nie niesie wieści. „Jeśli coś wzruszało jeszcze—powiada—to tylko przez bojaźń dla towarzyszków, nie zaś przez miłość siebie samego“. Jeden drugiego cieszy, jeden drugiemu radzi, jeden drugiemu pomaga i ten „dru-gi“ właśnie jest przedmiotem całej troski i całego przywiązania. Pięciu ich szło razem na zesłanie — nie pozostaną razem. Wybije chwila rozstania. „Jeszcze raz żegnaliśmy się, jeszcześmy raz skrapiali jeden drugiemu splakane lica, zaklinaliśmy się wzajemnie do wytrwałości w cierpieniach, ożywialiśmy stroskane umysły nadzieją prędkiego uwolnienia. Nakoniec zgodziliśmy się prawie wszyscy na jednomyślne i stałe przedsięwzięcie, że republikaninowi nic szkodzić, nic go trwożyć nie może“... I nic już ks. Ciecierskiemu nie zaszkodzi, nic go nie zatrwoży, jeno, gdy się z przyjacielem najbliższym, z ks. Dąbrowskim, żegna: — „więcej niż pół godziny staliśmy, objawszy siebie, słowa nie mówiąc, jęk i płacz był naszym gadaniem“. Zaś ks. Dąbrow-

ski wzamian chwili tej myśli tylko o przyjacielu i nawet tak twarz stara się ułożyć, „że więcej wesołym, niż cierpiącym chciał się pokazać“.

Zostanie ks. Ciecierski sam w Górnej Kantorze, w tej Górnej Kantorze, gdzie tyle razy jeszcze dopłynie fala niedoli polskiej i obskoczą go rojem troski, niepokoje, tęsknoty. Myśli o ks. Dąbrowskim, który w Błagodacku rudę tłucze i nie przestaje trapić się strasznym przyjaciela losem. „Rozbić trzeba—notuje—dwadzieścia cztery pudy rudy dziennie, pracując ze złoczyńcami i złodziejami“. Myśli o towarzyszu Judyckim i drobiazgowo, z podziwu pełnym współczuciem, opisuje jego jarzmo. Bo trzeba było na dwudziestosążniowe góry i więcej wchodzić do robót, trzeba było dwanaście godzin rudę znosić, chodzić po śniegach i lodach cztery wiorsty codzień. Po dwunastu godzinach roboty trzeba było własną ręką zbitą rudę do wagi znieść, oczyścić miejsce i zdać dwanaście lub ośmnaście pudów zmielonego kruszcu. Nie lepiej, ku zmartwieniu ks. Ciecierskiego, dzieje się Judyckiemu, gdy zostaje „kantorowym stróżem“. Trzeba bowiem być „sługą najpodlejszego psiarczuka“. Trapi się tym ks. Ciecierski bardzo. Myśli jeszcze... o ucieczce i z wiadomością, że tuż na pograniczu płynie rzeka Argun, granica Chin, co rychlej posyła do towarzyszy. Myśli—i ta myśl jest ołowiana—myśli o kraju, a gdy dzięki wzajemnej pamięci towarzyszy dowiaduje się, że dwu nowych przywieźli Polaków, „chęć

widzenia, kto, zaco, oraz co też po wyjeździe naszym z Polski dzieje się, rozrywa (go) prawie“... Przybysze — to Dłuski i umierający Nartowski. Aby przedostać się do lazaretu, ks. Ciecierski symuluje chorobę i istotnie, dzięki ludzkości lekarza, czuwać może nad dogorywającym towarzyszem do ostatniej chwili.

Notatki jego o Nartowskim czynią wrażenie, jak gdyby wytłumaczyć chciał, usprawiedliwić towarzysza-republikanina, że zmogło go cierpienie fizyczne, że nie dał mu rady. „Człowiek był delikatny“ mówi o nim,—artysta, esteta. Zesłano go do fabryki, gdzie srebro topią. „Szedł słaby wśród rozbójników do domu, którego sama figura może nastraszyć każdego. Dostrzegł zdaleka gęsty dym, iskry błyskające, które z kominów na wolne wylatywały powietrze. Poczul arszenalne części w zapachu czosnku, tłumiące oddech... a blady ogień, z przeraźliwą sinością i siarczystym płomieniem złączony, wyciskał z niego zimne poty,— osłabł, zemdlał i upadł“. Po chwili zaś dodaje, jakby w samej fizycznej niemocy Nartowskiego za mało jeszcze było usprawiedliwienia dla jego nieodporności: Wspominali o jego graniu, jako o sztuce najosobliwszej, — ta to podobno własność, nie pozwoliła mu znieść przykrości, na które był skazany.“

Głębiej, silniej, niż kiedykolwiek własne przeżywał życie, ks. Ciecierski przeżywa dołę— niedolę towarzyszy. On, który daleki jest od wszelkiej frazeologii, od wszelkiego literackiego

zabarwienia wzruszeń, powiada, gdy umiera współwygnaniec, Stefan Poznański: „Nigdy nas kajdany tyle nie straszyły, nigdy nawet najsroższe męczarnie tak ciężkie nie były, ani tak na umyśle upadli nie byliśmy, jak po stracie tego najlepszego człowieka“. Gdy zaś w smrodliwej i dymnej izbie, „pośród kilkunastu rozbójników i ich dzieci, na twardej ławie, bez żadnej miłosiernej ręki“, dogorywa konfederat Judycki, gdy, „za nic mając śmierć i cierpienia“, zaufanego sierżanta pyta tylko a pyta, czyli niema wieści od ks. Ciecierskiego, pomyślnej wieści o stanie Ojczyzny czy niema, ks. Ciecierski srogi swój ból ujmuje w wykrzyk: „umierałem prawie z umierającym!“—i czuje się, że jest to wyraz jego cierpienia prawdziwy.

Jak kłujące oczy uczepią się pamięci ks. Ciecierskiego wszystkie niewole przeżycia. Nigdy, jak konfederat Chojecki, nie będzie mógł powiedzieć o sobie, że „zapomniał o ośmioletnim w Moskwie smutku“. Powie: „musi być dobrze serce krwią zapiekłe, gdy i przez dwuletni przeciąg czasu niema tej godziny, w którejby się nie odnawiała smutna pamięć przecierpianych nieszczęść, boleści i przykrości“...

Po stokrotnie, po tysiąckrotnie powtórzyły się tam, pod falą, dzieje serc krwią zapiekłych.

VI.

Powiedziano jest w jednym z pamiętników, mających za przedmiot życie Napoleona na wyspie św. Heleny, że dni jego upływały „w ciągłej i zabójczej jednostajności” i że wspomnienia a tęsknoty były im „najniebezpieczniejszymi wrogami”. Wspominał... Biło zapewne ze wspomnień echo: „niech żyje wskrzesiciel Polski!”, echo niebotycznej niegdyś, a już powalonej potęgi. Lecz nieszczęśliwy życiem więźnia i nieszczęściem spętanego lwa żył jednak. Nie pytał go więc szept niespanych nocy: co uczyniłeś z nadzieją narodu? Nie sączyła mu się nigdy w serce krew wytoczona z leggi i nigdy nie wyjrzały nań z mroku źrenice,

.....podobne do kawałków szklanych, które zostają w oknach więzień kratowanych, których barwa jest szara, jak tkanka pajęcza, a które, patrząc z boku, świecą się jak tęczą: i widać w nich rdzę krwawą, iskry, ciemne plamy...
...Straciły przezroczystość, lecz widać po wierzchu, że leżały w wilgoci, w pustkach, w ziemi, w zmierz-
[chu...

Nie był bez granic nieszczęśliwy.

Bo w wilgoci i w pustkach, w ziemi i w zmierzchu leżały całe tłumy źrenic wtedy, gdy „przestrzeń ziemi od Prosny aż do Dniepru i od Galicji do Bałtyckiego morza urządzono jako ogromne więzienie“. Nowosilcow rządzi. Znaczy się ślad jego rządów ośmiu klasztorami wileńskimi, przeistoczonemi na więzienia, odbija się rzut jego zbrodniczej ręki o Bobrujsk i Orenburg, o Ufę i Nerczyńsk. Spowiada się w tej epoce naszej walki cynizm gwałtu z niebywałą zaiste otwartością; bo oto z „przyjaciółmi cnoty“ walczy, bezrozumną narodowość polską chce wytępić...

I niebywałą także jest tej wojny rezultat.

Uświęcają się w więziennej celi wszystkie owe rysy, które składały się dotąd na twarz człowieka z pod fali, i rodzą się rysy nowe. Po sześciu miesiącach bezowocnego śledztwa, Zana, by ocalić towarzyszy, „winę“ bierze na siebie. Zawiązuje się między garścią więzionej młodzieży braterstwo prawdziwie ewangeliczne, od celi do celi leci na cichych stopach miłość, otucha, pokrzepienie. Te rysy znamy już. Pojawiają się subtelniejsze, bardziej przeduchowione. Słodycz Zana przedzie po celach atmosferę miękką, przycieniającą ostre kanty niedoli. Lecz tu także podnosi się niesłyszany dotąd głos buntu przeciw krzywdzie: — Z Bogiem, lub mimo Boga! Biję w niebo krzyk zwątpienia:

Cierpię, szaleję—a ty mądrze i wesoło
Zawsze rządzisz
Zawsze sądzisz
I mówią, że ty nie błądzisz!...

Poczyna się tu owa Samsonowa chwila,
„kiedy więzień i ślepy dumał u kolumny“ —:
płatek po płatku odrywa się od duszy wszystko,
co było jej szczęściem czy westchnieniem
osobistym, uświadamia się tu sobie miłość, która
kocha za miliony, podnosi tu głowę pragnienie:

Daj mi rząd dusz,—chcę czuciem rządzić,
które jest we mnie!...

Rodzi się Konrad...

Długą, świetlistą smugą legnie noc więzienia
poety na życiu narodowym. Zabarwi światopogląd
całego pokolenia literackiego, wryje się głęboko
w wiarę najlepszych i najczystszych. Za miliony
kochająca miłość stanie się miłością ofiarniczą
i mesjaniczną; naród, który

już głowę konającą spuścił,
wołając: Panie, Panie, zacoś mnie opuścił?
stanie się w pojęciu całej epoki Chrystusem
narodów, a gdy na ziemi pojawi się namiestnik
wolności,

...na sławie zbuduje ogromy
swego kościoła...

Poezja, filozofja, cnota i czyn tak oto z mroku nocy, z głuchej celi Bazyljańskiego więzienia odpowiedzą wyzwaniu siepacza, który przyszedł mordować cnotę filarecką i bezrozumną narodo-wość sądził, że tępi...

Zakwitną w atmosferze tego światopoglądu dusze, o których Słowacki mówi, że przez anioła są opętane, i szelest ich skrzydeł posłyszemy jeszcze nieraz w marzeniach wybrańców, w powszednim dniu naszym, wśród szczęku oręża, w kazamatach moskiewskich, w godzinie skonów i na ziemiach tułactwa. Gwiazda wiary długo jeszcze znaczyć będzie drogę tych pątników i płonąć będzie żarliwiej, niż kiedykolwiek. Ale właśnie dlatego, że kraj swój zobaczyli jako Chrystusa na krzyżu rozpiętego; że wiara w Boga i miłość Ojczyzny zlały się u nich w jedno; że żałobne, a nad wszystko ukochane szczątki przebóstwili: — staną się przedziwnie czuli na wszelki cios Ojczyźnie zadany. Dlatego tlić się poczyna w tej wierze iskra buntu, który już to jest krzykiem cierpiącej miłości i wyzwaniem Konrada uderza w niebo, już — przeciw faryzeuszom się zwraca, nikczemność chce wypędzić ze świątyni, odkupić ją chce i Trzecie Królestwo sprowadzić na ziemię.

To samozachowawczy instynkt narodu zapładnia ową iście anielską wiarę zarzewiem buntowniczym, zarzewiem jednostkowego zwątpienia lub iskrą myśli reformatorskiej. Zdarza się bowiem, że gdy zarzewia tego zbraknie, dusza,

idąc po tej mlecznej, po tej gwiazdzistej drodze, nagle wchodzi na obłądne jakieś manowce. Dobro i zło widzieć poczyną w kształcie widmowym i zgoła związek swój z rzeczywistością polską zatracą.

„Kiedyśmy w 31 r. przybyli do Francji utrzymywaliśmy w tułactwie naszym jeszcze silniej tego ducha, który nas wprzód ożywiał, utrzymywaliśmy to dawne wyobrażenie, że główną naszą powinnością jest żywić w sercach naszych nienawiść i zemstę dla rządu rosyjskiego, walczyć z nim, szkodzić mu wszystkimi sposobami, a nadewszystko rewolucyjnymi. Takie dążenie było czuciem, było życiem, było, rzecz możemy, religją naszą, bo wyobrażaliśmy sobie, że, tak postępując, spełniamy obowiązek miłości i ofiary nie tylko dla Ojczyzny, ale też i dla Boga i każdego bliźniego, równie jak i my w niewoli cierpiącego. Składamy przed Bogiem żal nasz, że... wykraczaliśmy wprost przeciw miłości Boga“...

Ten list Nabelaka, Dzwonkowskiego, Rózyckiego, Seweryna Goszczyńskiego i ks. Edwarda Duńskiego, list nieposzlakowanych żołnierzy wolności do Aleksandra II, jestżeż on zaprzęstwem, wyznaniem renegatów? To tylko ślepa i bezwładna rozpacz rzuca się w nurt ekstazy religijnej w nadziei, że zatopi w niej ból i chromość swą. Mówi głos topielicy...

Głosy zaś żywe, wszystko, czym naród oddycha, co złożyło się na jedną z najświetniej-

szych kart jego kultury, co aż w samo serce naszych dni posyła moc i nakaz trwania: — wszystko to krystalizuje się tam, w Wilnie, za sprawy filomackiej, w celi Bazyljańskiego więzienia. Bar, wojna Kościuszkowska, legjony, Tobolsk, Nerczyńsk, Kamczatka, dalekie to, dalekie... Wydaje się to wszystko nieraz jak echo nie z tego świata, jak straszący zwid, który z brzaskiem dnia rozwieje się w mgłę. Ale kto nie zna Wilna? Kto z garstką filaretów nie żył, jak z braćmi? Kto twarzy Mickiewicza nie wspomina wśród najbliższych twarzy? Kto nie przeżył „Dziadów“, jako swojej codniowej, rodzonej rzeczywistości?

Z obrazem więzienia Bazyljańskiego, ze sprawą filaretów, wsiąka w świadomość polską obecność więzienia tuż—tuż, o staje, na ziemi własnej, na tej ziemi, gdzie go przed chwilą jeszcze nie było, a gdzie każe mu odtąd być gwałt. Obecność tego więzienia stawia przed oczy z przejaskrawą wyrazistością całą sromotę niewoli i, bardziej jeszcze do odporu jednocząc wszystkich, którym sądzono jest zginąć pod falą, wnika w każdą szparę duszy szeptem: niepewnyś dnia ani godziny! Czyni się w sercach popłoch, który już nie zamilknie, póki nie wykrwawi się ostatnie walki słowo. W tym oto popłochu, który nie jest trwogą, lecz tylko wstydem ujarzmionego, rokoszem dumy, na którą za chwilę spadnie zniewaga, bólem pracownika, że u progu więzienia zawsze niedokończone zosta-

wia za sobą zadania, w tym strasznym, w tym cochwilowym popłochu pracować będzie odtąd serce i myśl Polaka. Bo już za moment ode-
mną się wrota Karmelitów i za moment jeszcze pisać się poczną dzieje Bastylji naszej — dzieje Cytadeli.

Z cel Bazylijańskiego klasztoru po raz pierwszy poniesie się w obojętność świata krzyk katowanych dzieci, płacz matek, wieść o więzienym obłądnie. Tu ma początek nowa polska wiedza, tak niezmierzona w granicach swoich, jak nieobjętym jest bezmiar niehumanitarnego okrucieństwa: wiedza o śledztwie moskiewskim. Całe zaś poznanie, które z tej przeogromnej wiedzy wyniesie dusza więźnia, zamknie się w słowach: nic nie wiem, nic nie powiem!

By się jednak te słowa stały „przysłowiem“, jakąż przychodzi je okupić męką! Cały aparat tortur, obmyślonych przez śledztwo, dąży przecież tylko do tego, aby duszę więźnia upodlić, pohańbić, z świętego uczynić Judasza, z bezwinnego otrzymać zbrodnię:

przez wiele nocy spać nie pozwalano,
karmiono śledziami i pić nie dawano,
pojocono opjumi—nasyłano strachy,
Larwy—łaskotano w podeszwy, pod pachy...

Skatowane ciało, cienie nocy, sny, co „straszą i ludzka“, gorączka głodu i pragnienia, szepcząca samotność, strach przed najokropniejszą

z możliwości, która jednak jest gdzieś blisko, przycupnięta, przyczajona, w kątach celi, w zakamarkach mózgu, w dreszczu wyobraźni, a zwie się — Zdrada: — jakże łatwo wszystko to razem utkać może niezmazalną winę! Więc

całą jego było obroną — milczenie.

To mówi wiedza o śledztwie rosyjskim. I jest to poznanie w tym przedmiocie najwyższe i ostatnie, bo ilekroć ktokolwiek mową starał się rozgmatwać i uprościć sprawę, tryumfował duszy kat. Tryumfował także nieraz samą fizyczną siłą swoich metod, zmagał niemi dusze mocne i otwierał usta zaciśnięte. Nie sądzić ich nam jednak, a płakać nad nimi, jak płakały nad sobą.

Tu jeszcze, w ciemnicach Bazyljańskich, bez słońca, powietrza i pokarmu, w kuźni męki, dusze chłopięce, wczoraj pełne radości i swawoli, cudem jakoby mężnieją, hartują i odmieniają się. U progu życia testament swój nieledwie wydzwaniają łańcuchem:

...Postrzegł, że lud płacze, patrząc na łańcuchy,
Wstrząsnął nogą łańcuch na znak, że mu niezbyt
[ciężył.

A wtym zacięto konia — kibitka runęła —
On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył,
I trzykroć krzyknął: Jeszcze Polska nie zginęła!
Wpadli w tłum, ale długo ta ręka ku niebu,
Kapelusz czarny, jako chorągiew pogrzebu,

Głowa, z której włos przemoc odarła bezwstydną,
Głowa niezawstydzona, dumna, zdala widna...
...Ta ręka i ta głowa została mi w oku,
I zostaną w mej myśli, i w drodze żywota
Jak kompas pokażą mi, powiodą, gdzie cnota:
Jeśli zapomnę o nich, ty, Boże na niebie,
Zapomnij o mnie!

Chowa pamięć polska do dziś dnia obraz
ten i jego wymowę. Dźwiga także owego, co

Jak słup sterczał i jak z krzyża zdjęte
Ręce miał nad barkami żołnierza rozpięte;
Oczy straszne, zbielałe, szeroko rozwarte...

Radość leżała zakatowana u wrót Bazy-
ljańskiego więzienia.

VII.

I przyszło spojrzeć oczom polskim w otchłań polskiej samotności. Przyszło poznać, że sam jest naród. Przyszło pojąć grozę wysiłków i nadziei daremnych.

Sam z siebie dźwignij się, narodzie mój!
Zwarty bądź, silny, jeden! Samotny-s jest!

Niosła się ta wiedza z krwi legionów daremnie przelanej, z duszy Dąbrowskiego, gdy w przedśmiertnym jasnowidzeniu spojrział na drogę znoju i złud swoich. W bezdenną jamę tej samotności patrzył Zan, gdy przez towarzystwo filaretów jednoczyć chciał Litwę, Białoruś, Żmudź i Ukrainę; z bezdna samotności polskiej szedł też ponury szept wolnomularstwa narodowego.

— *Gdzie się znajdujemy, bracia?— Przy grobowcach. Jaki jest czas?— Sama północ...*

O północy, w godzinie wieszczych duchów, siadał Łukasiński nad mogiłami Sławy i Wolności, aby grobowce odwalić, martwe powołać do życia. Sam za to żywcem do grobu złożon, w grobie leżący dotąd z pół przywartemi po-

wieki, słowo po słowie wymawia modlitwę swoją:

— Jest coś nad nami, co krzyżuje zamiary śmiertelnych! —

I pół-przywartemi oczami patrzy na Wolność, patrzy na Sławę, które o północy płakać przychodzą nad jego grobem...

Łukasiński! Jestżeż to człowiek? Jestżeż to wid? Może to legenda tylko, przypowieść o doli polskiej, niezatartemi farbami malowany obraz narodowej klęski?

Chorągwie rycerskie... bogoczeście legjony... Niech żyje wskrzesiciel!...

Świetne boje... Wielka Armja... Drezno...

„Kto nie przeżył—wolnym już!“...

Ale dola polska przeżyła i ocknęła się w ogródcach niewoli. Łukasiński, jako jeniec, pojmany pod Dreznem, chlebem jarzmionych dławi się na Węgrzech.

„Wskrzesiciel“ pada. W krwawych strzępach nadzieja leży. Szuka dola czymby żyć... W szatrze samotności swojej wchodzi...

...Spłćmy węzeł jedności, braterskie podajmy sobie dłonie...

„Wznos Narodowość, rozkrzewiaj użyteczne opinie, utrzymuj ducha, zagrzewaj twych współbraci i utwierdź ich stałość w sprawie Ojczyzny. Broń Towarzystwa i sławy narodowej, a na-dewszystko umiej być mężnym i nie uważaj na żadne niebezpieczeństwo, abyś z czasem mógł

osiągnąć tę najwyższą cnotę dobrowolnego poświęcenia się dla pomyślności twego kraju!...”

Tak mówi dola, która chce być wolną.

A szpieg Konstantego, szpieg Nowosilcowa idzie za nią krok w krok i chwytą, co powiada.

I gdy mówiła: *vincere aut mori!* — zacierał ręce. Gdy zaś stawiała u ołtarza Ojczyzny, ślubując: „...”, że jeżeli tego ołtarza postawić nie będziemy mogli w całej jego świetności, przynajmniej mu upaść nie pozwolimy — przysięgamy!...” biegał chyłkiem, cichaczem i także przysięgał: „W obliczu Boga Wszechmogącego... w obliczu Przenajświętszej Panny Marji... w obliczu wszystkich Świętych...” przysięgał, że oto pełni służbę rządową jak najgorliwiej... że sekret zachowa najgłębszy wszystkiego, co mu poruczono, poleceno i powierzono przez prawe jego naczelnictwo...

Imię szpiega było Karski.

Tak więc poszła dola tą ciemną, sierocą drogą, od więzienia do więzienia.

W więzieniu stanął jej dom, zawarła się mogiła w więzieniu.

Dziś będzie to więzienie Karmelickie, jutro Zamość — twierdza do niedawna własna. Będzie to Góra, Ludwisarnia, Koszary artyleryjskie, Bobrujsk... Aż przyjdą dni Schlisselburga.

I oto w prochu i brudzie ulicznym legły znaki chwały. Wiarę człowieka, sławę Polaka depta noga siepacza...

Złamana spada, zdarte znaki rycerskie.

Płacze lud. Po twarzach Rosjan-żołnierzy płyną łzy. I gdy po pół wieku blisko Piotr Wysocki wspomni pole Marsowe, wspomni chwilę, w której z Łukasińskiego zrywano szlify, on, stary więzień Akatujski, zaszłocha.

Sprzysięgną się niebo i piekło, aby dołę tę powalić. Ponowną zdradą uderzy ją brat. Pułkownik Sznajder, kapitan Skrobecki — to towarzysze broni, bracia wolnomularze.

Mniemało nieszcześnie znaleźć źródło siły w związku z walczącymi przeciw tyranji w Rosji: — odkrycie spisku dekabrystów nową tylko pętlę zarzuci mu na szyję.

Marzy, że pętlę zrzuci. Kiedyż o wolności nie marzy niewola? Szpieg zna to marzenie... Zaczał się, podsyci, rozogni je i z głębin duszy wywabi na świat. To jest bunt Zamojski.

Sąd nad Łukasińskim? Któż sądy sprawuje nad dołą polską. Sądzi kat. Wyrok? *Vincere aut mori* — mówi dola. Skazuję cię na wieczystą mękę — kat powiata. Skazan jest Łukasiński na dożywotnie więzienie, on, który chciał zwyciężyć albo zginąć...

Więc może z zapadnięciem wyroku uczynił się nad nim spokój? Kiedyż w spokoju płakać mogła dola Polaka? Prawo kata mówi: zdradzaj!, bo tylko zdrada w prawie tym zwie się prawdą i wydobywa prawdę po katowsku.

Długo, długo z zaciśniętych ust Łukasińskiego nie padło żadne słowo...

* * *

„...Więc gdy zdjęto trumien wieka, wzdrgnął się Anhelli, widząc, że umarli byli jeszcze w łańcuchach, i rzekł:

...obudź tego starca z siwą brodą i z białymi włosami, bo mi się zdaje, że go znał żywym.

A Szaman, spojrzawszy surowo, rzekł: Cóż więc, oto go wskrzeszę, a ty go znów zabijesz. Zaprawdę i dwa razy go wskrzeszę i dwa razy od ciebie śmierć weźmie.

...Spojrzał Szaman na starca w trumnie i rzekł: wstań. A ciało w łańcuchach podniosło się i usiadło, patrząc się na ludzi, jako człowiek śpiący.

A poznawszy go wtenczas, Anhelli rzekł: witaj człowieku, moży nigdyś w rodzie i jeden z najmędrszych.

Cóż więc przywiodło ciebie w więzieniu, abyś się spłaszczyl przed władzą i czynił owo wyznanie winy, o którym słyszeliśmy?...

Zaszkodziłeś nam, albowiem dziś mówią do nas ludzie obcy: oto przewodnicy wasi... zmieniają serca dla narodu, a tylko ludzie mali trwają w stałości...

...A gdy to mówił Anhelli, stało się podług słów Szamana, że wskrzeszony ów, jęknąwszy, umarł na nowo“...

* * *

Nie trzeba podnosić wieka jego trumny, by mówić nad nią ludzką obmowę —

Bo zaprawdę umarłby po raz wtóry.

Nie trzeba nad trumną doli polskiej, szeptać, że nad straszliwą jej moc mocniejsze było cierpienie.

.....
Pieśń trzydziestego pierwszego roku rozszalała na chwilę wrota więzienia polskiego. Na wolność szła dola...

Czyja dola?

Zapomniana przez bogi, zapomniana przez ludzi jest dola Polaka.

O Łukasieńskim nie pamiętał nikt.

Zapomniano.

Szedł słuch, że go u działa swego włókł, het poza Bugiem, uchodzący wolno Konstanty. Widziano przykutego do działa człowieka, widziano łachman człowieka, a ręce miał skowane i skowane nogi. Szepłali więźniowie dyneburscy, że na ścianie jednej z cel ich więzienia wyryte było nazwisko: Łukasieński. Widziano go w Bobrujsku... Snuł się w mroku rozlicznych korytarzy więziennych cień nieznany, niewiadomy, snuła się mara w szarym, aresztanckim chałacie i znikła na wieki... Dreszcz mówił: Łukasieński.

O, dolol!...

Trzydzieści siedm lat, a może wiek, może i dłużej w murach Schlisselburga chwyta Łukasieński czułym uchem więźnia postuk butów żandarmskich, szepty wrogów, jęki chorych, wes-

tchnienia wszechobecnej tu śmierci. Sam żyje. Zmieniają się miana carów:—dla niego nie zmienia się nic. Odnawiają się pokolenia więźniów:—dla niego niema odnowy. Rosną wokoło niego mogiły:—on żyje. Nieznany i zapomniany nawet przez władzę więzienną, która tego wiecześnie niebezpiecznego więźnia wiecześnie musi pilnować, żyje. Biegnie od żandarmów do ministrów zapytanie, kto on i jaka jest jego wina? Jakby pytać się było trzeba, jaka w więzieniu gwałtu jest wina Polaka?

Trwa, leżąc w kamiennym swoim grobie...

*
*
*

Imię tego żywota jest Klęska. Nie było nie-szczęśliwszego człowieka.

Był mężny. Trzeba było męstwa, aby woli Konstantego przeciwstawić własne sumienie. W sądzie nad trzema oficerami komendantury Zamojskiej, w sądzie, od którego Konstanty żąda z góry wyroku jak najsurowszego, Łukasinski oświadcza: „Wyroku nie podpiszę, gdyż jeśli jestem sędzią, mam prawo i obowiązek sądzić; jeśli zaś nim nie jestem, podpis mój jest zbyteczny“.

Był silny. Gdy po egzekucji za rogatką powązkowską założono mu na nogi dwudziestodwufuntowe kajdany, w ręce dano taczki i tak

kazano przejść przed frontem wojsk, szedł dumnie, choć nogi płatały się w żelazie, szedł z głową podniesioną i nie spuszczał oczu przed spojrzeniem kolegów i żołnierzy... A tamci płakali...

Ale był w nim jednocześnie rys wspólny wszystkim ludziom jego rodziny, wielka tkliwość, wielka miękkość, gdy szło o los cudzy. Zamknięty w więzieniu Karmelickim, wśród współuwięzionych — więzień najnieszczęśliwszy, odosobniony i odcięty, znajduje jednak drogi i sposoby, by towarzyszom przesłać znaki pociechy i pokrzepienia. Musiał ten człowiek mieć nieprzebrane w sobie zasoby tkliwości, skoro po całym życiu klęsk, przez wszystkich zawiedziony, przez wszystkich zapomniany, po trzydziestu siedmiu latach Schlisselburga, sam już widmo tylko i duch — jeszcze umie dojrzeć smutek w oczach ludzkich, jeszcze nad nieszczęściem innych boleje. W liście do Leparskiego, byłego komendanta Schlisselburga, jedyne go człowieka, którego starania wniosły w życie jego więzienne niejaką ulgę, powiada: „zauważyłem, że na odjezdnym była smutna (córka Leparskiego — Olga) ...życzę jej wesołości i spokoju serca i umysłu“... Píše jeszcze: „W Warszawie wiele o mnie mówią, żałując, że ja tu znoszę różne rodzaje udręczeń, — tam, w samej Warszawie znajduje się znaczna liczba osób daleko nieszczęśliwszych ode mnie i ich cierpienia odzywają się boleśnie w moim sercu“... .

Był to także człowiek niezłomny i od po-

czątku do końca przedziwnie jeden. W Zamościu, nie mając, nie mogąc mieć wątpliwości żadnych co do losu swego, gdy losu tego śmiertelnym wrogiem był Konstanty, w długie wieczory, zamknięty z współtowarzyszami w ciemnej celi, Łukasiński mówi im o Sparcie i Tebach, o greckich bohaterach, o Pelopidasie i Epaminondasie, o zwycięstwie ofiary nad przemocą. Snuje w tysiącorkach obrazach myśl, której zaprzysiągł życie: zdobądź najwyższą cnotę, cnotę dobrowolnego poświęcenia się dla Ojczyzny... W tysiącorkach przenośniach o jednym mówi: o wolnej Ojczyźnie. Michał Bakunin, pierwszy człowiek, który po dwudziestu siedmiu latach z Schlisselburga dał światu wieść o Łukasińskim, tak o nim opowiada:

„W czasie, gdy nas wypuszczono na powietrze, dnia jednego uderzyła mnie postać pierwszy raz widziana, postać starca z długą brodą, jakkolwiek zgięta, wojskowej postawy. Strzegł go osobno oficer dyżurny tak, aby nikt nie zbliżał się do niego. Starzec ten chodził powolnym, słabym, jakby miarowym krokiem, nie oglądając się na nikogo. Pomiędzy oficerami dyżurnymi był jeden człowiek godny, spółczujący, od niego dowiedziałem się w zaufaniu, iż ów więzień — to major Łukasiński. Cała moja usiłność była, by móc go jeszcze zobaczyć, przemówić do niego: ułatwił mi to zacny oficer. Po kilku tygodniach, w czasie dyżuru tego oficera, pod jego osłoną znów wyprowadzono Łukasiń-

skiego; sposobem umówionym zawczasu, niepostrzeżony od współwięźniów, podszedłem doń zblizka i półgłosem zawołałem: Łukasziński! Drgnął na całym ciele, obrócił na mnie półzaciemnione oczy.

— Kto?—zapytał.

— Więzień od tego roku — odpowiedziałem.

— Który rok?—zapytał.

Odpowiedziałem.

— Kto w Polsce?

— Mikołaj.

— Konstanty?

— Nie żyje.

— Co w Polsce?

— Wkrótce dobrze będzie — odpowiedziałem.

Odwrócił się nagle, stanął, widziałem przyspieszony jego oddech, obejrzał się,—po chwili szedł znów swym zwykłym, słabym, miarowym krokiem, powoli, ze spuszczoną głową“...

Po dwudziestu siedmiu latach Schlisselburskiego więzienia, gdy po raz pierwszy spotyka człowieka, pierwsza jego myśl jest: Kto w Polsce? Co w Polsce? I ostatnia jego myśl do Polski należy. W testamencie swoim powiada:

„...Mój głos jest mniej, jak głos w pustyni, on nie będzie słyszany przez żadne żyjące jestestwo... Z urodzenia i wychowania Polak, nienawidziłem Rosji i jej mieszkańców. To były skutki wrażeń, jakie na mój dziecinny umysł

zrobiły krwawe sceny 1794. Wiek, a z nim doświadczenie i lepiej poznana religja umiarkowały moje skłonności i uczucia. Nie przestając kochać nad wszystko moją ojczyznę, nie mogę nienawidzić żadnego narodu... Oświadczam, że moje ostatnie tchnienie będzie poświęcone mojej ojczyźnie i ostatnia modlitwa za jej pomyślność i pomyślność tych, którzy ją wspierali i jej służyli, którzy zostali wiernymi w jej nieszczęściu i dzielili z nią cierpienie“...

Mężny, silny, niezłomny i tkliwy pozostał do ostatka.

I może właśnie ta tkliwość jego, obok gorzkiej wiedzy o własnej bezsile, o niemożliwości dalszego utrzymania Towarzystwa Patryjotycznego, o daremności jakichkolwiek w tym kierunku zabiegów, może tkliwość ta zdziałała, że postanowił mówić...

„...Z boleścią serca przekonałem się, że błądziłem, sądząc Polaków zdolnymi do podobnych związków — wyznawał później, wspominając czas przed więzieniem Zamojskim. — Przebiegając w myśli szereg osób i ich charaktery, licząc głupstwa, które zrobili, ich niesforność i zarozumiałość w zdaniach, wreszcie, kiedy widziałem, że prawie wszyscy weszli do związku bez powołania, bez zastanowienia się nad osobistym niebezpieczeństwem, osądziłem, że ten związek w żadnym czasie, nawet w najpomyślniejszych okolicznościach nie przyniesie żadnej ko-

rzyści krajowi, lecz, przeciwnie, w każdym momencie szkodliwym mu być może“...

Wyprowadzono go, aby patrzył na kaźń młodego Sumińskiego, tego właśnie, który do buntu w Zamościu dał sygnał, a wzięty na męki, udział Łukasińskiego w buncie potwierdził. W jego oczach okutemu na rękach i nogach wyliczono czterysta kijów... Pokrwawionego wrzucono do podziemnego lochu.

Łukasiński blady i przerażony patrzył...

I może wtedy przesunęła mu się przed oczami wizja nieprzeliczonych męczeństw, które jeszcze przyjdą,—cały tłum ciał pokrwawionych, wpółmartwych, pasujących się po lochach z męką i śmiercią. Może pod uderzeniem tej wizji, z serca i tak dręczonego już daremnością i beznadzieją utrzymania związku, buchnęła myśl: Niechże ginie! niechże od jednego zamachu legnie w popiele. Dość ofiar! Niech zakończy się dzieło szpiega — niechże życie moje starczy za ofiary!

Dla siebie od początku żądał śmierci. Propozycję udania się do łaski monarszej odrzucił. Bezkarność członków związku, których wymieni, była mu zapewniona. Na zeznaniach jego istotnie nie ucierpiał nikt.

* * *

Mówiono, że na Sądzie Sejmowym wskazywał na skatowane swoje ciało.—Pojrzyjcie na

ciało moje, panowie, — mówić miał — i ocenie wartość zeznań, wydartych bólowi!

Lecz podanie to wydaje się nieprawdopodobne, gdy się zważy, co przecierpieć umiał ten człowiek.

Zamknięty w „Sekretnym zamku“ twierdzy Schlisselburskiej, w podziemiu pełnym wilgoci i mroku, na ubitej, nagiej ziemi trwał dwadzieścia lat. Warcie, która go strzegła, niewolno było przemówić do niego ani słowa, — nie uwzględniano nawet religijnych jego potrzeb: — odmawiano mu księdza-spowiednika. Bakunin, który w Schlisselburgu przeżył tylko lat trzy, a bliski był obłędu i samobójstwa, opowiada jeszcze, że prosił owego zacnego oficera, aby przemówił czasem do Łukaszińskiego, aby mu w czymkolwiek pomógł. Ów odparł, że do celi jego wchodzi się tylko we trzech, że inaczej niewolno, że więc nic uczynić nie można nigdy.

I do r. 1861 nie uczyniono dla niego nigdy nic. A trwał jednak w przeraźliwym grobie, gdzie suchoty, szkorbut, psychoza i tęsknota podcinają moc najsilniejszych, gdzie śmierć, włócząca się po celach, dziesiątkuje ofiary, trwał nieugięty, niezłamany, zawsze ten sam. Gdy w r. 1861 Leparski z własnej inicjatywy podejmuje starania, aby ulżyć tej bezprzykładnej męce, Łukasziński w liście do niego zastrzega: „bez żadnych próśb z mojej strony“!...

Nie otworzyła jego ust męka ciała. To du-

sza jego, w godzinę kaźni Sumińskiego, cierpiała ponad wszelką moc cierpienia.

Imię tego żywota jest Klęska. Nie było nieszczęśliwszego człowieka.

Czegokolwiek się tknął, z kimkolwiek bądź się spotkał: — wszystko i wszyscy przedli jego zgubę.

Nie było nieszczęśliwszego człowieka. Hioba doświadczał Bóg, Łukasińskiego doświadczał Konstanty. A Nowosilcow pomagał.

Hiob żywemi oczami ujrzał brzeg wyzwolenia. Łukasiński, skowany, na krześle przykutym do ziemi, w ciemnicy koszar artyleryjskich, słuchał salw nocy listopadowej. Szła Wolność... Tłumił oddech... nasłuchiwał... Słyszał jej szept... Słyszał jej pieśń... Słyszał, jak idzie ku drzwiom jego celi, wielka, zwycięska... Otwiera drzwi —

Wołyńcy szli z dobytymi szablami, na postronki wzięli, wlekli, wlekli...

Stało się, że uczciwość Leparskiego wydobyla go po dwudziestu jeden latach z lochów Sekretnego Zamku. Było to pamiętnego roku 1862. „Wzniósł ręce do góry... i łzy gorące zrosiły pierś tego starca“... Pozostał dalej „sekretnym aresztantem“, trzymany był dalej w fortecy, pod strażą, lecz dano stół, książki, przybory piśmienne, czasem gazety. Dozwolono księdza. Przyjeżdżali ludzie z Petersburga oglądać niepojęte zjawisko. Co w Polsce?—pytał.

A w Polsce był Wielki Rok.

Zawrzało w nim na nowo życie pragnień,
nadziei, życie miłości, trwóg i wiary...

Powstanie styczniowe upadło.

Nieszczęśliwszy był od Hioba.

— Gdzie jestem?—pytał w rzekomym pół-
oblędzie. — Samotny i obcy, jak bajeczny żyd
wieczny-tułacz, bez schroniska i bez Ojczyzny...
Co mi po świecie całym, gdy nie mogę odna-
leźć ojczyzny i grobu?... Zamknijcie człowieka
prostego w samotnej celi, pozostawcie go w niej
parę lat, a oszaleje lub stanie się wielkim mędr-
cem...

Mówił:

— Siła nie tworzy nic...

Żądał:

— Błagamy cię, miłosierny Boże, oddal od
nas ten kielich, z którego z obrzydzeniem i wstrę-
tem tak długo pijemy, lub daj nam odrazu wy-
próżnić go aż do dna i uleczyć nasze boleści...

Rachunek życia czynił:

— Pozostały mi tylko wiara i nadzieja,
których nie wyrwie nikt...

Czy oszalała, czy też mądrość najwyższą
posiadła dola polska?

VIII.

Polsce — Światu — Sławie śpiewała pieśń trzydziestego pierwszego roku.

Pójdziemy śladem dróg, które wzięły w siebie jej konający głos. Pójdziemy szlakiem, którym niosło się jej podzwonne.

Dawał jej podzwonne wróg. Polsce, światu, sławie... Polskę zetrzeć w proch, łachman jej sławy, ku urągowisku świata, zatknąć wysoko, na drzewcu szubienicy:—oto jak na swój język przetłumaczył gwałt pieśń wolności. Nic to, że tysiące a tysiące rodzin wywozi z Podola na Kaukaz, z Litwy, Białorusi i Wołynia — w głąb Rosji; nic, że konfiskuje majątki emigranckie, że chce zagnębić kraj rekrutem i podatkiem. Lecz duszę narodu chce znieprawić i zamordować, wiarę jego depcze, źródła wiedzy tamuje, chłostę i szpiegostwo wprowadza do szkół. Poniza, znieważa i katuje okrytego znojem żołnierza polskiego i jakby wszystkiego tego mało było jeszcze, Herodowe zwycięstwa święci nad dziećmi.

„...Ujrzeli obóz cały małych dzieciątek i pa-

chołat gnanych na Sybir, które odpoczywały przy ogniu. A we środku gromadki siedział pop na tatarskim koniu, mający u siodła dwa kosze z chlebem... I pytał dzieci o rzeczy niegodne, a pacholęta odpowiadały mu, przymilając się, albowiem miał u siodła kosze z chlebem i mógł je nakarmić, a były głodne"... Pacholęta te, które widział Anhelli, pędzono, jako przyszłych janczarów carskich, do zakładów kantonowych pod pozorem, że „sieroty to są, włóczęgi i nie mające przytułku“. W istocie—przy porywaniu dzieci odbywały się sceny straszliwe. Chłopi po wsiach chronili je do lasów i z kozakami staczali o nie walki. Opornych ojców zakuwano w łańcuchy i oddawano pod sąd. Rabowano chłopców sześcioletnich i siedmnastoletnich wyrostków narówni, obchodząc się z nimi, jak ze złoczyńcami.

„Już od kilku dni — opowiada świadek takiego porwania, czas był nadzwyczaj słotny i chłodny, a dnia tego padał deszcz ulewny. Żywej duszy nie było na ulicy, wtym około godziny pierwszej w południe daje się słyszeć turkot nadzwyczajny, tętent koni i krzykliwe płacze niewieście. Była to karawana zrabowanych dzieci, idąca od koszar aleksandryjskich ulicami: Nowe Miasto, Podwale, Krakowskie Przedmieście na ulicę Bednarską do mostu. Kto tylko co miał w domu z żywności, odzienia, pieniędzy, posyła lub wynosi, składa na wozy lub podaje niewinnym istotom,

które na zawsze tracą rodzice i ojczyzna. Goniące za swemi dziećmi matki rzucają się pod wozy, chcąc je zatrzymać, inne niewiasty dzielają ich boleść; stąd płacz powszechny, głośne przekleństwa, ale na ten czas nadaremne“...

Dochodziła do miejsc przeznaczenia zaledwie trzecia część tej dziatwy. Marły w marszu, słabe pozostawiano w drodze. „Wracający z Syberji widzieli mnóstwo trupów po drodze, w postaci skurczonej, obok nietkniętego chleba. Zdarza się często, że nadchodzący transport wygnańców, znajdując żyjące jeszcze dzieci, zabiera je z sobą. Widziano, jak zacni rycerzy polscy, obciążeni dybami lub ciężkimi łańcuchami, dźwigali na swych barkach znalezione dzieci“...

Na pobojowisku zaś, w Warszawie, gwałt wznosi mauzoleum własnego strachu i własnej bezsily, w kamieniu ciosany symbol rosyjskiego imperjum:—staje Cytadela.

I pędzon jest tłum jeden na Wschód:—Kijów, Kazań, Tobolsk... Znamy tę drogę. A tłum drugi na Zachód idzie: „nie jako niewolnicy, unikający zemsty rozgniewanego pana“, ale ...„jako wolni obywatele świetnego... a dziś ujarzmionego narodu, protestujący wobec Europy przeciw pogwałceniu jego świętych... praw“...

Wyszedł z kraju ogromny tłum ludu. — „Często tak tęsknię, jakby u was była Ojczyzna!“—pisze do braci wygnańców Brodziński.

A jednak, w tenże niemal moment, urastać

poczyna gościć trzeci. Ten biegnie pod ziemią. Cicho, cichutko sypią go zawsze miłość i wiara, aby—dziś ukryty i potajemny—wyrósł jutro w pewną ku wolności drogę.

To są tajne związki ówczesne,—jedne, niecierpliwie pracę do nowego, najszybszego powstania, inne — od wewnątrz pragnące wprzód stworzyć duszę wolnego Polaka. To jest Związek 21 i łoże węglarskie, i Stowarzyszenie Przyjaciół Ludu, to jest Konfederacja stróżów narodowości polskiej, i Towarzystwo Patryjotyczne Kaspra Maszkowskiego. We Lwowie i w Krakowie, w Warszawie i w dalekiej wsi wołyńskiej ubijają pracowite ręce nowy gościec wolności.

A jednocześnie z celi Savońskiego więzienia wylatuje w świat purpurowy ptak, ptak-żagiew i ptak-zwiastun, myśl niepodległościowa Mazziniego. Pod jej tchnieniem prężą się wszystkie pragnienia wygnańcze, bogacą się o nowe, na Zachodzie głośno już brzmiące tony i pilno im, najpilniej rozdzwiezczyć się na własnej ziemi, rozśpiewać się tam w spełnieniu.

A był czas jeszcze pańszczyźniany: świszczała w powietrzu pałka galicyjska, — na pół życia przepadał chłop w wojsku rosyjskim.

Jawi się człowiek szary, bez nazwiska, bez mienia, bez broni. Trzyma w rękach nic, szarą jak on sam, i snuje ją po zmierzchu, po nocy, od zagrody do zagrody, od sioła do sioła, od duszy do duszy. Szepcze wiarę swoją: szczęście

wszystkich—naszych prac przedmiotem. Polska i ludzkość — naszym hasłem! Idzie ten nowy, bezoreźny rycerz, a giermkami mu są wichry i mgły. Polska, ludzkość, szczęście!... To noc tajemna tajemny hejnał szumi. Idzie ten szary człowiek i przędzie po nocy sen nad sny, o wolności sen, a wymawia słowo swoje: wolność! tak cicho, jak wolni wymawiają: śmierć! Bo tuż za nim, po nocy i mgle, z ostępów leśnych i z zaułków miasta skrada się szpieg, pełźnie ohyda i słowo: śmierć! woła tak wszechmocnie, jak wolni wołają: wolność! Wolność, której głos jest wielki i potężny, stała się na ujarzmionej ziemi najcichszym i najtajniejszym słowem. Zdjął jej rycerz dzwoniącą zbroję, i oto idzie po nocy szary kміeć, emisariusz polski.

„Emisariusz propagandy rewolucyjnej, Szymon Konarski, rodem z Królestwa Polskiego, z gubernji Augustowskiej, stanu szlacheckiego, wieku lat 31, wszedł do służby wojskowej w r. 1825 szeregowym do 1-go pułku strzelców byłych wojsk polskich; w r. 1827 podniesiony na stopień podoficera; w czasie powstania komisja buntownicza mianowała go podporucznikiem i porucznikiem; znajdował się w bitwach przeciw wojsk rosyjskich i pod koniec 1831 r. w randze kapitana z buntowniczym oddziałem Chłapowskiego uciekł za granicę“...

W takich słowach pierwszą młodość Konarskiego opiewa wyrok jego sędziów. W paru tych wierszach jest on już dwukrotnie buntow-

nikiem i w całej dalszej litanji zbrodniczych jego działań „bunt“ jest sensem wszystkich jego pomysłów i czynów. „Marzył zakłócić spokój gubernji zachodnich“, rozszerzał pisma „buntownicze“, „uwodził kłamliwemi zapewnieniami“, dążył ku „rozszerzeniu ustaw rewolucyjnych“, zbierał składki pieniężne i dla ugruntowania „ohydnej zdrady“ „zobowiązywał do tego wszystkiego przysięgą“.

Zbrodniarz ten, chorąży niemilkącego w kraju rokoszu, „buntownik“, którego serce było płomieniem, a cały krótki żywot jednym okrutnym zawodem, był z tego typu emigrantów, którzy wpadali w „ostateczność znudzenia i niecierpliwości“ i którzy, gdy zbrakło czynu, marli z tęsknoty, z rozpacz, ze zgryzoty i ze spętanej w nich siły. Nie da się pomyśleć, aby mogły być Konarskiemu wystarczyć komitety i manifestacje emigracyjne. Na wieść o wyprawie Zaliwskiego zrywa się w nim cała burza pragnień i nadziei.—„Jemu (Zaliwskiemu) zdało się,—pisał—że, stojąc na mogile świeżo usypanej z kości braci poległych, nie będzie na ziemi polskiej niewolnika, któryby nie zapragnął wolności“... Tak wierzył sam, z tą wiarą szedł w Augustowskie, w strony swoje rodzinne. Pańszczyźniany chłop augustowski gotuje mu wszakże zawód, który wyryje głęboki ślad w całym jego życiu duchowym.

Biedny, tak biedny, że w cudzym surducie i w cudzych butach chodzi, na podwórzach nie-

mieckich na flecie wygrywa, sby do Brukseli móc wrócić, może w tej drodze właśnie, w drodze, kolącej co chwila nędzą i doznany w Augustowskim zawodem, stawia sobie po raz pierwszy pytanie: co to jest lud? co to jest bogactwo? „Trzeba broń wesprzeć myślą! — woła niebawem.—Zanim broń pochwycimy do ręki, trzeba poczuć i wiedzieć, w jakiej ją myśli chwyta-my... Życie nasze dla ludu“.

Dla rewolucji pozyskać lud: tej potrzebie, splecionej z wielu dla Polski nowych jeszcze tonów, a której tonem ostatnim jest wolność, zaprzysięga Konarski życie.

A przysięgało się na miłość Ojczyzny i na jej cierpienia, na łzy matek, na krew męczenników przeszłych i przyszłych, „na trwogę duszy, straszną tęsknotę i obumarłość“. Żądała przysięga, aby „wiedząc, że na zasadzie praw boskich i ludzkich wszyscy ludzie są wolni, równi i braterstwem ze sobą związani... przejęty wiarą w przyszłość Polski całej, zjednoczonej, niepodległej i odrodzonej na zasadzie wszechwładztwa ludu“ — aby na tych zasadach przystępował sługa kraju do Stowarzyszenia Ludu Polskiego. Żądała przysięga jeszcze, aby „wszystkie myśli, czynności, mienie“ poświęcić walce.

Konarski poświęcił jej wszystkie czynności i myśli z wyjątkiem jednej, która może dlatego, że jej poświęcić nie umiał, jakby na szyderstwo dospołu ze szpiegiem, utkała zgubę.

.

Poprowadziła go droga emisariusza na Wołyń. Nie jest już Szymonem Konarskim. Jest Januszem Hejbowiczem.

Pełen uroku, wiary i zapału, wymowy porywającej, przybysz od rozesłańców, ku którym zwrócone były wszystkie nadzieje, zjednywa najoporniejszych. Jeździ od domu do domu, jeździ z Wołynia na Litwę, z Litwy do Humania i do Odesy i znów na Wołyń. Jeździ też na Podole. Tu jest wieś Werbka, tu mieszka panna Emilja Michalska.

Wszystkie czynności, wszystkie myśli poświęć sprawie. Sprawa czyniła postepy olbrzymie, nieoczekiwane. Jedną, jedną tylko myśl z tych, co wątle są jako nic babiego lata, a mocne, jak sama śmierć, zachował dla siebie. Owinęła się koło duszy, oplotła, uwięziła duszę. Zerwać jej nie ma sposobu, nie ma sił. Kochał Emilję Michalską.

Spieg znał go już. Zastawiał zasadzki. Ostrzegają przyjaciele. Związkowi w interesie sprawy nakazują wyjazd poza granice kraju. A tamta myśl trzyma, nie puszcza. Konarski poddaje się postanowieniu Związku pozornie:—jedzie na Litwę. Zabiega dalej dla sprawy, dla siebie jednak chce połączenia się z wybraną. Szuka, gdzieby się wśród błót i lasów pińskich osiedlić pod przybranym nazwiskiem z żoną gdzieby się tu przed okiem zdrady schronić.

Lecz już pokazywany jest wszędzie portret jego. Zapowiedziano jest, że jako przestępca

polityczny karany będzie każdy, ktokolwiek o bytności tego „buntownika“ policji znać nie da.

I następuje krótka walka z losem. Konarski, aresztowany, ucieka, ukrywa się. Postanowione jest ujęcie z Wilna. Są wśród młodzieży związkowi: — pomagają. Jakoż Konarski z przyjacielem Rodziewiczem uchodzą...

A oto dwie się znaczą drogi: jedna do Mińska, do domu Rodziewicza — niepewna, druga — do Prus, bezpieczna całkowicie.

— Uchodźmy do Prus! — Rodziewicz radzi.

Lecz tam, koło Mińska, jest kawałek ziemi, upatrzony już na marzoną siedzibę... Wątpi myśl, która tak mało, zdawałoby się, żąda miejsca, zagarnia wszystko, przysłania rozważę, własne niebezpieczeństwo, klęskę ogólną.

Jadą traktem do Mińska.

Szpieg Wędzigolski aresztuje obu w Krzyżowicach.

Przez dziesięć miesięcy, wtrącony najpierw w podziemia dworca carskiego, potem przeniesiony do znanego nam już Bazylijańskiego więzienia, przez dziesięć miesięcy Konarski będzie czekał wyroku.

Chwila będzie radości, krótka, przelotna, chwila, w której prowadzącemu śledztwo Dołhorukiemu stawi przed oczy trud swój i owoc jego przyszły: — upadek wszelkiego despotyzmu. I jeszcze moment radości, gdy Korowajew, kapitan rosyjski, oswobodzić go usiłuje z więzienia.

Ale już wszedł w znak klęski. Korowajew zdradzony jest. Nikczemność i słabość wydają całą tak tajemnie pod ziemią ubijaną drogę.

Aresztowanie ściga aresztowanie. Sprawa, sprawa Konarskiego zginęła. Już — już widny był brzeg, zatoneła u brzegu. A wraz z nią — słudzy jej, tłum, wielka ćma ludu. Najbliżsi, najmiłsi i najpotrzebniejsi.

Wali się to wszystko skałą na serce. Leży oto ta niepojęcie ciężka skała na sercu człowieka, zamkniętego w samotnej celi. A jest to serce namiętne, żyje w rytmie prędkim i gorącym. Leży skała — dławi, szarpie. W dzień i w noc, przez dziesięć miesięcy samotnego ze sobą przebywania...

Przygląda się człowiek sercu swemu. Wspinała lekkomyślność serca tego, królewski klejnot człowieka wolnego, spogląda na niego teraz oczami Łazarza... Przygląda się światu, który zostawił za sobą, i widzi, że jak pustynia stał się świat, po którym przeszedł:

...Tchnienie me w śmierci całuny obwija,
Spojrzenie moje — to Sybiru żmija,
Gdziekolwiek stąpię, tam będzie niedola,
Gdzie wchodząc powiem: Chrystus pochwalony,
Gdzie chleb położą na moje przybycie,
Tam opuszczonej matki, jęk usłyszysz żony,
Osierociałych dzieci tam usłyszysz wycie...
Myśl, co mnie pośród trudów pocieszać umiała,
Myśl wesoła, szczęśliwa, jak młoda dziewczica,

Której miłość pierś wznosi i rumieni lica;
Myśl, co w niebie wolności życie swoje brała,
Dzisiaj ciężarem śledztwa zszarpana, strudzona,
Jak starzec w konwulsjach poci się i kona.

„Wszystkie czynności, wszystkie myśli“...
Serce tak gorące, tak namiętne nie bywa ob-
iektywne. Owej jednej, osobnej, tylko swojej
myśli, która utkała zagubę, Konarski, jako bez-
pośredniej przyczyny klęski, i teraz nie dostrze-
ga. Aresztowanie jego spowodowało areszto-
wania dalsze, pogrom powszechny, lecz wina,
gdzie jest wina? Serce takie musi widzieć winę,
musi się z nią rozprawić. Obce mu są rezygna-
cja, pokora, poddanie się... Duch buntu, który
już raz i tak niedawno z celi tego Bazyljań-
skiego więzienia rzucił Bogu dumne wyzwanie,
i teraz w serce znękanego człowieka ciska ża-
giew.

Po więzieniu biegam, jak pies z głodu wściekły,
Łzy głodu śledczego w oczach mi się spiekły...

Wie ten człowiek o sobie, że jest z rodzi-
ny, co „ludzkość w sobie czuły”. — Żyłem, jak
wy żyliście!—woła,—wolny od samolubstwa, pe-
łen miłości dla kraju.

Niebo jednak chciało,
Bym dla kraju był dzumą, dla serc drogich ka-
[tem,

Bym skąpany we łzach rozstał się z tym światem...
[tem...

Pożegnałem przyjaciół, kochankę, rodzinę
I tułaczyów żegnałem—i przekłety ginę!...
Ja drwię teraz z cnoty, ja się z cnoty śmieję,
Ja szydę z przekonania, co daje nadzieję,
Że szczęście mas ludu tylko się odwlekło,
Ja w Boga dziś nie wierzę — ja mam w sercu
[piekło!

Za sny powalone, za trud tylu istnień złamany,
za klęskę, za tę klęskę wielką, niepowetowaną,
która znowu kraj zdziesiątkuje, rozprawia się
Konarski z Bogiem. Ten w oczach jego jest winowajca,
ten jest krzywdziciel.

Atoli i w tej z Bogiem rozprawie nad świadomością
porażki, nad goryczą zwątpienia, nad krzykiem
wyzwania, bierze górę natura jego czynna,
twórcza, reformatorska, bierze górę płomień,
ofiarność, optymizm i wiara, mimo wszystko
trwająca, i zawsze młoda miłość tej namiętnej
duszy.

...Naprzód piekło rozburzym, bo piekło jest stare,
Potym wspólną rozlejem uczuć naszych wiarę
I zadrzą wszyscy króle, zbrodni niewolnicy...
I niebo się rozjaśni, i Bóg się rozśmieje,
I Bogu pokłon damy, bo Bóg odmłodzi nas...

W noc przedzgonną ten „żelazny człowiek“,

jak określał Konarskiego wicegubernator Trubeckoj, z męką swoją czyni porachunek.

...Ja w tej izbie przeżyłem wszystkich serc ka-
[tusze,

Stąd widziałem, jak Polskę zalało łez morze,
Tam nie dbałem o życie, tu—nie dbam o duszę,
Ale Polskę zbaw Panie, Polskę wybaw, Boże!

Zostawia za sobą wszystko, co kochał, poświęca wszystko, co posiadał. Kiedy go nazajutrz będą tracili, koszula śmiertelna strąci mu z głowy czapkę. Konarski podniesie ją i mocno naciśnie na czoło.

To dar Emilji Michalskiej.

.
Ani na moment nie zadrży przed śmiercią. W noc ostatnią żegna się z ulubionym fletem, powiernikiem pierwszych zawodów, pisze listy do rodziny.

„Kochana Matko, bracia, Rodzino moja i wy wszyscy, którzy mnie kochaliście, a którym dusza moja i serce winny wdzięczność i wszystkie chwile szczęśliwe, wszystkie wspomnienia radosne z ciągu życia mojego, przebaczcie mi łzy wasze i cierpienia, którychście doznali przeto, że żyłem na świecie. W chwili, kiedy ten list czytać będziecie, los mój już się zapewne rozstrzygnie... Radbym, bo was kocham, aby spokojność i siła duszy, którą w tej chwili czuję, i wam towarzyszyły przy czytaniu listu tego

i radbym w was przelać całą duszę moją, bo-
byście mieli spokojność i odwagę, której mnie
nie zabraknie do śmierci. Dzisiaj zakomuniko-
wano mi wyrok sądu wojennego, skazujący mnie
na śmierć. Mógłbym was pocieszać tak, jak ci,
którzy, mnie nie znając, pocieszać mnie mają do-
brą wolę, albo widzą potrzebę. Pocieszają mnie,
bo nie wiedzą, że mnie pociecha niepotrzebna.
Powinienbym ich naśladować w tym względzie,
lecz całe życie, będąc otwartym i szczerym,
i teraz nie chcę być fałszywym i dlatego sam
deklaruję bez rozumowania, iż wyrok dzisiejszy
nie tylko mnie nie męczy, lecz owszem zadowal-
nia zupełnie. Gdybyście mnie widzieli, wyczytali-
byście z twarzy szczerłość tego wyznania!“...

— Tam nie dbałem o duszę! — wołał do
Boga. W chwili jednak, która wydobywa z czło-
wieka pierwszą i ostateczną treść jego, w chwili,
kiedy człowiek czuje się tylko dzieckiem i ręce
matki całuje, Konarski inne złoży wyznanie:

„Dla usunięcia cierpień, mogących cię spot-
kać z mojego powodu, po mojej śmierci, powi-
nienem dla osłody dni twoich powiedzieć, że
umieram z najzupełniej czystym sumieniem...
A jeżeli po moim zgonie złośliwość ludzka ...ze-
chce cię męczyć szarpaniem mego honoru... je-
żeli się znajdą tacy, którzy cię zechcą przez ten
rodzaj cierpień przeprowadzić... nie wierz im,
Matko, bo moje sumienie jest czyste pod każ-
dym względem, bo moje życie brudów nie ma
w sobie“...

Prosi o zapłacenie dwu drobnych długów. Prosi o pożegnanie narzeczonej w słowach, które, choć chcą być bohaterskim wyrzeczeniem się jej miłości i pamięci, żalu za nią ukryć nie umieją. Zwraca się jeszcze do brata, Stanisława, w najtkliwszych, w najczulszych wyrazach. Matkę mu poleca, prosi, aby syna, jeśli go mieć będzie, nazwał pseudonimem jego, Janusz, córkę—imieniem Emilji.

— „Bądźcie zdrowi—kończy—i nie żałujcie mię, bo nie tych żałować trzeba, co tam idą, lecz tych, co tu zostają... W Rumbowiczach, przy grobie wujenki, połóżcie kamień bez żadnych napisów i prosty, bo ja po prostu, nie po pańsku żyłem; połóżcie go na moją pamiątkę... Dobranoc wam, drodzy!”

Poczym sprostą, jakby w pośpiechu i o sprawie cudzej, dodaje jeszcze:

„Dzisiaj, jak mi ksiądz powiada, mam być tracony”.

.....

Tymczasem matce Konarskiego, na trzy dni przed wykonaniem wyroku, kazano Wilno opuścić. Napróżno nacierała na władze, aby zostać dozwolono. Nie przychodziła prosić ulg, łask, łaski. Nie mówiła nawet jak Rollisonowa: jeśli masz ludzkie serce!... Mówiła: „Bądźcie pewni, że najcichszy jęk z piersi moich nie wyjdzie. Chcę tylko obecnością moją przekonać syna mego, że nie żałuję, ani złorzeczę śmierci jego!”

Zjawi się jeszcze nieraz MATKA, Doloro-

sa polska, na widowni tego olbrzymiego więzienia, jakim stała się ziemia nasza. Nie zobaczy wróg jej łez. Nie usłyszy skargi. Nieraz pilnować będzie ust syna, aby były zaciśnięte. Powie, jak matka Pawła Wejsztorda: „Synu, przeklnę cię, gdy wydasz kogo. Nie będziesz moim synem!“ Nieraz złamaną siłę podtrzyma do ostatniej chwili. Umówi się z synem, że „ciemiezców ubłaga“, że gdy w dzień stracenia ukaże mu się w bieli, znak to, że ocalon jest. I syn, widząc ją w białej osłonie,

wyprzedza siepaczy,
Pogodne wznosi czoło,
A lud zamiast rozpaczy
Ogląda twarz wesołą.

Już wszedł na rusztowanie,
Żegna go miłość bratnia,
Jak kat skończył ubranie,
Bije chwila ostatnia —

Oddech więźnia zawisnął —
Ale nim twarz pobladła,
Topór w powietrzu błysnął
I młoda głowa spadła...

O to szło przecież, aby nie pobladła twarz,
aby nie zadrżał syn w godzinę śmierci...

Często, jakże często, nie pobłogosławi nawet syna na ostatnią drogę. Wzbrania kat. Często

sto, gdy wygnanie muznaczono, zanim na miejsce przywieść ją zdoła pośpiech by największy, syna porwą. Kat porywa. Często całe życie listu od syna czeka. Kat mówi: „niewolno!“ Często mogiły najdroższej na całym bożym świecie szukałaby napróżno. Kat mogiłę wykopał i skrył.

Ustawa Kaspra Maszkowskiego zaleca Matce, aby „przerażała dziecko męczeńskimi dziejami narodu naszego, aby je wcześniej prowadziła na miejsce pamiątek i mogił naszych“...

Wcześniej mu ręce okręcaj w łańcuchy,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza...

I ta okrutna, dla ludzi wolnych niepojęta pedagogika staje się u nas wewnętrzną rzeczywistością Matki, która wolności rodzi żołnierzy.

Na fali, którą płynie zwycięska przemoc i tłum spodlonych jej sług, Matki niema. Lecz w te bezgwiezdne, w te beznadziejne noce z pod fali, z nieprzemierzonych głębin bólu i męki, wychodzi żałobny orszak. Idzie czarny, niezliczony, ogromny i, jak ta noc beznadziejna, od kresu do kresu wypełnia sobą ziemię polską. Niosą się szepty, skarżą się skargi. Noc słucha i milczy... Z dymów przeczystych wieniec plecie nad głowami ofiarnic... A wtedy w niemy świat uderza krzyk, krzyczy krzyk w niebogłosy. Drą żałobnice szaty żałobne i nie są to już Matki płaczące, a sprawiedliwe Erynie, które

sąd sprawują straszliwy i nieodwołalne wy-
wiadają wyroki...

Nie widział już Konarski matki swojej.

Gdy nadedniem skończył list, dozorca przy-
niósł mu polecenie Dołhorukiego, aby przed
śmiercią wyraził trzy życzenia. Konarski żąda,
aby wypuszczono na wolność Emilję Michalską,
aby rzeczy jego odesłano rodzinie, aby wolno
mu było pożegnać współtowarzyszów więzienia.
Jakoż żegna się z nimi czule a spokojnie, usi-
lując dodać im hartu i odwagi. Żąda od zna-
nego z okrucieństwa dozorca, aby za część pie-
niędzy jego własnych kupił mu zaraz sukienne
spodnie.

— Wszakże to zimno teraz — powiada —
mogę drzeć od trzaskającego mrozu, a lud mógł-
by myśleć, że drzę z obawy śmierci!

— Niema pozwolenia, droga niedaleka —
brzmi odpowiedź.

Ostatnie swoje sześć rubli polecił tedy roz-
dać żołnierzom, którzy go mieli rozstrzelać.

. . . , . . . , . . . , . . . , . . . , . . . , . . . , . . . , . . . , . . .

„Miejsce egzekucji na placu tracenia za
Trocką bramą. Ktokolwiek chce być obecnym
sprawiedliwej karze zbrodniarza, może się tam
udać“...

Rozlepione na rogach ulic afisze temi sło-
wami wzywały widzów na sensacyjne przedsta-
wienie. Praca reżyserów nie była nadto ciężka.
Z placu zwanego „Pohulanką“ piękne Wilno
rysowało się jeszcze piękniej, dla wesołego obra-

zu wymarzoną tworząc dekorację. Stał, jak się należy, słup, czekała muzyka z bębnów i piszczałek. Tylko sama pohulanka przeistoczyła się jakoś niespodziewanie w sztukę dell'arte i improwizowały się strofy, zgoła przez inscenizatorów nieprzepisane...

Od godziny ósmej do południa, mimo tego mrozu, cała patryjotyczna ludność Wilna czekała na ulicy. Na wzgórzu ulicy Trockiej zgromadziło się mnóstwo płaczących kobiet. Konarski uniósł się na saniach i zawołał donośnie:

— Nie nade mną płaczcie, bo ja za chwilę wolnym będę, ale nad sobą, których niewolnikami zostawiam!

— Rozstąpcie się!—mówił jeszcze do konwojującego sanie oddziału żandarmów. — Przecież widzicie, że lud mnie chce pożegnać.

Wśród jęku i zawodzeń tłumu wwieziono go na plac stracenia. Piękna jego twarz rozjaśniał czysty, pogodny uśmiech. „Zdawało się, że widzisz wieszczą w chwili największego natchnienia, który za chwilę zanuci pieśń zmartwychwstania“ — opowiada naoczny stracenia świadek, Sobarri. Chciał śmiałymi oczami śmiało zmierzyć idącą śmierć. Nie pozwolono. Zawiazano oczy. Długimi rękawami śmiertelnej koszuli spętano w tył ręce. Miała rozbrzmieć komenda...

Lecz tu się okazało, że oficer, do dania komendy uppełnomocniony, wzdrygnął się przed wyznaczoną mu rolą i na widowisko nie przybył.

Musiano go zastąpić przez innego, pośledniejszego aktora. Padło dwanaście strzałów.

I oto tłum rzucił się ku ciału, rwał kawałki odzieży, chustki maczał w męczyennej krwi. Zakwitła kwiatami śnieżna mogiła i wbrew zakazowi i groźbom szedł naród ku kopcowi ofiary i klękały przy nim kobiety, płacząc.

Długo jeszcze oczom ludu litewskiego ukazywał się w obłokach Konarski, na czele hufców zbrojnych,—zwycięzca w krwawym boju.

I odtąd niewiele już takich pogrzebów widzieć będzie jarzmiony kraj. Nie będzie walecznych żegnał lud. Ukradkiem, nocą, splecie kat pętlę. Cicho stoczy się ciało w nieznaną mogilę. Udepcze ją zbrodniczymi nogami oprawca.

IX.

„Lepiej jest raz skonać, raz mieć życie odjęte, aniżeli konać przez lat kilkadziesiąt, gdzieś w lochu, albo w minach Nerczyńska“ — pisał Konarski do rodziny.

Więzienia były pełne. W fortecy kijowskiej prowadzeni są na śmierć: Kasper Maszkowski, Antoni Beaupré, Borowski i Fryderyk Michalski. Prowadzą na śmierć związanych i radośnie niosących życie w ofierze po to, aby im pod szubienicą oznajmić, że „ułaskawieni“ są, t. j. że na lat kilkadziesiąt znaczy im się Nerczyńskie zesłanie.—„Przyjemniej mi było wchodzić, niżli schodzić z szubienicy“—mówi Maszkowski.

Więzienia są pełne. Wilno, Kijów, Odesa, Warszawa—to tyleż stacji męki. Już zwolna pisać się zaczyna epopeja Cytadeli, już były te mury świadkiem udręki i skonów. Już wykrwawił się tu niejeden dramat duszy, już z tych ścian, napozór zimnych i obojętnych, wychyla się ku nowemu więźniowi pozdrowienie tamtych, co byli. „I to minie“, czyta na drzwiach

celi swojej emisariusz Migurski. Wytrwaj, bądź mężny—minie!

I z Wilna, Kijowa, Odesy i Warszawy znów pójdzie wygnańcza rzesza drogą na Wschód. A gdy będzie szła i odejdzie, wciąż mając w oczach ów potajemny gościniec, ręką Zdrady zburzony, duch wolności, niezwalczony i nieśmiertelny, nowe szeregi przyzwie do roboty. Padną—odejdą... I znów staną szeregi nowe i coraz głębsze, coraz szersze zagony garnać będzie owa tajemna, ku wolnej doli mająca powieść droga. Już znaczy się potężnie we Lwowie i w Krakowie, już w Ks. Poznańskim kuje ją niestrudzony wysiłek. Padają w nią ziarna mocne, życiotwórcze, które, jeśli wzejdą, odrodzą od podstaw byt narodowy, wolność, równość i braterstwo wyczarują w wolnej Ojczyźnie... Tak marzą przyszli marzeń tych męczennicy. Ujrzemy ich niebawem na tułaczce lub w więzieniach wszystkich trzech zaborów, ujrzemy ich w kopalniach, w szynelu żołnierza moskiewskiego i na śmiertelnym słupie chwały.

Trzy nie wygasające ogniska płoną równolegle, choć oddzielone wielką, wielką przestrzenią ziemi. Najpierw—ten płomień, dyszący pod korą własnej grudy. Potym—Tułactwo polskie. Wreszcie—Wygnańcy syberyjscy. Wszystkie trzy sycą się wzajemnie, wszystkie trzy są jednym: niemożnością istnienia bez wolnej Ojczyzny.

Tułactwo polskie! Rzekłbyś, że ten złoty lew, który trzyma czerwoną czarę z kwiatem

konwalji, a nad sobą ma skrzydło czarne, że ten herb Lelewelowski, tak przypadkowy i nie wiedzący, czemu będzie służył, w emigracji, w jej życiu i w jej poselstwie, odnajduje właściwą treść swojej wymowy...

Skazany na szubienicę, z tłumoczkiem na plecach, pieszo, „z mnogim ludem“ wychodził z kraju Joachim Lelewel. Zostawia za sobą wszystko, co człowiek kocha: matki, z którą się rozstaje, nie zobaczy już nigdy, kraju rodzinnego nigdy oglądać nie będzie. Nie ucieka:—wychodzi z kraju po przegranej wojnie, jak wychodzi żołnierz,—by powrócić i zwyciężyć. Wychodzi, jakby mówił: nie poddaję się; jakby mówił: waćpan, który niczym u mnie być nie możesz... Cóż pójdzie za nim? Czy zapłacze kraj, że odszedł, odejść musiał tak daleko jeden z największych jego synów? Czy pokłonią mu się głowy w niemych dramatach jego duszy zrozumieniu, w zrozumieniu, że tu dramat się rozgrywa niepodległej w duchu doli polskiej, która nie może chcieć, jak tylko zwyciężyć, albo zginąć? Cóż pójdzie za nim? „W czasie rewolucji naszej arystokraci utrzymywali, że chciałem zostać dyktatorem,... że wydawałem rozkazy stawiania szubienic i gilotyn, że się nigdy z myśli moich wytłumaczyć nie chcę... że rozsiewam maksymy mordercze, wpajam je w młodzież i chłopców, dla których nauki podpalackie wymyślam;... widzieli, że należałem do spisku rewolucyjnego dlatego, że z innymi za rządu moskiewskiego urzędu

otrzymać nie mógł... żem więcej sprawie naszej zaszkodził, aniżeli Dibicz i Paskiewicz... że swoim po 25 fr. rozdaje... Demokraci powiadają, że powierzonomi na moje ręce z komitetu meteńskiego pieniędzmi podzieliłem się z moim kolegą; żem się we Francji związał z jakąś partją Orleańską; żem jest *juste milieu*... że za co innego się udaję, a co innego jestem; że się mieszam i przechylam na stronę arystokracji; że chcę utrzymywać niewolę chłopów i upodlenie Żydów, a niewiadomo, kiedy byłem i czym jest chrzczony?... Mniemałby kto, że ludzie *du juste milieu* puszcza mnie na sucho... Ale nie, i ci przypisują chętkę do gwałtowności; żem jest podżegaczem i sprawcą nocy 15 sierpnia, a bo-daj, żem nawet mordował wtedy dzieci... Żeby ich zdania były prędzej i wszystkim wiadome, pozbierałem je i ogłaszam. A gdy się z tych wszystkich potwarzy, wymysłów i oszczerstw... dostatecznie okazuje, że wszystkim tym panom zawadzam, zatym z pola politycznego ustępuję“...

Jakże to mówił starosta Warecki? „My, co święte zamysły... samym prawidłem Boga i Ojczyzny miarkowane, przedsięwzięliśmy, teraz za zbójce, łotry, buntowniki, złoczyńce... bez sądu osądzeni jesteśmy“... Znamy już te jadowite strzały, padające w serce samotnego człowieka... Znamy ruble Kararzyny, za które Kościuszko robił rewolucję, aby łącniej zginęła Rzeczpospolita... W sercu Lelewela zatruty grot utkwiał głęboko, tkwił w nim do śmierci.

Powiedziano mu, że kradł... Odtąd ubiera się w nędzę, jak w pancerz, od którego musi się odbić każdy pocisk nikczemności. W dobrowolnie włożonej na siebie nędzy nie przyjmuje bezwzględnie żadnej i niczyjej pomocy. W 73 roku życia, wyniszczonego zgryzotą i niedostatkiem, budżet jego roczny wynosi 570 franków. Tak życiem swoim daje odpowiedź oszczercom.

Tę jednak nędzę na siebie wzięwszy, Lelewel jednocześnie pozbawiony jest wszystkich środków niezbędnych dla człowieka nauki. Pracuje w warunkach, które dla osobnika mniejszego talentu i mniejszej dla spraw ojczystych miłości byłyby warunkami gubiącemi. On, jakby cudem, cudem z ducha, pracuje.

I czymżeż jest praca jego tułaczego życia? To pod czarnym skrzydłem klęski w rozkrwawionym sercu kwitnący mimo wszystko kwiat miłości, to w krwawej czarze posyłana krajowi gałązka nadziei i wiary. Praca jego to także krzyk każdodzienniej, każdochwilowej tęsknoty za krajem, to żarliwa żądza jego wielkości i chwały. „Dla dzieci polskich“ pisze „Polskę odradzającą się“, pisze „Polskę, dzieje i rzeczy jej“. Ofiarowują mu wykłady, katedrę na „uniwersytecie wolnym“ w Brukseli — propozycję odrzuca. Namawiają, by pisał historję Niderlandów: — nie chce. Polska — to jego rzecz.

Lelewel—to emigracja.

I prawdą emigracji jest Worcell, ten Wor-

cell, który złożony ostatnią chorobą, po życiu pełnym wyrzeczeń, ofiary i trudu, do ostatniej chwili o kraju i wciąż tylko o kraju myśli, który sam do siebie mówi: „muszę mieć nadzieję!”—„Czuając, że się zbliża jego koniec—opowiada Hercen—posłał po Mazziniego i dwu czy trzech przyjaciół. Osłabiony, wychudzony, duszący się leżał na swej kanapie i nie mógł mówić. Nieco przyszedłszy do siebie, skinął na Mazziniego, ażeby się ten zbliżył. Wychudzona, zmęczona twarz jego przybrała wyraz uroczystości surowy i gasnącym głosem... żądał, by Mazzini złożył obietnicę, że przy ogólnym poruszeniu się ludów Polska nie będzie zapomniana. Było to groźne: przysięgnij! wyrzeczone nad otwartą mogiłą przez Ducha narodu“...

Owo „przysięgnij”—to prawda emigracji.

Sędziwy Heltman, wielu znojów żołnierz, wielu ziaren siewca, Heltman karcący kraj u schyłku lat „krwawemi słowami;” mówiący: „lękajcie się wrogów, dary nawet niosących”; ostrzegający: „a ja powiadam wam i zaprawdę powiadam, naród bez poselstwa to trup, tarzający się w kałużach samolubstwa!”—to Emigracja.

Mickiewicz — zakonodawca, Mickiewicz — pielgrzym, Mickiewicz—legjonista, idący ku „bożemu człowiekowi czynu”, by czyn dla Polski zdziałać—to treść, sens, Słowo emigracji.

Przysypana sadzą nędzy, kłótni i swarów, pobladła od tęsknoty i melancholji, emigracja jawi się w purpurze, w przepychu duszy kró-

lewskim, gdy woła sprawa, gdy świta nadzieja, gdy nad Ojczyzną zdaje się rumienić jutrznia swobody. Śle do kraju myśl-troskę i myśl-pochodnię, śle pracownika, śle żołnierza, śle bohatera.

Wielkim, tragicznym płomieniem paliło się ognisko tułactwa i każdą krzesaną ze siebie i całopalnie rzuconą iskrą bogaciło duszę narodu.

To było na Zachodzie. Wygnańcom wschodnim najciężej zapewne było utrzymać święty płomień, aby nie zagasł. Szła może biała Eloë wśród mogił i mówiła: „nie skarżcie się, lecz śpijcie“, ale jakież to anioł strzegł żywych, by za życia nie stali się jako umarli? Istnieli, istnieli niewątpliwie wśród zesłańców wschodnich ludzie, o których Szaman mówi, że dobrzy byliby w szczęściu, ale że „serca ich słabe są i dadzą się podbić smutkowi“, że nędza przemieni ich w ludzi „złych i szkodliwych“. Lecz byli inni, a anioł, który ich strzegł, miał skrzydła rubinowe i zwałby się może Erosem w krajach słonecznych, u ludów wolnych i szczęśliwych... W Polsce zwał się Męką. Szedł za wygnańcami tą drogą wygnańczą i szumem krwawych skrzydeł hartował im dusze. Mówił im o mądrości niezłomnych, o zwycięstwie zwyciężonych, o życiotwórczej sile ofiary, o płomieniu i burzy, które zapalą się z ich prochów. Może miłosierny anielskim miłosierdziem stawał także u węzłowia ich, gdy umierali, zasiekani kijami, i może

widziały gasnące oczy, że jawi się archanioł purpurowy. Mściciel potężny i wszechmocny: — sens ich życia, sens ich śmierci... Może dawało im miłosierdzie męki takie ostatnich chwil złudzenie...

Pałki aż tańczyły w powietrzu...

Spadło tysiąc kijów na Piotra Wysockiego. Spadło pięćset kijów na ks. Jana Boguńskiego. To odpowiedź była na niepodobny do przeprowadzenia, a podjęty przez nich plan ucieczki z Aleksandrowska do Indji... W mroźny zaś, zimowy dzień, między dwa szeregi uzbrojonych w knuty żołnierzy, wpędzono skazańców ze sprawy Omskiej, ze sprawy ks. Sierocińskiego i towarzyszy.

Wolno bowiem było i jest za obronę wiary, za obronę unji, za odmowę przystąpienia do prawosławnego kościoła, osadzić księdza i przeora unickiego w twierdzy, męczyć go w wilgotnych lochach, zagnać „w sołdaty“. Wolno było i jest gnać go całe tygodnie światami, nie mówiąc, gdzie drogi kres. „Całe z wygnańcami obrachowanie — potwierdza Gordon — jest, żeby ich poniżyć, zubożyć, przyzwyczaić do znoszenia bez szemrania wszelkiego rodzaju krzywd, pomiatan i znęcan się nad niemi, a to wszystko ma wyzuć z serca godność ludzką, zabić na duchu, zdeptać uczucie, wyssane z piersi macierzyńskiej, i stworzyć wybornego niewolnika“. Dlatego ks. Sierocińskiego i towarzysza jego doktora Szokalskiego zakuwają w szpangi, gdy

przed asenterunkiem przysiąc nie chcą. Dlatego w Omsku Sierocińskiemu tresować każą dzieci szkoły kantonowej na żołdatów carskich...

I oto za zamysł oderwania od Moskwy olbrzymiego domu niewoli, jakim jest Syberja, za zamysł zmiecenia z powierzchni ziemi grozy, postrachu i hańby, za myśl czystą i mającą źródło w miłości dla człowieka, car po carsku zapłaci:

„Za miastem, na placu oczyszczonym ze śniegu—opowiada Giller—stały w długie ulice wyciągnięte trzy bataljony. Żołnierzom, zamienionym na katów, rozdano grube, wiśne kiję... Z więzienia wyprowadzono na plac kajdanami brzękających Polaków. Przeczytano im wyroki. Obnażono od stóp aż do szyi. Każdemu obie ręce przywiązano do lufy karabina, a dwu podoficerów, ciągnąc za kolbę, wprowadzili jednego za drugim dwunastu męczenników w ulicę żołnierzy, najeżoną kijami, jak nożami. Bębny zagrały. W takt muzyki posypały się razy na plecy, piersi, głowy, brzuchy i nogi ciągnionych. Ciało, jak ciasto, kijami odrywano. Kawały jego latały w powietrzu lub poodkładane wlokły się po ziemi za idącym... Bito szkielety ludzkie, krwią ciekące... Serca było widać i wnętrzności poszarpane świat ujrzały... Gdy Jabłoński skonał pod razami, przywiązano jego trupa do taczki i, na taczce wożąc, bili jeszcze, póki nie otrzymał sześć tysięcy uderzeń. Został z niego kościotrup, obrany z ciała. Ks. Jan Sie-

rociński śpiewał psalm podczas tej straszniejszej od średniowiecznych tortur przechadzki. Melodja Dawidowa ucichła dopiero wtedy, gdy krew zalała gardło, a ciało męczennika posiekane zostało na zrazy“...

Generał Gałafiejew pilnował, aby dobrze bito.

Zdawaćby się mogło, że w tak zakatowanym ciele milknie i zamiera głos duszy. Ks. Sierociński, konając, nawołuje Szokalskiego, aby ratował umierających także Zarębę i Mielecina. Gdy Szokalski ruszyć się nie może, sam się zwleka. Lecz nie ma już komu pomagać.. I wtedy dopiero, gdy pomagać już niema komu, dusza ks. Sierocińskiego spocząć sobie pozwala. Gdy zaś idzie na te wieczyste wywczasy, do kraju, do ziemi rodzonej posyła nakaz męstwa, niezłomności, wytrwania.

Kiedy szli na Syberję wygnańcy ze sprawy Konarskiego, pod wrażeniem sprawy Omskiej notował w pamiętniku swoim Januszkiewicz: „Stan niezmierzonego cierpienia w duchu“... Weszli zapewne na ziemię Sybirską w stanie takiego niezmierzonego, duchowego cierpienia. Przywitała ich władza słowami: „Jeżeli tu będziecie myśleć jeszcze przeciw rządowi, nie czeka was ani kula, ani strycek, ale kije, któremi was każę zamęczyć“. Wiedzieli, że obietnica ta będzie dotrzymana. Wiedzieli, że uciekać niema sposobu. Może też pod tak świeżym wrażeniem krwawo udaremnionych ucieczek, jeszcze dalszą,

jeszcze bardziej utraconą wydawała im się Ojczyzna. Wiedzieli także, że po powstaniu Omskim władze rozgłaszały po osadach Syberyjskich, że Polacy chcieli palić i mordować. Tłumaczono ludności, „że wszelkie zbrodnie kradzieży, zabójstwa, fałszerstwa i t. p. przestępcy polityczni popełnili mądrze, z wyrafinowaniem, t. j. politycznie, że stąd ich miano“. Imię Polaka było straszakiem.

Lecz choć nie stało Szamana, któryby przy mierze czynił między wygnańcami a ludem Syberyjskim, zwolna, zwolna rozum i dobroć zesłańców, ich miłosierdzie, czystość ich obyczajów, rzetelność ich postępów uczyniły, że imię Polaka i politycznego przestępcy stało się najlepszym wobec ludności tubylczej poleceniem. „Tytuł politycznego przestępcy był dokumentem uczciwości i pasportem“ — zaświadcza Giller. Rozsiani w najróżniejszych punktach, w Irkucku i w Wiatce, w Nerczyńsku i w Woroneżu, w Orle i Astrachaniu, w Permie i w Berezowie, gdziekolwiek przeszli, pozostawili znak wyższej kultury, znak wysiłku, aby pierwotne, barbarzyńskie życie Syberji podnieść i wzbogacić. Najlepsza pszenica zwała się tu polską, lub po prostu „polką“; kosy, wprowadzone przez Litwinów, nazwano „litówkami“. Wiedza lekarska doktorów Beaupré, Szokalskiego, Krzywickiego najnieszczęśliwsiemu niosła ulgę. Zaczność Kaspra Maszkowskiego głęboki w życiu otacza orała ślad. Znajdował się też wśród ska-

zanych ze „sprawy Konarskiego“ Joachim Leśniewicz, który już wiele gorzkich dróg i wiele grobów miał za sobą; jako członek Towarzystwa Patryjotycznego przeżył jego klęskę, patrzył na daremność powstania listopadowego i niezłamany, nieugięty po każdej porażce rozpoczynał pracę siewcy na nowo, dobywając z przeczystej duszy niewyczerpane zasoby wiary, dobroci i poświęcenia. „Światły i prawy — kochany był przez wszystkich — mówi Giller — i zasłużył sobie na piękne wspomnienie w historii naszej niewoli“.

Odrazu też wśród garści wygnańców z tej sprawy Konarskiego rodzi się jakby naturalnym, impulsywnym odruchem troska, aby nie zmogła ich obcość otoczenia, oderwanie od swoich, ból, martwość i tęsknota. Tworzą „Ogół“, starają się ująć życie swoje w jakieś zewnętrzne bodaj, a dające spójnię kadry. Idzie im o „zachowanie ducha“, o „zachowanie charakteru“, o „moralne i polityczne wyrobienie wygnańców“. Wpłaca się do kasy Ogółu podatki, które obracane są na pożyczki dla potrzebujących, chorych, lub nie mających zarobku. W posiadaniu Ogółu jest biblioteka. Ogół otrzymuje pocztę wygnańczą. Trwają — i wie się o tym w Ojczyźnie.

Zaś po tym gościńcu złotym, po którym uciekała dusza Anhellego, jak „człowiek, co się śpieszy“, po gościńcu, co jest na wodzie od księżyca, tęsknota ucieka, ucieka wciąż „w tamtą stronę“. I nie trzeba jej ani wody, ani mie-

siąca:—ucieka każdą drogą i często sama jedna wypełnia całą treść wygnańczego życia. Czasem jest to tęsknota radosna prawie, pełna wiary. Zmarły w zawodzie Nerczyńskim zdobywca arsenału, Franciszek Malczewski, przez ośmnaście lat, przebytych w kopalniach, ani na chwilę nie zwątpił, że kraj zobaczy. Marzył i wierzył, że wróci, wrócić musi. Major Szreder, towarzysz niegdyś Krzyżanowskiego, który szesnaście lat „nie był w domu“, jak określa jego wygnanie Ewa Felińska, „ostatniego roku tak był zapadł na zdrowiu, że wyglądano co chwila końca“. Gdy nadchodzi wieść, że wolny jest, zdrowieje jakby cudem. „Krząta się pilno białowłosey weteran koło wyjazdu, jakby mu dawna młodość wróciła. Jest ta tęsknota jakby struna do ostatnich granic napięta i niech trąci o nią przypadkiem podmuch najłżejszy, rozjęknie się i całą sztucznie zbudowaną harmonję duszy do cna zmiecie. Ewa Felińska spostrzega w lesie Berzowskim kołową drogę. „Jeżeli komu zdarzyło się w obcej i dalekiej ziemi napotkać ubiór swego kraju, lub usłyszeć nutę znajomej piosenki z ziemi własnej, ten pojmie wrażenie, którego doznałam... Serce przyłgnęło do tego cienia... Puściłam się biegiem tej drożyny, jakby chwytając ręką poznanego przyjaciela“... Droga prowadzi tylko do magazynów skarbowych i rozważa niczego innego spodziewać się przecież nie mogła. Lecz hipnoza chwili jest tak silna,

że rozczarowanie równa się silnemu i niespodziewanemu wstrząśnieniu.

Są żywoty, niegdyś bogate, różnostrunne, bujne, które na wygnaniu zasklepiają się całe w tym jednym, jedynym uczuciu. Wyżera ono wszystkie żywe soki, czyni, że myśl, zwracająca się wciąż za siebie, przed sobą żadnej nie widzi już drogi. Są to dziwne i przerażające żywoty, żywoty kalekie, bez teraźniejszości, bez przyszłości, całe—zawarte we wspomnieniu. Polskim kalectwem dotknięte to dusze i zrodziło się ich kalectwo, gdy pozbawiono je „niezbędnego dla nich żywiołu—Ojczyzny“.

Oto człowiek, jak Adolf Januszkiewicz. Jeden z najdzielniejszych pomocników Wereszczyńskiego w tworzeniu legji, posiedmiokroć ranny w boju, jeden z tych, którego „ze snu budziły tryumfy Milcjada“, mężny, waleczny i nieustraszony, skazany jest na posielenie. Nie opuszcza go dzielność w twierdzy kijowskiej, pręży się jego siła przed komisją śledczą. Pzecina wszelkie badania powodów, jakie go przywiodły do „bezmyślnego“ i „nigdy nieodżałowanego“ postępu oświadczeniem, że co uczynił, uczynił rozmyślnie, z niezmiennego przekonania, iż „obowiązkiem każdego dobrego syna Ojczyzny jest poświęcić wszystko w jej sprawie. Był uczniem Lelewela, łączyła go przyjaźń z Mickiewiczem i Słowackim, miał zamiłowania literackie i talent pisarski. Zdawaćby się mogło, że było czym żyć, nawet na posieleniu, które w porównaniu

z więzieniem, kopalnią i dolą innych zesłańców było niemal że sielanką. Januszkiewicz otrzymuje niezliczoną moc listów i posyłek, a są to pociechy olbrzymie, których przeważnie pozabawieni są wygnańcy. Nieraz późno w noc listy pisze, wrażenia swoje spisuje i choć zmarzły atrament rozgrzewać trzeba przy ognisku z suchego nawozu, zawszeć możność wypowiedzenia się jest niezaprzeczoną ulgą. W rękach matki i brata znalazło się sześćset jego listów...

I czymżeż są te listy? Są tylko tęsknotą, są tylko jednostajnym obrazem dwudziestu pięciu przetęsknionych lat. Wszystkie wrażenia zewnętrzne: — czy będzie to *cavatina* Rossiniego, „italska harmonja“, zjawisko bądź-co-bądź osobliwe na lodach i śniegach syberyjskich; czy będzie to krajobraz stepu kirgiskiego, z czarowną rzeką Lepsą, ze śpiewem słowików i akompanjamentem „dumbry“; czy będzie to książka, czy przesyłka z domu, — wszystko zatopi się w tęsknocie, w tęsknocie omdleje i zamrze. „Jeśli żyję — powiada — to samemi tylko wspomnieniami, których urok silniej mnie przywiązuje do życia, niż nadzieja, co już tyle razy mnie zawiodła i z którą zaczynam już być na coraz bardziej etykietalnej stopie“.

Ze wszystkich sił trzymając się myślą przeszłości, co była młodością, nadzieją, szczęściem, czynem; przez dwadzieścia i pięć lat czekając daremnie cudu, jakim jest powrót; unieruchomiony, obezwładniony ciągłym zawodem, Ja-

nuszkiewicz wewnętrznie obumiera. Niepodobna patrzeć bez bólu na powolny, a nieubłagany proces usychania, starzenia się tej duszy, wyposażonej we wszystkie dary. Niema tu już ani krzyku, ani łzy, żadnego namiętnego niema już tu porywu. Choroba dokucza. Januszkiewicz zajęty jest całym dolegliwościami fizycznymi. Jeśli się coś jeszcze w nim kołacze, to wspomnienia i instynkt samozachowawczy. Dlatego nawet wtedy, gdy „nadzieja“ stała się już słowem zwietrzałym i żadnych z pozoru nie budzi w nim wzruszeń, gdy przenieść go mają do miejscowości o tysiąc wiorst bliżej leżącej Zachodu, myśli tej chwyta się oburącz. Lecz i takie przygodne podniecenie trwa krótko. Cały omotany pamięcią rzeczy, które były, jak pajak snuje ze siebie w nieskończoność ową dawna nić, ona zaś rośnie i narasta w pętlę, w siatkę, w całun.

I już nie przędą się nawet wspomnienia koło rzeczy, które wzięły życie, nie przędą się koło południowej życia godziny. Z walecznego męża, z dzielnego sługi kraju, z ducha, który w Słowackiego tchnąć umiał iskrę bojowego hymnu Litwy, pozostał starzec, pozostało dziecko, które chromymi stopami szuka drogi do matki, do sióstr, do domu. „Imieniny moje tego roku tym tylko będą pamiętne, że w nocy przed ich dniem śniło mi się, jakoby był ze ś. p. kochaną siostrą Julją w Małyskowszczyźnie; rannem wyszliśmy z nią po rosie do ogrodu i zerwaliśmy kilkanaście róż białych i czerwonych

na bukiet. Sen ten tak żywe i tkliwe zrobił na mnie wrażenie, że dotąd ciągle stoi mi przed oczami, a pierwszego dnia, kiedyś chodził po ogrodzie, każda roślina wydawała dla mnie zapach róży“.

Powraca do domu umierający starzec, ten sam Januszkiewicz, który niegdyś wierzyć nie umiał, aby ktoś „mógł chorować“, gdy w powrotną wybiera się drogę.

Lecz i to uważać należy za szczęście, że wraca, że ma za co, ma do kogo wrócić. Najczęściej bowiem brak środków na przebycie dalekiej drogi, brak drogi samej, skoro tygodniami czekać trzeba, bądź aby spadły śniegi, bądź aby ruszyły lody. A jakże często niema do kogo wrócić! Na wieść o uwolnieniu swoim: „dokąd jechać? — pyta Ewa Felińska, — kiedy w kraju dawno wszyscy wymarli!“

Któż jednak nie powróci, gdy powrócić ma jaką taką możliwość. Są tacy, co po długim zesłaniu powrócą z niezwichniętą siłą, z nieprawdopodobnie zachowaną energją, która jakoby tylko wypoczęła i pragnie wyładowania się, warsztatu swego, czynu. Są inni, z pozoru ci sami, lecz, gdy u warsztatu staną, okaże się, że mróz i szron ścięły, naruszyły i uszkodziły jakąś niezmiernie czułą sprężynkę duszy, sprężynkę, której nazwać ani określić niepodobna, a która jednak była w ich życiu wewnętrznym czymś najistotniejszym. Mróz ją zepsuł... I są tacy jeszcze, których dusza, jak bajkowy kwiat, rozkwita właś-

nie pod śniegiem i którzy z mrozu wygnania przynoszą ojczyźnie wiosnę, radość słowa, przesłonecznioną łzę, uśmiech i piękno. Na Syberji rozkwita w tym czasie talent zesłanego za Konarszczyznę Leopolda Niemirowskiego i wspinałe pejzaże, które Dałyczew wydał w 1856 r., robione są z jego obrazów i rysunków.

Wreszcie tacy są, którzy nigdy nie wracają. Giller zapewnia, że między Polakami „samobójstwo jest wogóle bardzo rzadkie. Nawet przykre położenie wygnańca, wyrażając pesymizm, rozpacz, znajduje otulenie w pociechach wiary Chrystusowej“. W stosunku do mąk, zadawanych wygnańcom, w stosunku do przedwczesnych zgonów, w mękach tych mających źródło, samobójstw wśród pokolenia trzydziestych lat istotnie jest niewiele. Zadusił się w Orle kajdanami Kordaszewski, zastrzelił się w kopalniach Nerczyńskich dr. Szokalski, który się cudem z ran Omskich wyleczywszy, jednak żyć już po tej kaźni nie mógł; powiesił się w więzieniu Akatujskim Dobrowolski, żołnierz z 31 r. Lecz gdy nawet samobójstwo męce duszy kresu nie położy, widzi się nieraz, że dusza jednak cierpieniu sprostać nie może i popada w zamrok. W obłędach wygnańczych wypowiada się może najjaskrawiej treść i ból wygnańczego życia, sens jego pragnień najzarliwszych, miłość dla człowieka i kraju. Tak, gdy popada w obłęd oddany po 31 r. do „uczebnego pułku“ w Moskwie Rafał Dwernicki, wszystko, co przecier-

piał, tłumił i w sobie gryzł, obłąkanemi słowami zwierzy towarzyszom. Miał za sobą przeszłość owego uczebnego pułku, gdzie bito okropnie dzieci polskie, wypędzając z nich „narodowego ducha“. Dzieci wszakże cichaczem, w ukryciu, szeptały między sobą o Polsce, o wojnie, o wolności... Jedną z takich pogadań pod słuchano i schłostanych do krwi chłopów popędzono do bataljonów. Był wśród nich Dwernicki. „Jedzie car—wołał w obłędzie,—a za nim dużo wojska, miliony wojska, cały naród żołnierzy... Każdy żołnierz niesie ze sobą pęk kijów... Idą do Polski... Będą bili naszych... Dawaj mi strzelbę—prędzej strzelbę—już jest car blisko—wypalę do niego — naszych ocale!“... Znajdzie się wśród obłąkanych „Stefan Batory“, któremu miłosierne rozumu zmaczenie marzyć pozwala, że „Moskwa pozna wkrótce potęgę jego ramienia, że ją zniszczy i obróci w proch, z którego powstała... A Polska duchem prawdziwej wolności innym będzie przewodniczyć narodom“... Albo: „Jestem Bóg-Ojciec, Bóg-Syn i Bóg-Duch. Jako Bóg-Ojciec uszczęśliwię świat cały, jako Bóg-Syn za mękę i krzyż złamany ukrzyżuję Moskwę; jako Bóg-Duch wszystkie narody natchnę duchem wolności“... Stany graniczącej z obłędem religijności są bardzo częste.

Najlitościwsza na tych wygnańczych błoniach pani, jedynie tu litościwa Śmierć, niezliczone sypie mogiły. Czytając Gillera „Opis Zabajkalskiej krainy“, ma się wrażenie, że idzie

się po jakimś olbrzymim cmentarzysku, po jakimś niesamowitym stepie krzyżów, który życie wyparł doszczętnie. W śmierci i tylko w śmierci znaleźli wygnańcy lat trzydziestych spełnienie marzenia, któremu poświęcili bojowe i emigracyjne swoje życie. Śmierć zdejmowała z nich pęta niewoli, śmierć przeprowadzała upragnione przez nich stanów zrównanie. Obok prochów ludzi najznacniejszych chowają mogiły syberyjskie śmiertelne szczątki chłopów polskich, kosynjerów z 31 r. i ofiar ruchu ludowego. Spoczywają tu Wojciech Figlus, któremu tęsknota zamroczyła rozum, Franciszek Korzeniowski, Wojciech Zieliński, Antoni Kruszyński, Kaczuba, Tomasz Waleńczuk, Franciszek Dusza: — wszystko włościanie, których dała walce każda połać kraju. Wielu, bardzo wielu spoczywa tu chłopów polskich.

I ten pokos śmierci taki obfity; i owa samoobrona dusz, co trwały; i ta tęsknota, co wciąż biegła ku swoim zagonom, a dobiec nie miała sposobu, i ta — co myśl człowieka nakrywała mrokiem; i ta jeszcze, co, jak harpja, wypijała z duszy soki życia, zostawiając żałosny zewłok — wszystko to nie ginęło.

Wracało to wszystko do ziemi rodzonej, wołając ogromnym krzykiem: Śpieszcie się, walczyście, czyńcie!...

X.

Śpieszą, walczą, czynią we Lwowie i w Krakowie, w Warszawie i w Poznaniu, w Wilnie i w Lublinie.

Niech ku północy z cichej się mogiły
Podniesie naród i ludy przełęknie,
Że taki wielki posąg—z jednej bryły...

Czas szedł jakiś w znakach zorzy. Wszystko ożywa, wszystko wre.—„Nic mnie nie boli—pisała po pogromie Konarszczyzny do Ewy Felińskiej siedmnastoletnia jej córka,—nic mnie nie boli, jestem tylko, jak żołnierz, zmęczony pochodami, który śpi, idąc drogą, żyję, jak starzec, który zużył życie“... Parę zaledwie lat minęło, i już inny zgoła ogarnia młode dusze nastrój. Jawi się pokolenie, pełne energji i niecierpliwości, by jak najrychlej stanąć w szeregach służ Ojczyzny. Cały tłum poetów stroi lutnię na ton Tyrteuszowy. Idą w lud z dobrą nowiną synowie kasztelańscy, synowie szlacheccy. Bije z pod fali jedyny w swoim rodzaju, jedyny boleścią swoją głos...

Ruch narodowolców rosyjskich, o tyle późniejszy, wzruszał Europę całą. Poznała każdy etap ich drogi, wszystką drogę tej poezji. Tragiczny patos naszego ludowego ruchu mówi wyłącznie do nas samych. Czy mówi? Może raczej straszy i przeraża piekielnym widmem Szeli, może z wszystkiego, co niósł, z wszystkiego, ku czemu szedł, żywa pamięć, pamięć uczucia zachowała tylko echo jakiegoś szatańskiego śmiechu...

Idzie w lud Edward Dembowski, kasztełański syn, ów, co to był jak „olbrzym z twarzą i postawą młodzieńca piętnastoletniego“ i krótkim swoim żywotem, jak obrazem z płomienia, opowiada, co czynił jego czas. Że oto szedł w rzeszę chłopską sprawiedliwość nieść, ziarno wolności siać... Że „nie znał niebezpieczeństwa, a poświęcenie brał za obowiązek“... Że w sidła wroga wpadło mrowie ludu polskiego i w widły się uzbroił chłop przeciw oswobodzicielom swoim. Że śmiał się szatan najwesselszym śmiechem z pół-nagich jeńców Horżańskich, z ofiar wyprawy Narajewskiej, z krzyża, co miał być pojednawcą, z owej procesji rozpacz, którą Edward Dembowski myślał chłopu ku swoim powołać...

Czy padł Dembowski, przeszyty bagnietem austrijackim? Czy znikł tylko bez wieści, aby powrócić, odżyć i dokonać czynu, gdy wybije godzina?... „Z płomienistej zorzy wystąpi rycerz“... On to może będzie zwiastujący, że „Bóg

rzuca pioruny na obnażone z koron czoła“, on będzie, który zawoła: „Kto ma duszę, niech wstanie, bo jest czas żywota dla ludzi silnych“...

Poczęła się pisać czasu owych dni nasza, polska powieść o „Ojcach i dzieciach“. A szatan chichotał...

W murach pokarmelickiego, lwowskiego więzienia leżała przybita do krzyża samotna myśl człowieka. Siedział w tych murach Teofil Wiśniowski i była myśl, którą przemyśleć musiał postokrotnie.

Oto skończyło się jego życie. Mają ludzie szczęśliwi dom, rodzinę, chwilę własną. Jego chwila zatoneła w ciężkiej drodze gońca i emisariusza, zatoneła w sprawie. Z sadybą, z dworkiem Majdańskim, po półrocznym zaledwie z ukochaną żoną pożyciu, pożegnał się na zawsze. Leżała na nim dola zwierza, szczutego psami, osaczonego ze wszystkich stron. Od dworu do dworu krążąc, przemykał się wśród nieustającej pogoni zbirów i landsdragonów, twarzy własnej nie miał, nie miał własnego imienia. Nieraz walczyć musiał z pierwszemi potrzebami życia i że mało kto pomoc mu niósł w tej walce, świadczy list do ubogiego żyda, Pinkasa, który gdzieś w okolicach Złoczowa udzielał mu przytułku. „Żegnam cię, mój kochany Pinkasie, bo Pan Bóg wie, czyli się więcej widzieć będziemy, a oraz dziękuję ci najczulej za twoją dobroczynność, którąś mi przez sześć miesięcy wyświadczał żywnością i innemi memi potrzebami. Praw-

dę mogę wyznać, nie pochlebiając tobie, mój kochany Pinkasie, że przez całe życie moje nie miałem doświadczenia, ażeby w moich potrzebach nie tylko katolik mógł mi tyle dopomagać, jak izraelita“...

Przyrzekali mu pomoc ziemianie na rzecz szkoły wojskowej, w którejby się młodzież kształciła na przyszłych oficerów powstania: — gdy znikł im z oczu, ogłosili go „demagogiem, komunistą, nieprzyjacielem szlachty“. „Tylko przez oświatę może się lud dowiedzieć, kim jest. Lud nasz nic nie wie o Polsce i jeżeli co wie, to pewnie dzięki niecnym zabiegom—nic dobrego“. Tak mniemał. Dla tej najdroższej myśli znarodowienia masy włościańskiej idzie w ruch orężny, jakkolwiek zaduma wstrzymuje, zaduma przestrzega, że przedwczesny jest. „Ażebyśmy mogli lud z sobą pociągnąć... musielibyśmy najpierw z ludem się obrachować, a jakżeż to trudno o sumienny taki obrachunek... Nie zwyciężymy wrogów, póki siebie samych nie zwyciężymy, póki rodowy przesąd z nas nie ustąpi“... Tak wierzył, tak nawoływał. Dla tej najzarliwszej wiary wprzął się w psie życie emisariusza, agitatora, spiskowca.

Przez chłopą, Iwana Budnika, wydany będzie zabójcom swoim. Pomogą Atanazy Budnik, brat tamtego, pomogą sąsiedzi. Pojmą go, mimo że przebrany jest w szaty księdza. Nie stawia im najmniejszego oporu. Wyplacone będą Budnikom judaszowe srebrniki.

I oto za głowę jego nikczemną zapłatę pobrał chłop i czyni w kraju krwawą robotę chłop-ska siekiera...

Można się na śmierć zamyśleć nad taką myślą!

A jeszcze to więzienie pokarmelickie. „Na murze, pod pryczą, postrzegłem mirjady stonóg i różnego rodzaju robactwa, nareszcie pleśń, grzyby, przegniłą z wilgoci podłogę i dziurę, prowadzącą aż do kanałów, umieszczonych w pobliżu kaźni... a powziąłem to przekonanie stąd, że wkrótce postrzegłem kilka szczurów, przechadzających się swobodnie po brudnej, błotem i niechlujstwem narośniętej podłodze... Jak długo byłem w więzieniu u Karmelitów, prócz chleba nic prawie nie jadłem, gdyż dnia nie było jednego, bym czegoś obrzydliwego nie znalazł w jedzeniu... Jak długo tam byłem, byłem zawsze głodny... Wkrótce usłyszałem gdzieś w pobliżu jakiś jęk, płacz... a potem słyszałem wyraźnie, że kogoś bili, słyszałem każde uderzenie i każdy po uderzeniu wydobywający się jęk... Usiadłem na ziemi, przy drzwiach i z niewypowiedzianą boleścią przysłuchiwałem się tej zgroźnej przejmującej scenie“...

Tak charakteryzuje więzienie Karmelickie autor „Powieści o Horożanie“.

Była jeszcze indagacja nocna, różniąca się tym tylko od moskiewskiej, że prowadzona była w języku niemieckim; był znienawidzony i nienawidzący wszystkich wachmistrz; były nieodej-

mowane nigdy kajdany. Urząd aktuarjusza kryminalnego pełnił ten sam Sellyey, który w pojętym przez Budników „księdzu Lewińskim” poznał Wiśniowskiego i okutego powiózł do Lwowa. Była samotność pustynna, beznadziejna, doskonała.

Głęboko, na samo dno czarnej otchłani, schodziła nieraz zapewne dusza Wiśniowskiego. Dzięki Sellyeyowi odcięty od świata całkowicie, wydany na pastwę śmiejącego się nad nim śmiechu, nieraz mniemać musiał, że opuścił i zapomniał go cały świat. „Od czasu uwiezienia mojego—pisze do brata—nie mając żadnej wiadomości od mojej żony, pisałem przed parą miesiącami do ciebie, prosząc cię, byś mi doniósł, co się z moją żoną dzieje... Czy się mnie, jako w nieszczęściu będącego, wyrzekacie?”... I inny list: „Jeszcze raz muszę wam przypomnieć, że macie brata, o którym zapominać się nie godzi, chociaż jest w nieszczęściu”... I takie słowa: „Jeszcze raz proszę, by Siostra Dobrodziejka przynajmniej przez litość raczyła mi donieść, czyli Kornelja (żona) żyje?”

Kto w warunkach takich nie zgorzkniałby, nie zwątpił, nie odwróciłby się od ludzi! Jakąż tajemną moc miała dusza tego człowieka, że ostatnim jego słowem jest słowo miłości, ostatnim tchnieniem—tchnienie wiary?

„Ludu Polski! Ludu niewinny!—woła w przedgonnym do ludu posłaniu. — Była nas mała garstka tobie poświęconych, kilku apostołów

wiary twojej... Tyś nas zrozumiał, ale nie wysłuchał, bo przedtym wmówili w ciebie ciemniacy nasi, że zguby twojej pragniemy. Opuściłeś nas wtedy, rzucając się na nas z siekierą i kosą, wydając nas wręcz tyranom twoim“...

„...Przebaczamy wam błędy wasze, rzeznie okropne i ten chwilowy napad łakomstwa i tę zdradę, której dopuściliście się, wydając za lichą zapłatę braci naszych bezlitośnym urzędnikom. Przebaczamy wam wszystkie złe chęci, złe czyny wasze“...

Złe chęci? Wiśniowski spostrzega się, że rzucił oskarżenie. I jakby wydało mu się zbyt ciężkie, powraca do pierwotnego myśli toku:

„Ludu Polski, ty byłeś niewinny, jak dziecko, igrające na łonie matki. Nie miałeś jednej złej woli w sercu twym, jednej złej myśli w duszy, ale wrogi nasi wpoili w pierś twą tysiące kłamstw i ułudzeń, jad nienawiści i zemsty. Powalali cię brudem szpiegostwa, zatruli ci teraźniejszość twą i przyszłość, co, jak zorza poranna, przyświecała ci nadzieją lepszych czasów“...

Tak żegna się z Iwanem Budnikiem, który za głowę jego pobrał austrijackie srebrniki. Rozumie—przebacza.—„Spokojni bądźcie!—pociesza towarzyszków więziennych,— bo ja już oddawna na to przygotowany“...—Kochajcie Polskę, bądźcie dobrymi ludźmi!—synowcom swoim zaleca na ostatnim pożegnaniu.

Mówili o nim oficerowie austrijscy, że umarł, jak święty. Mówili o Kapuścińskim, że

umarł, jak lew. Umarli w istocie. jak się umiera pod falą—zgonem walecznych. I walecznie, dzielnie przeżyje czas śledczy, czas Spielbergu, Kufsteinu i Moabitu rój więźniów polskich.

Lwowskie więzienie karmelickie było w owe czasy tym, czym dla Warszawy była Cytadela. „Nie miałbym nic w sobie, gdyby nie twarz i głos ojca mego, który mnie w dniu wieszania Dobrycza Stefana (pod szubienicą ułaskawionego) wziął za rękę, poprowadził w stronę Cytadeli, kazał sobie patrzeć w oczy, wyciągnął ramię ku polu śmierci i opowiedział, co się na nim stało... Stąd moje myśli o Ojczyźnie i późniejsze marzenia“... Tak ocenia St. Krz. wrażenie, które zadecydowało o drodze jego. Tym czynnikiem wychowawczym było także więzienie Karmelickie. Władysław Czaplicki opowiada, że gdy, dzieckiem będąc, płakał po pierwszym z rodzicami rozstaniu, brat starszy, w Horozanie poległy Henryk Czaplicki poprowadził go pod mury więzienia i tak do niego przemówił: ...„Patrz, tam, za temi koszami, w ciemniach osamotnieni siedzą bracia nasi w kajdanach. Dla swych przekonań narazili się na cierpienia i męki... Siedzą osamotnieni bez ojca, bez matki, żadnego do nich nie przypuszczają człowieka — nie widzą nigdy dziennego światła... A przecież nie płaczą, przeciwnie... wypogodzone mają oblicza... jasne, wesole oczy i serdeczny, pełen miłości uśmiech na ustach“...

Od najwcześniejszego dzieciństwa zżywa się myśl ze świadomością, że kiedyś trzeba będzie w tych murach zagościć, że jest ten etap w kraju niewoli koniecznym etapem Polaka. — „Niewiele takich rodzin się znajdzie — stwierdza jeden z więźniów Kufsteinu, z którychby choć jeden członek nie spędził lat parę w znajomym w całej krainie więzieniu, Karmelickim zwanym, oczekując... wpośród pospolitych wszelkiego rodzaju złoczyńców, srogiego wyroku potępienia za to, że imię Polski szanował i jej nieszczęście czuć się poważał; niewielu znajdzie się takich, którymby nie było wiadomym, że okładanie kijami nieszczęśliwych ofiar tyraństwa, morzenie głodem, wzbronienie użycia świeżego powietrza, sieczenie różgami i obciążanie brzemieniem łańcuchów nieletniej młodzieży, były głównymi znamionami tego przedsionku politycznego grobu, który przed każdym tam wepchniętym na długie lata cierpień się otwierał“. Nazwisko urzędnika kryminalnego, Zajączkowskiego, który znęcał się nad Karasiewiczem i Dymnickim (z procesu tarnowskiego); nazwisko sędziego kryminalnego Szweyglera, prześladowcy Berechulskiego i Czajkowskiego (z procesu studentów samborskich), powszechnie i sromotnie były znane. Wiadomo było, że Berechulski i Karasiewicz wskutek mąk doświadczonych popadli w obłęd. Znane były pałki naczelnika sądu karnego lwowskiego, Witmana. Brutalność, okru-

ciemność i nikczemność były znamionami tego więzienia.

System panuje tu nie inny, niż w kazamatach moskiewskich. Ledwie więzień zaśnie, „z brzękiem, stukiem, hukiem i trzaskiem“ wpada nocna rewizja. W nocy nieodzianego niemal delikwenta wloką na śledztwo. „Wiatr zimny, mroźny zawiał i przejął mnie dreszczem“... In-dagacja prowadzona jest według wszelkich reguł sztuki. „Nie poglądaj na mnie z niedowierzaniem, bo ja jedynym jestem tutaj twoim... przyjacielem. Jeśli wszystko sam wyznasz, będę mógł zaraz uczynić coś dla ciebie, a przede-wszystkim zaraz każę zdjąć ci kajdany i z matką widzieć się pozwolę“... Że jednak metody te znane są więźniom z opowiadań w dzieciń-stwie zasłyszanych, na mało kim czynią wrażenie. Samotność trapi? Za towarzysza dadzą mor-dercę. Pukać niewolno.

Puka całe więzienie. I mimo najczujniejszej straży, mimo groźb i ciężkich kar troska o byt towarzysza, pragnienie przyniesienia mu ulgi, czy pociechy, konieczność wiedzenia, co dzieje się tam, na wolności, rozsadza mury, kopie tu-nele, żyje, jest. Powoli poprzez ściany odnajdu-ją się związkowi, jak bracia. Kogo tu niema? Jest Henryk Kamiński, jest szlachetny Julian Goslar, co wkrótce już na wiedeńskiej zawisnie szubienicy, jest organista Andrusikiewicz ze spra-wy Chochołowskiej... Są wszyscy, którym przed chwilą dzwony jutrzeńne pobudkę grały.

— Jakże ty wyglądasz okropnie... Wychudłeś na szczype, oczy zapadły ci w dół. Co to? Tobie wypadają włosy?...

Tak oczy matki widzą syna po kilkumiesięcznym u Karmelitów pobycie...

Bo po miesiącach, po niezliczonych staraniach dozwolone jest widzenie. Po pierwszym takim widzeniu, więzień, który się już niczego nie spodziewa, który już myśl swoją przyzwyczaił, aby wszystko sama w sobie przeżyła, jest niemal że chory ze wzruszenia, z wrażenia, z burzy uczuć, rozpętanej niespodziewaną chwilą. Henryk Kamiński, po pierwszym widzeniu się z żoną, „jak nieruchomy leżał na pryczy“... Więzień w czasie widzenia „stoi jak niemy“... I nim się opamięta, ochłonie, wizyta już skończona. Nie potrwa ani o moment dłużej, niż wyznaczono, nawet wtedy, gdy jest to ostatnie z żywemi widzenie.

Jednak, jak wszędzie, tak i tu, działa, działać musi nietylko zimna i wroga maszyna. Jest strażnik Zacharek, — „wypróbowanej pocziwości“ człowiek. Przyleci więc wieść ze świata do więzienia i z więzienia wyjdzie na świat.

I pod wpływem tych cudotwórczych kartecek dusza więźnia uskrzydla się, zachowuje uśmiech i pogodę, z radosną nadzieją patrzy w dzień jutrzejszy. Dusza, na granicy dziecięctwa niemal jeszcze stojąca, hartuje się i męnieje. „Bądź stały, znoś wszystko mężnie, jak znosili polscy męczennicy!“ nawołuje Władysław

wa Czaplickiego w tajemnej takiej karteczce młodziutka jego siostra. W tymże więzieniu zamknięty jest ojciec obojga; w Horożanach tak niedawno padł starszy brat. Niemniej pisze: „My jesteśmy zupełnie spokojni i zdrowi, nie martw się zatym nami, krótki jeszcze czas, a musicie być wolni wszyscy“...

Karteczki te i pewność, że tam, na wolności, nie wszyscy „zbrodniarzy“ obrzucają kłatwą, że żyje myśl o nich, że krąży koło ich kaźni i radaby im nieść ulgę, są w życiu więźnia szczęściem. Dlatego z uczuciem niewygasłej do końca dni wdzięczności wspominają więźniowie karmeliccy imię Aleksandry Swobodówny, z powodu czarnych rękawiczek „Czarną łapką“ w więzieniu zwanej, wspominają tę piętnastoletnią podówczas dziewczynę, która, na strychu sąsiadującego z więzieniem domu przesiadując, po całych dniach z więźniami, gdy wyprowadzano ich na spacer, przędła porozumienie, wieści im słała.

W Spielbergu i w Kufsteinie pociech tych nie będzie.

Jechało się do Spielberga przez miasta galicyjskie, zaludnione więźniami. Jechało się przez kraj żałoby, głodu i śmierci, gdyż po gościńcach, po polach i po rowach, pod płotami i chałupami pełno było konających i umarłych, ofiar nędzy i zarazy.

Żaden z więźniów spielberskich nie zapamiętał, jaką go do tego więzienia wprowadzono

drogą. Doznali wszyscy jakiegoś chaotycznego wrażenia bram, krętych ulic, ciemnych podwórz, znowu bram i nie kończących się murów. Zapamiętali jednak wszyscy, że przebrano ich w szaty błaznów, że strzyżono i golono ich, jak rekrutów, że poddano każdego z nich ceremonii ponownego w kajdany zakucia... „Ubranie składało się z drelichowych pantalonów o nogawicach otwartych po bokach do spinania na guziki, jedna nogawica biała, druga — w czarne paski; z niemieckiej, długiej kamizeli, której jedna połowa biała, druga — w czarne paski; nareszcie ze spencera z jednym rękawem i z jedną połową białą, a drugim rękawem i połową drugą znowu w czarne paski“. Otrzymał także każdy więzień po pięć rzemyczków ze sprzączkami do kajdan. Na sukniach wybity był numer—więziennie skazańca nazwisko.

Zapamiętali wszyscy, że poniżyć ich chciało bodaj tym śmiesznym, zapustowym odzieniem...

Przez wali Spielberg więźniowie sami „Graj-górą“, górą, gdzie burze i wichry „zawsze i nieustannie szaloną, przerażającą uprawiają grę“. Świst, wycie i huczenie ciągłej wichury przy akompaniamencie wiecznie dzwoniących, ponurych dzwonów Morawskiego Berna, obejmowały całe więzienie nastrojem śmierci. Dla przewrażliwionych nerwów była to muzyka nie do zniesienia. Najsmutniejsze wspomnienia stawały przed oczami, targały wyobraźnię fatalne przeczucia i trwogi.

Zdrowi widzieli idącą ku nim słabość, chorzy—widzieli śmierć.

A nie dziw, że z przerażeniem i wstrętem myśleli o możliwej na Spielbergu chorobie, o możliwym tam zgonie. „Więzień chorował i konał w żelazach“... Ciało, po śmierci dopiero rozkute, rzucone do skarbowej trumny, spadało nagie w wykopaną na cmentarzu jamę i „aresztanci, niosący ciało zmarłego, zawsze wracali z trumną“. Z okien więziennych widziało się te pogrzeby.

To też, gdy zapada na zdrowiu towarzysz, do ochrony jego nadwątłonych sił całe więzienie staje, jak jeden mąż. Otaczają chorego najczulsze starania współwięźniów, wyprzedzają się wzajem w niesieniu mu pomocy. Gdy wraca do zdrowia, radują się, jak gdyby śmierci wyrwali brata. Gdy umiera — w więzienie uderza cios, obalający wszystkich „na długo, tak fizycznie, jak moralnie. Serca nasze o mało nie pękły z bólu i żalu... jakkolwiek przebyliśmy już niejedną klęskę, jakkolwiek przeboleło się już wiele, bardzo wiele“...

Pojmują wnet, że dla wywalczenia sobie w tych barbarzyńskich warunkach jakiego takiego bytu, muszą tworzyć zwartą spójnię, pod hasłem więc „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego“ stają do walki z zarządem Spielbergu. I nie jest to hasło tylko bojowe. Tłumaczą się przez nie uczucia naprawdę żywe, tłumaczy się przez nie ta potrzeba kochania, jaką we wszystkich wa-

runkach zachowuje serce ludzkie. Tu, gdzie gromadka więźniów tworzy jak gdyby osobną wyspę na obcym morzu, na morzu nienawiści i wzgardy, uczucia zapalają się czerwienie, serca biją prędej. „...Gdy już Grajgóra była nami... zapełniona, zaludniona, panowała między nami taka zgoda, taka jedność w każdej najmniejszej nawet drobnostce, że gdybyśmy obecnie—jako ludzie wolni—mogli zachować tę zgodę i jedność, śmiało stawilibyśmy mogli czoło nie jednej, tej lub owej frakcji,... ale nawet berłu całego świata“... Toteż, gdy ręka władzy uderzać chce więźnia najdotkliwiej, uderzy w uczucie. Za solidarny np. opór wobec golenia więźniów „nadprzełożony kazał wsadzić Hubickiego do kazamaty, a Gudziaka zostawił w kaźni, odgadując, że tym sposobem, to jest rozdzieleniem i większą wygodą w czasie mąk Hubickiego sroższe mu zada cierpienie. Gudziak rzeczywiście zmartwił się nieszczęściem tak mocno, że w ciężką zapadł chorobę. Znając jego szlachetny charakter, jakby na urąganie, zaczęto mu dogadzać... Gudziak atoli powyrzucał wszystko... Przez przeciąg dni dziewięciu tylko trzy razy zjadł po kilka łyżek rosółu, zresztą nic, prócz wody, nie wziął do ust“...

Kazamaty spielberskie! To lochy średnio-wieczne, gdzie straszna żądza cudzego cierpienia piekielne święci orgje. W kazamatach, po upływie trzech tygodni, „Gudziak osłabł tak mocno, że już nie o własnych wyszedł stamtąd

siłach; na sienniku... wyniesiono go z podziemia, a tak siennik, jak i aresztanckie suknie jego nadgryzły myszy i szczury". „Gdy innego więźnia, już konającego (Hubickiego), wynoszą z kazamat, wilgoć tak mocno przeżarła siennik... że, gdy go niesiono, porwały się końce siennika i słaby wypadł na kamienie i potłukł się tak mocno, że go do kaźni przyniesiono zakrwawionego i z sińcami na całym ciele". Za „krnąbrność" zakładano szelki, t. j. obręcze żelazne, „za pomocą których przykuwano więźnia do ściany w pozycji, jak gdyby był rozkrzyżowany, i, ażeby nie krzyczał, wsadzano mu w usta żelazną, także do muru bocznemi klamrami przybitą maszynkę, w kształcie gruszki". Zwano tę gruszkę dla urągowiska „słodką gruszką", była bowiem tak urządzona, że w którąkolwiekbyś ścianę jej uderzył głos więźnia, w usta wpadał mu niechybnie utłuczony na miałko pieprz...

Lecz właśnie tu, w tej beznadziejnej pieczarze, gdzie wolny w duchu człowiek wyzuty jest z wszystkiego, co stanowi własność jego, przywilej i dostojęństwo; gdzie wolę jego łamać mają męki, dumę depcze zbir, na delikatny kwiat uczucia podnosi rękę wachmistrz austriacki: tu właśnie, władniejsza od instrukcji więziennych i złości prześladowców moc nad garstką nieszczęśliwych obejmuje rządy.

Po grobie tym pieśń się niesie i dźwięk kajdan, odgłos westchnień przygłusza rytmem

tych ludzi istotnym, rytmem siły i nadziei. Zwłaszcza pieśni Juljusza Goslara i piękna gra organisty chochołowskiego Andrusikiewicza, dozwolona podczas nabożeństwa, zdejmują ze smutku ciężar ołowiu. Dla więźnia, któremu odjęte jest wszystko, co zmysły ludzkie raduje jako piękno, który za pięknem barw, woni, dźwięków tęskni tak mocno, że często piękno to stanowi przeważający element jego wizji sennych i halucynacji, pieśń jest prawie szczęściem. Goslar talent swój oddaje całkowicie na usługi towarzyszom. Pieśń przerywa na chwilę monotonię dnia więziennego, zdejmuje z dusz chmurę zmęczenia i nudy. Ale zawsze wrogi to są jeszcze samotności groźne. Doświadczęsi zatem z grona postanawiają z nudą i zmęczeniem więziennym prowadzić walkę systematyczną za pomocą dobrze obmyślanej i zorganizowanej nauki. „Tym sposobem tworzyliśmy sobie zatrudnienie, czyli konwikt z wszelkimi podziałami na godziny i przedmioty i wszelkim rygorem. Z jednej szczęśliwej myśli coraz nowsze wyrastały pomysły, aż przyszło do tego, że uorganizowaliśmy się w formalną Rzeczpospolitą“.

Celem tej Rzeczpospolitej jest przedewszystkim podniesienie godności moralnej każdego z towarzyszy „do stopnia właściwego wiedzy wykształconej“ i utrzymanie jej na tej wysokości. Uczyli się prawie wszyscy, nauczający zaś stosowali naukę do zawodu, jakiemu dany towarzysz poświęciłby się chętnie na wolności,

Uczono historii i geografji, nauki gospodarstwa i leśnictwa, matematyki, chemji, historii naturalnej i języka francuskiego, do którego więźniowie szczególnie objawiali zamiłowanie. „Uczniowie olbrzymie czynili postępy“. Robert Nabelak uczył robienia pończoch, roboty w więzieniu obowiązkowej...

Ustawa Rzeczypospolitej Grajgórskiej zaleca między innemi obywatelom i żąda od nich zapomnienia wszelkich uraz dawniejszych, unikania obmów i plotek, przyzwoitej formy wyrażania się, zaniechania nawet w żartach wyrazów, „rażących ludzi wykształconych“. Zaleca umywanie ciała zimną wodą; przechadzki codzienne oznacza jako obowiązujące. Znosi używanie wszelkich tytułów, honor czyni rzeczą świętą. Zakazuje wdawania się z nadzorcami w niepotrzebne rozmowy, zakazuje proszenia o cokolwiekbądź, czego by nie wymagała konieczność. Prosić niewolno nie tylko przełożonych, lecz nawet lekarza. Ustawa zapewnia członkom zupełną tolerancję religijną, zakazując jednocześnie wszelkich gorszących rozpraw religijnych, mogących obrazić czyjekolwiek uczucia. „Wykroczenia przeciw dobru ogólnemu Towarzystwa... ściągają na przekonanego karę śmierci moralnej, t. j. bezpowrotne wykluczenie z Towarzystwa i publiczną wzgardę, która i za granicę więzienia sięgać może“.

Urzędy ogół nadawał dzielniejszym z pośród siebie. Naczelnikiem Rzeczypospolitej jest Ignacy hr. Komarowski, doradcami jego — Józef Wysocki i Jan Andrusikiewicz. Urząd marszałka

Izby pełni Henryk Szmitt, sędzią pokoju jest ks. Ludwik Gromadzki, prokuratorem — Wacław Domaradzki.

Niedługo wprowadzie, gdyż niespełna trzy miesiące przewodzi tej jedynej w swoim rodzaju republice hr. Komarowski, lecz gdy u wrót więziennych staje dzień 23 marca 1848, naczelnik Rzeczypospolitej Grajgórskiej wyprowadza na jego spotkanie nie złamanych przysłowiową ohydą spielberską cierpiętników, ale garść rozumną robotą miłości umocnionych i wzbogaconych dusz, niesie „wiośnie ludów“ snop żywy, pełen bujnego ziarna.

Jeśli Spielberg pozostawił w duszy więźnia polskiego jakieś luki w przedmiocie wiedzy o niewoli, Kufstein wypełni je całkowicie. Zdawałoby się, że w dziele znęcania się nad więźniem dalej, niż szedł Spielberg, pójść nie można —: złudzenie to. Na wozach, najeżonych bagnetami, pod dodatkową ochroną zdobytych szabel kawalerskich, więziono przestępców politycznych do Kufsteinu. „Dziwno to zapewne — mówi Stefan Mułkowski, mieszkaniec Kufsteinu, — widzieć tak silną straż koło ludzi, którzy pod ciężarem kajdan zaledwo ruszać się mogli, lecz trwoga tyranów zawsze bywa tak wielką, jak ich okrucieństwo“. I istotnie Kufstein jest jakby jaskrawym zobrazowaniem tych dwu nastrojów, splecionych w harmonję doskonałą.

Wyrastająca z wysokiej góry, murami i szanćcami opasana cytadela kufsteinska dźwigała je-

szcze na sobie okrągłą, kilkopiętrową wieżę, wieżą Cesarza zwaną, „jak słup grobowy na mogile w pośród cmentarza wzniesiony“. Na najwyższym piętrze tej wieży, pod samym sklepieniem, w kształcie promieni koła rozmieszczone były cele. Cella każda sklepiona, mająca siedm kroków długości, cztery kroki szerokości i nieco szersza od strony łukowatej muru, „wyglądała, jak trumna, a małe, kwadratowe, dwiema żelaznemi kratami opatrzone okno, nadto jeszcze gęstą, żelazną siatką obciążnięte... stanowiło jakoby napis na trumnie położony, świadczący, że objęte niemi zwłoki niegdyś żyjącymi były“... Po dwu więźniów mieściła taka cela, że zaś wszystkich ich było siedemnastu, jeden z pośród nich skazany był na ciągłą i nieprzerywaną nigdy samotność. O jakimś jawnym sposobie zetknięcia, skomunikowania się mowy być nie mogło. Więźniów wyprowadzano po dwu na przechadzkę, nawet na nabożeństwie dwójki te rozgraniczone były przez żołnierzy: żołnierz przecinał związek między celą a celą. Przemówić do siebie, powitać się nie było sposobu i nie było sposobu przełamania zakazu, gdyż jedynym rezultatem takiego zamysłu byłby zakaz brania udziału w nabożeństwie, pozbawienie więźnia bodaj widoku towarzyszy. Przechadzki dozwolone były co trzeci dzień, lecz raczej przyrównać je można do pokutniczej, odbywanej pod pręgierzem męki, aniżeli do rozrywki, celom zdrowia mającej służyć. „Miejsce do przechadzki

wyznaczone było na jednym z bastjonów twierdzy...; plac ten niewielki, kazamatami wkoło otoczony, żadnego widoku na świat nie mający, był istotnie obszerniejszym tylko więzieniem.“ Straż więźnia w czasie przechadzki stanowiło dwu żołnierzy i podoficer. Jeden z żołnierzy wyprzedzał pochód, usuwając z drogi wszystko, cokolwiek przez moment bodaj zająćby mogło uwagę więźnia: spędzał ptactwo, uprzątał każde źdźbło, każdy kawałek szkła, każdy kamyk. Wszystkim, którzyby przypadkowo spotkać mogli więźnia na tej przechadzce, wydany był rozkaz odwracania się do niego tyłem. „Cel tego rozkazu nie mógł być inny, jak tylko nas w oczach drugich osromocić, zbezcześcić, jednym słowem do najwyższego nam dokuczyć“, — zamiar władz jednogłośnie i wszędzie przez więźniów stwierdzany. Podobny cel przyświecał rewizjom, przedsiębranym comiesięcznie w każdej celi. „Była to dla nas przykrość dwojaka, moralna i fizyczna, moralna, bo w czasie przetrząsania musieliśmy się z naszych sukni rozebrać i czekać, dopóki około ciała naszego przegład, z podeptaniem wszelkiej przyzwoitości, dokonany nie będzie.“ Więźnia, stawiającego opór, kneblowano, brutalizowano, wiązano i leżeć musiał skrępowany póty, póki czynności nie ukończono. Dokonano takiego gwałtu dwukrotnie na osobie Stanisława Marynowskiego. Listów oryginalnych więźniowi otrzymywać nie było wolno. Co najwyżej otrzymywał kopję. Często nie doręczano mu nawet

kopji, a tylko naczelnik więzienia komunikował mu ustnie treść, rzekomą treść nadeszłego listu. Nie było mu też wolno wysyłać listów własnoręcznie pisanych. Więźniowie pisali na tablicy z kamienia łupkowego, i list taki poddawany był cenzurze komendy, która w odpisie przesyłała go do ministerjum wojny w Wiedniu. Jaką wartość mieć mogła taka korespondencja i jaką dawała rękojmię piszącemu, domyśleć się łatwo.

Więźniowie kufsteinscy byli zawsze głodni. Karmiono ich potrawami, nie dającemi się spożyć. Chleba wydzielano dziennie po dwanaście łutów, i więzień byłby chętnie poprzestał na chlebie, gdyby ilością taką można było zaspokoić głód. Mułkowski dochodzi do przekonania, że sposób żywienia więźniów wskazywał najwyraźniej zamiar zamorzenia ich głodem, a co gorsza, zamiar nadwątlenia sił duchowych przez osłabienie sił fizycznych.

Udawało się wszakże tylko podkopać zdrowie więźniów i to udawało się radykalnie. Kufstein był nieustającym szpitalem. Jest rzeczą jasną, że gdy z góry zamierzone było unicestwienie więźnia, choroba jego w zarządzie więziennym nie wyczaruje uczuć ludzkich. Lekarz—stary, nieudolny, przed naczelnikiem więzienia drżący: „kogo z nas sama natura własną siłą uleczyć nie mogła, ten stać się musiał ofiarą śmierci, albo kalectwa...” Więzień chory pozostaje w swojej celi. Póki wogóle chodzi, zwie się zdrowym. Kajdany odjąć wolno w razie nie-

bezpieczeństwa życia. Niemniej w kajdanach umiera ks. Wincenty Żaboklicki, w kajdanach umiera Adolf Roliński. Gdy decydują się odjąć kajdany, chory nie może mieć najmniejszej wątpliwości, że umiera. Dyeta—to „kara zupełnego głodu... bo bez dyety istniał on prawie w polowie...”

Książki więźniowie mają te, które sobie przywieźli. W Kufsteinie żadnej nie zastali biblijoteki. Dla polskich więźniów cenzura więzienna wydaje szczególne obostrzenia. Niewolno im czytać dzieł, mających za przedmiot dzieje Polski, zwłaszcza— dzieje rozbiorów; zakazane jest czytanie wszelkich poezji i literatury pięknej wogóle. Z rzeczy historycznych te tylko są dozwolone, co „utwierdzenie zasady czysto monarchicznej na celu miały i nadto o Polsce, a osobliwie jej rozdrapanie przez ościennie mocarstwa lub wcale nie, lub kłamliwie, lub tylko bardzo ogólnie nadmieniały, np. Nauka powszechna przez Henryka Leo.”

Wszystko, co mogło rozświecić grób Kufsteinu, jako błądy bodaj odblask piękna, światła, lotu; wszystko, co dla głodnej wyobraźni więźnia mogło być najlichszym by pokarmem; co dla zmęczonego serca mogło się stać przypomnieniem siły i pociechy, wszystko to najsurowiej jest wzbronione.

Więźniowie kufsteinscy znoszą początkowo prześladowania z podziwu godną cierpliwością. Niejednego z nich system ciągłego poniżania

godności osobistej więźnia, nękanie go na każdym kroku przy równoczesnym prawie że urągliwym zapewnianiu władz, że „rząd J. C. Mości z ojcowską troskliwością o wszystkich ich potrzebach pamięta“,—system ten niejednego stawiał na granicy szału. Lecz trzymano nerwy na uwięzi, nie wybuchano, w nadziei—jakże płonnej! — że „szlachetnością naszą zawstydzeni od czynienia nam (przykrości) odstąpić zechcą.“ Gdy takie zachowanie się więźniów w rezultacie rozpętywa tylko swawolę i samowolę dozorców, gromadka kufsteinska staje do głuchej i zaciętej z tą władzą walki, która kończy się dopiero z dniem wyjścia jej z Kufsteinu.

Już są na drodze do niejakiego w tej walce zwycięstwa: już w celu śledztwa powołany jest do Wiednia komendant twierdzy i zaprzysiężony wróg więźniów polskich, Kalser de Massfeld, gdy Kasper Ciągiewicz i Marynowski próbują szaleńczej niemal w pomyśle i do wykonania niepodobnej ucieczki. Ucieczka, oczywiście, nie udaje się. Massfeld powraca do Kufsteinu pełen tryumfu i odtąd warunki, i tak już najgorsze, staną się po prostu orgją zemsty i nienawiści, codziennie, co chwilowo na więźniach wywieranej. Skasowany jest spacer na baszcie Karola:— za miejsce przechadzki „wyznacza się plac nadzwyczaj mały... nieustającą siedzibę atmosfery morową zarazę wydać ze siebie zdolnej, albowiem kanały nieczystych odchodów zbiegały się tam do jednego wspólnego ujścia...” Rychło ofiarą

hygjeny tej pada trzydziestoletni Adolf Roliński. Wojennemu intendentowi w Insbruku i komendantowi twierdzy przyznane jest też od czasu owej nie-szczęsnej ucieczki prawo wymierzania więźniowi kary cielesnej, t. j. kijów. Z prawa tego wolno im korzystać „bez żadnego odwoływania się do władz wyższych, w razie uznanej przez siebie potrzeby... w celu poskromienia buntowniczego usposobienia zdrajców głównych w twierdzy Kufsteinie“...

Na mimowolnych sprawców tej tak pogorszonej, a wszystkich obejmującej doli nie spadnie jednak żaden wyrzut, nie dotknie ich cień chociażby żalu. Przeciwnie. „Trudne to było zadanie — mówi o ucieczce owej Mułkowski — na pierwszy rzut oka prawie do wykonania niepodobne, by dwu naówczas już więzieniem pięcioletnim znękanych i bezsilnych ludzi, w żadne narzędzia niezaopatrzonych, pod okiem straży ciągle zostając, zdolali niedostrzeżeni przebić mur, którego grubość blisko trzy łokcie wynosić mogła. Daleko niepodobniejszą jeszcze rzeczą, by dwaj osłabieni, żelaznemi pętami obciążeni więźnie, z tak wielkiej wysokości spuszczać się odważyli, tymbardziej, że po przebyciu tej trudności pozostawało jeszcze spuszczać się ze skały, na której Carska Wieża stoi, czego dopełniwszy, potrzeba było w pośród straży wojskowej przechodzić i, spuszczając się kilka razy z jednych na drugie, coraz niżej idące mury i wały warowni, przebyć ostatni rów i palisady, aby się na pierwszy, zewnętrzny okop twierdzy wydo-

stać. Wszystko to zważywszy, nazwaćby potrzeba po prostu marzeniem przedsięwzięcie dzieła do skutecznego tak niepodobnego.“ Lecz, choć „trzeba“, Mułkowski dzieła tego marzeniem nie nazywa. Jakby na usprawiedliwienie — i czuć w jego słowach chęć zdjęcia z nich wszelkiej winy, czuć, że była to powszechna o czynie ich w Kufsteinie opinja—mówi. że było to „marzenie tylko w części i być musiało, bo żaden czyn wyższą śmiałością odznaczający się bez pewnego marzenia, bez tej gry uczuć, bez uniesienia, martwą rachubą kupiecką dokonać się nie da; urok zaś wydartej przemocą wolności dosyć jest silnym, by tę grę uczuć w sercu rozniecić i z każdej przeszkody z dumą się urągać“... Objasnia jeszcze, że skoro los celę Ciąglewicza i Marynowskiego umieścił w miejscu, w którym wysokość wieży skrócona była o całą głębokość fundamentów przez podpierającą ją skałę, „zbrodnią byłoby nawet nie szukać chwili i sposobu odzyskania wolności temu, któremu ona niesłusznie wydartą została“..., tak jak „niepodobieństwem było zatrzeć w przekonaniu myśli, że niewola nie jest prawidłowym stanem człowieka“...

Odlączeni od świata najzupełniej, nie mogli więźniowie kufsteińscy wiedzieć, co się dzieje poza wałami fortecy. Jednak, że „nikt nam dotąd takich więzień nie stawiał, ni w nich tak gęstej nie zrobił kraty, by tchnienie świata czasem przez nią przedrzeć się nie mogło“, 7 marca

1846 r. dochodzi ich głucha wieść o powstaniu. Nie opuszczała ich wprawdzie przez cały czas ich uwięzienia nadzieja, że na wolności praca postępuje dalej, że nie leżą odłogiem ojczyście niwy. Moment wszakże, w którym nadzieje ich w wieści znajdują potwierdzenie, jak iskra rozpala i burzy jednostajność ich dni. „...Przygasłe oczy łzami zabłysły i w sercach zazdrość powstała... W tej chwili dopiero poznaliśmy, jak silne i jak ciężkie były okowy nasze...” Lecz w kilka miesięcy później w okrągłym przedsięwzięciu wieży da się słyszeć brzęk kajdanów. To twórcę strofy Chochołowskiej, ks. Leopolda Kmietowicza, wprowadzają do warowni. Przybędą jeszcze Stroe i Białobrzesci i znowu nad więzieniem legnie śmiertelna cisza.

Że przybyli ci nowi, rozumieją więźniowie, iż przegrana jest sprawa. Klęska, świadomość klęski włóczy się po całym więzieniu. Byłaby może pociechą możliwość spotkania się z kimkolwiek, kto w walkach ostatnich brał udział. Lecz ks. Kmietowicz, osadzony w celi bardzo oddalonej, ukrywany jest tak skrzętnie przed oczami współwięźniów, że nawet na mszy szukają go daremnie. Ks. Kmietowicza nie wyprowadza się z celi nawet na nabożeństwo.

Płyną tedy dalej dni smutku i zgryzoty. Że tak rychło już odwróci się karta losów, nie przeczuwał nikt, Nie pojmwali więźniowie nic z huku dział, rozlegającego się pod oknami twierdzy, z odgłosu bijących dzwonów, z tonów

radosnej muzyki, która nagle, jakby cudem, przenikać poczęła w kamienną otchłań. Zarząd bowiem więzienny nie zaprzestaje nękania ich, póki jakakolwiek jest jeszcze ku temu możliwość. Szumny gwar dookolny objaśnia, jako przejaw radości z powodu narodzin cesarzewicza. To też wiadomość, że są wolni, niektórzy z więźniów uważają za nowe podejście, zgoła nie dając jej wiary. Wynoszą z więzienia, którego nazwa jest dotąd synonimem mąk i udręczeń, zdrowie podkopane i pamięć tej udręki dogrobową. Ale wynoszą także nienaruszone przekonanie, że niewola nie jest, być nie może „prawidłowym stanem człowieka“ i to jest ich wieczyste nad niezwalczoną z pozoru przemocą zwycięstwo.

Podobnie jak Spielberg i Kufstein nie złamały ducha więźniów galicyjskich, podobnie i poznańscy więźniowie z więzienia pruskiego nie wyjdą jako zwyciężeni. W dbałości o zachowanie dobrej sławy, sprawiedliwość pruska na pierwszy rzut oka wydaje się mniej brutalna od sprawiedliwości austriackiej i moskiewskiej. Nie jest to jednak bynajmniej wpływ ducha, mniej do okrucieństwa skłonnego. Jędrzej Moraczewski opowiada w swoim pamiętniku, że po bitwie Książkiej „kazano klękać jeńcom naprzeciwko słońca, tak że patrzeć nie mogli, a potem pluły im w oczy całe szeregi. Niejeden oparł się tej zniewadze i bez litości był zamordowany. Kobieta, która się pokaże, ginie od bagnetów, a jed-

nej wydarto z ręki dziecko i w pożar rzucono... Kiedy zabranych jeńców odprowadzono do Śre-
mu, to jeszcze cały bataljon, który stał przy
złożonej w kozły broni, uderzył kijami, kamie-
niami, butelkami i co miał pod ręką, a bił i ra-
nił Polaków... Nie używano w Moabicie szelek
i „słodkiej gruszki“, pozostawiano nawet więź-
niom względną swobodę, lecz „rząd pruski miał
swoją rodzaj jezuickiej inkwizycji, równie skutecz-
nej na dyssekcję moralną obwinionego. Inkwi-
renci pruscy w wysokim stopniu posiadali zdol-
ność wyczerpywania z więźniów ostatnich zasób-
ów cierpliwości i żwawy duch polski... byłby
nieraz chętniej zniósł doraźną ofiarę cielesnego
żywota, niż powolne, systematyczne drażnienie
umysłu i czucia; byłby radziej spotkał się z pio-
runem, niż z ciągłą kapanią drobnych, igłanych
pocisków, które jedne za drugimi w mózg mu
się wpijały i wyzywały szalone przekleństwa
własnego ubezwładnienia.“ Zienkowicz mówi
jeszcze o bezustannej trosce i niepewności, które
zjadały spokój więźnia, o ciągłej obawie poplą-
tania się w protokołach, o nieustającym przy-
musie wyężania uwagi na najdrobniejsze szcze-
góły życia, o konieczności łowienia, zbierania
i zapamiętania ich „z zamrużonemi oczami“, mówi,
że wszystko to „katowało ducha nikiemnością
form i w piersiach krzewiło zwątpienie.“ A jed-
nak w tych nieznośnych i dwa całe lata trwa-
jących warunkach, z gorzką wiedzą o sprawie
i tym razem przegranej, z wizją śmierci w oczach,

Libelt opracowuje „Dziewicę Orleańską“, Ryszard Berwiński uprawia studia nad podaniami ludowemi, Mierosławski „o rewolucji i kontrrewolucji“ pisze rozprawę. Katowany duch wszystkiemu naprzekór żyje i z dobrze strzeżonej kazi pruskiej naprzekór strażom wychodzi do ogrodów, swoich własnych.

Niebawem zaś mowa Mierosławskiego do-
wiedzie, jak daremną i bezcelową była tortura
inkwizycji pruskiej. Przed sądem, w oczach ca-
łego świata, z ust więźnia, który za moment
skazany będzie na śmierć, pada wyznanie wiary
śmiałej i niezłomnej,—rozbrzmiewa głos wszyst-
kich, których zatopiła fala. „Oskarżacie nas, że
chcieliśmy niepodległości polskiej, ale któż z Po-
laków jej nie pragnie? Oskarżacie nas o komu-
nizm... Azali my mamy czym się dzielić, kie-
dyście nas obdarli z państwa, ze społeczności,
z praw, z przeszłości i przyszłości naszej?...
Wszystkoście nam zabrali. Chcąc przeto oskar-
żać nas o ów komunizm, poczekajcie przynaj-
mniej, byśmy wam odebrali, czymbyśmy się
spolic mogli“...

Oskarżacie? Oto ja was oskarżam! Sądzi-
cie!—ja was sędzę. Wyście wydziercy i gwałci-
ciele! Dnia pomsty wy czekajcie!

Jakże to przed półwiekiem przeszło pisał
Sułkowski do Repnina? „...Ty, któryś podeptał
i zgwałcił u nas prawo narodowe, obawiaj się
słusznie resentimentu, któryś zarobił wmc pan
w sercach naszych“... Poprzez lata, poprzez prze-

strzeń, jak pobudka i jak hasło, biją z pod fali te słowa, niezmiennie w sercach żywe. Lecz byłyby, jak miedź brzęcząca, gdyby obok nich i równolegle z niemi nie niosło się zawsze, w każdej epoce boju, słowo twórcze, myśl-wiara, zakon dla świata, który ma być wywalczony.

I oto w rumianej zorzy czasu Mickiewicz-państw, Mickiewicz-żołnierz bierze na siebie brzemie bożego człowieka czynu. Śpiewa w tym jego pochodzie do Rzymu jakby akord iście Beethovenowskiej harmonji i w większą, wspanialszą, bardziej patetyczną gęźbę nie wdźwignęła się żadna epoka historii.

...Ojczyzna pole życia słowu Bożemu na ziemi...

XI.

W Warszawie nie próżnował szpieg Pa-skiewiczza.

„Miałem wówczas lat dziewiętnaście i świe-
żo opuściłem ławę szkolną“, — słowa, któremi
Gordon rozpoczyna swoje pamiętniki, mogłyby
być stereotypowym początkiem wielu naszych
ówczesnych epopei męczeńskich. Już odziany
jest uczeń polski w mundur żołnierza moskiew-
skiego: „Zielony surdut lub frak, ponsowy koł-
nierz, sychowe belki, przepisana ilość stemplo-
wanych guzików, zielone lub białe spodnie,
chustka czarna i zielona mikołajówka, t. j. czap-
ka stojąca z dużym dnem, z nazwiskiem ucznia
wewnątrz, aby, gdy wypadnie, poznać go mógł
na ulicy lada żołnierz“. To jest zwierzyzna naj-
chętniej, najusilniej tropiona. Tropią wszędzie,
zwożą do Cytadeli, a gdy tam miejsca zbrak-
nie—do odwachów wojskowych. Tak zwożą
dwieście osób z Łukowa i martyrologja Cyta-
deli wnet zapisuje straszną śmierć Karola Le-
vittoux, który, raz już wzięty pod pałki, z oba-
wy, że powtórna chłosta przełamać może jego

milczenie, sam się podpala, płomieniom oddając czystą, nietkniętą przez zdradę duszę. Odtąd w Cytadeli przestają dawać światło.

Lecz nie tylko młodzież jest przedmiotem policyjnych obław. Czynią one potężny wyłom w sferach urzędniczych, gdy wykryty jest związek łączycy Gzowskiego; zgarniają tłum chłopów, rzemieślników, drobnej szlachty i księży, gdy ks. Ściegiennego spisek odsłania zdrada. Nie naliczyłby nikt, ile pałek spadło w owe czasy na chłopskie barki, nie mówiąc już wcale o różgach, któremi ćwiczono włościan, mężczyzn, zarówno jak i kobiety, gdy skazani byli na kary łżejsze. Każda warstwa narodu dostarczała obławom żeru. „Przypominam sobie, na ulicy Miodowej, w pochmurny marcowy dzień — opowiada Giller — przypominam sobie, że widziałem kilkanaście wozów z więźniami... Na jednym — siedział siwiuteńki w niebieskiej konfederatce starzec, wpatrzony wzrok zwróci, gdzieś daleko przed siebie... nie widział ani ludzi, ani miasta... Na innym — chłop w krakowskiej sukmanie, na innym ksiądz, na innym dwu młodziutkich dziecinnego wyrazu chłopców“... Połów to był zwykły, zjawisko wśród zjawisk dnia powszednie. Wystarczy podsłuchana rozmowa „patryjotyczna“, podejrzana książka, wygląd, niekoniecznie przypadający do smaku władz, aby był pretekst do przetrząśnięcia domów i dworów, do zdobycia nienaliczonego żywego łupu.

Niebawem, na prawo od drogi, wiodącej

z Cytadeli do miasta, staną szubienice. Są to te właśnie słupy, których widok weźmie w siebie całe pokolenie, szubienice, na które patrzył w dzieciństwie Krz., szubienice, których pamięć wychowa niejednego z bojowników 63-go roku. „Warszawa była jak obozowiskiem; w nocy ognie biwaków pałały na wszystkich rynkach“. Przy biwakach—armaty, na ulicach—pustka. „...W ten rok klęski i smutków (1846) — wspomina Giller — pamiętam wzniesioną szubienicę. Patrole przebiegały ulice miasta, tłum ludu, niespokojny i zatrwożony, zebrał się na ulicy, okrążającej plac Cytadeli. Roty żandarmów i piechoty odpychały go i zasłaniały procesję, wychodzącą z bramy... Szli oficerowie, żołnierze, urzędnicy, kat, kapucyn, pastor, pop, dalej więźniowie, a za nimi znów żołnierze; wkrótce zwróciły wzrok dalekiego ludu dwa wiszące ciała w bieli“... Kociszewskiego i Żdźarskiego wieszano. Pod szubienicami temi, założywszy im wprzód stryczki na szyję, „ułaskawiono“ na roboty w kopalniach Stefana Dobrycza i Karola Ruprechta; pod szubienicami temi Michałowi Mireckiemu, Andrzejowi Deskurowi i obdarzonemu wpoprzed pięciuset pałkami Janowi Lityńskiemu odczytano wyroki do robót!.. I już zawiązują się losy aktorów przyszłego dramatu narodowego, już Józef Toczyski i Szymon Tokarzewski skazani są do rot aresztanckich.

Bo któż to obok Paskiewicza rządzi Warszawą? Oberpolicmajstrem jest przecież Abra-

mowicz, Polak z tych, których Trentowski obejmuje mianem „odrodných“, jeden z tych, co to „ciałem i duszą rzucili się w ramiona carskie“, Abramowicz, którego takimi Trentowski jeszcze charakteryzuje słowy: „Jenerał-policmajster miasta Warszawy, naczelnik policji tajnej, dyrektor teatru, mistrz żandarmerji i hyclów w stolicy, koczot lub rafian Paskiewicza, obmyślający dlań dla użytku kraśne i niewinne dziewice, zbir i naskórnik młodzieży, słowem poczwara piekielna, jakiej nie było jeszcze na ziemi“. Godnie stoi u boku Abramowicza inspektor policji, Grass. „Kreatura ta, wypełznawszy ze śmieci Franciszkańskiej ulicy, długo roznosiła zapalki... Szachrując po rogach ulic i po hotelach, do zapalek dołączał i inne przedmioty; nareszcie, będąc wyrostkiem, handlował wszystkim, co z doświadczenia uznał za najzyskowniejsze, znał wszystkie piękności i całą młodzież i starał się być usłużnym“. Młodzieży, której inaczej usłużyć nie mógł, służył szpiegiem i prowokatorem. Ten, gdy potrzeba, ma „ojca w emigracji“, gdy potrzeba, jest patryjotą i lwem. „Lubi mnie bardzo“ — mówi Gordon o prowokatorze Brzezańskim, którego aż do chwili fatalnej ma za przyjaciela. „Wykwintnej powierzchowności, swobodny, nie krępujący swobody... daje mi dowody swego zaufania, ukazując na ulicy i w teatrze niektóre figury, które mianuje nieszkodliwemi więcej, bo on je już odkrył, jako należące do tajnej policji“...

To jest władza i jej ramię.

Gdy przywiodą więźnia przed oberpolicmajstrowskie oblicze Abramowicza, jednym z pierwszych pytań, jakie padnie z dostojnych ust, hędzie: „Czy waćpan słyszałeś o różgach Grassa?” Jeśli nie słyszał, wnet się o nich dowie. Przyjdzie go w Cytadeli zapytać sławny Morok, sztabskapitan żandarmów Żuczkowski, „czy niema czasem głodu tu?” i oznajmi przy sposobności, czego w Cytadeli niewolno. Okaże się z tego pobieżnego oznajmienia, że żyć niewolno... W potrzebie Lejchte skopie nogami, jak skopał narzeczoną Karola Klatta, Annę Rogalewiczównę, wypuszczoną z Cytadeli na kilka godzin przed śmiercią. W potrzebie znajdą się i „punkciki”, tortura, w której, przyśrubowawszy głowę więźnia do ściany, usiłują wydobyć zeń wyznania za pomocą szczutków, dawanych w nos. W potrzebie znajdzie się i podsunięty przez władze szpieg-towarzysz, męka najsroższa. Niejeden półżywy wyjdzie z tych murów, aby w którymś z więzień etapowych wyzionąć ducha. Tak w kazańskim lazarecie umiera Karol Klatt, tak w więzieniu smoleńskim umiera Łosiewicz. Niektórzy i etapu nie dożyją i kronika śmiertelna Cytadeli notuje w tym czasie zgony Piotra Petlińskiego, Adolfa Chrzanowskiego, Józefa Opanowicza, Handwerkera, Jana Krzywickiego—wszystko zgony zawinione przez udrękę śledczą.

Na palcach, z uszanowaniem, „by nie przebudzić cieni męczenników”, wstępuje młody wię-

zien w progi Cytadeli. Ogarnia go nastrój jakiś uroczysty, rzekłbyś, że niewidzialna ręka kładzie mu na czoło święte chryzmaty. Polskie to są święcenia:—na ból, samotność, mękę i wytrwanie. Rozgląda się więzień po celi:—kraty, nieme ściany, milczenie cmentarne, przerywane tylko wrogim odgłosem stąpań żandarmskich. Błędzą oczy po nagich ścianach, po piecu, stole i stołku, wpijając się chciwie w każdą, najniklejszą badaj ryse:—szukają, pytają. Kto tu był? Czyje się tu krwawiło serce? Jakie tu były skrzydła? Czyje się tu wyświęciły losy? I nieme ściany poczynają mówić. Z pod wykreśleń, wyskrobań, z pod świeżo nałożonego tynku chciwe wieści oczy więźnia odczytają wszystko, o czym opowiedzieć może cela. Odczytają lub odgadną Opowie ściana, że gdy wchodził więzień w twierdzę niewoli, często, bardzo często wraz z nim wchodziła i siadała tu u progu Śmierć. Wychylała się ku niemu z cieni nocy, stawiała u jego wezgłowia, szeptała uroczone, potężne zaklęcia. Mówiła: *dulce et decorum est pro patria mori* — i przytakiwała jej dusza więźnia i martwa ściana więzienna ożywała, zapisując jej słowa. Opowie ściana, że mieszkało tu męstwo, które mówiło, iż „rozpacz jest tylko słabych dusz udziałem“, a może opowie, że mieszkała tu rozpacz, która, sama siebie strofując, nakłaniała się do męstwa. Powie ściana, że „z prochów naszych powstaną mściciele“, zapewni, że Ojczyzna nie zginęła, mimo to, a może dla tego, że o zgo-

nach donoszą znaczone na ścianie krzyże, mimo to, że brzemieniem zgonów niepojętym obciążona jest pamięć Polaka. Wypowie nakaz: „cierpieć. milczeć i wojować!“, wyszepcze ostrzeżenie: „wierz wszystkiemu, tylko nie komisji.“ Czasem zapłaczę skargą dziecka: „o matko moja, matko rodzona, poco mnie było pieścić dziećciem!...“, znak, że za wcześniej los powołał duszę na drogę bojową. Czasem uśmiechnię się uśmiechem półgorzkiej, pół żartobliwej rezygnacji: „Miły bracie, próżna praca, kto tu zaszedł, nie powraca.“ Czasem słowa modlitwy—prostej, pełnej wiary—powtórzy ściana. Czasem wieść przyniesie o znękanii i znużeniu, które już wszystkiego ma za wiele. „Śpią po mogiłach mężczy bracia moi, a do mnie nawet sen się zbliżyć boi“... I nagle z cichej powiernicy, z tkliwej przyjaciółki, z doradczyni i pocieszycielki, stanie przed oczami, jak groźny, w krwawej zorzy Sędzia, bo zawoła: „Kain zabił brata, chcesz być Kainem—zdradź swego brata!“

To wszystko zwierzy ściana i wiele innych jeszcze rzeczy. Bronisław Szwarce, mówiąc o głuchych murach Szlisselburga, z rzewną wdzięcznością wspomina mówiącą ścianę Cytadeli. — „Kto żył w takim grobie — powiada — wie, ile szczęścia, ile życia dodaje najmniejszy znak, przypominający tych, od których cię oderwano na zawsze może... Czyż ten mur nie mówił do mnie: wyrośnie z naszych kości mściciel?... Dzieje męczeństwa odkryły się przede

mną i wzmocniły samotnego do walki, natchnęły nowy, niezwalczony upór“...

Legion cały duchów wytrwa w tym niezwalczonym uporze. Lecz wrogiem więźnia nieubлагanym jest — czas. Nurt to tutaj jakby bezdenny, grzędka jakaś i płynna otchłań, w której dusza więźnia tonie i zatapia się, który ją zalewa i nakrywa. Czas, którego niema czym wypełnić, a który jest, wydzwania kwadranse i godziny, wystukuje bieg swój leniwemi zmianami zandarmów. Przyzwyczajony najczęściej do ruchu i czynu, więzień jest beczynny. „W samotnej celi beczynność — to śmierć“, zapewnia Szwarce, objaśniając, że „beczynność cielesna prowadzi wolno, ale niechybnie do cielesnej śmierci, duchowa beczynność, albo raczej ciągle przewracanie w mózgu jednych i tych samych myśli... doprowadza do śmierci umysłowej, do obłędu... Są tacy, którzy głodzą się przez całe lata, a z więziennego chleba wyrzeźbiają cuda cierpliwości, czasem arcydzieła sztuki; są tacy, którzy śpią na deskach, a ze słomy, wyjętej z siennika, tworzą jeszcze dziwniejsze rzeczy; którzy malują krwią własną, wymyślają niepojęte narzędzia i chemiczne preparaty“... Lecz zanim instynkt podda więźniowi ten wątpliwy zresztą dla duchowej beczynności ratunek, więzień ma dużo, strasznie dużo czasu. Jest on męką nawet dla dusz z natury wyposażonych w bogate, wewnętrzne życie. Jest męką nawet wtedy, gdy więzień, zrezygnowany na

śmierć, zajęty jest przemyśleniem o śmierci myśli, przemyśleniem myśli, której do końca przemyśleć nigdy nie podobna. Jest męką i wtedy, gdy, czyniąc pracowity rachunek sumienia, więzień bacznie rozpatruje drogę, jaką ma za sobą, waży wartość swoich działań, czy winy w nich niema? — bada. Chciał czynić dobrze, — czy nie uczynił zła? Czy droga, którą obrał, była sprawiedliwą, jedynie możliwą drogą? Czy ci, których na nią powołał, słusznym nie obrzuca go złorzeczeniem? Jest męką wtedy jeszcze, gdy pochłania czas i absorbuje go z pozoru doszczętnie śledztwo, troska o własne, niezachwiane milczenie, o milczenie współwięźniów, o byt sprawy, tam na wolności. Ta cała olbrzymia praca myśli nie wyczerpie więziennego czasu. Jest ten nurt bezdenne i nieprzemierzony i jakże sobie ma z nim poczynać młody więzień, w zasoby wewnętrzne uboższy, — powołany, lecz nie wybrany?

Minie nastrój, w którym wszedł do Cytadeli, zmilkną w szarzyźnie otocza tony Arylowej harfy. Uderzą oczy o kraty, — raz, drugi, postokrotnie — i wybiegną na wolę. Wszystko, co tam zostało, co przed paru chwilami było jeszcze zwykłym dniem człowieka, wiedzącego, że jest przed nim dużo, bardzo wiele takich zwykłych dni, teraz staje się czymś cudownym i niepojęcie drogim. Uczucie, zaród zaledwie uczucia, które na wolności tliło się małą i niegroźną iskierką, tu, nagle, rośnie, ogromnieje, obejmuje

serce płomieniem. Niebo, słońce, gwiazdy, woda — wszystko, na czym codziennie bez wdzięczności spoczywały oczy, tu staje się, czym jest w istocie, niezbędnością, a więc przedmiotem cochwilowej tęsknoty. „Jak głodnemu chleb na myśli, tak mnie, oddzielonemu od przyrody, stała ona zawsze na oczach“... Wyobraźnia pracuje, pracuje gorączkowo i bez wytchnienia, łączy w sfery oderwane, niezależne, „istniejące dla siebie samych, jak piękność dla piękna, prawda dla prawdy“; ze zwykłego wczoraj sielskiego widoku tworzy „czarowne panoramy, jakich żadna optyka, żadna latarnia magiczna wydać nie zdołają“, — tworzy poematy barw, dźwięków, woni i te jej przeżycia nowe, jak może, utrwala pamięć. Utrwala je w piosnkach, balladach, dewizach, strofach, fragmentach dramatycznych i całe takie archiwum polskiej, więziennej muzy znalazł Gordon w sienniku pewnego oficera kurlandzkiego w Brześciu.

Rzeczywistość więzienia, rzeczywistość Cyta-
tadeli — to śledztwo. Kain zabił brata... „Rozu-
mie się — powiada Gordon, — że położenie więź-
nia stanu w sile wieku, z rozwiniętym duchem,
może być znośne... może mieć swoje słodcze,
chwile szczęścia nawet... Z pogodą na czole,
z uśmiechem pokoju na ustach, oczekuje chwili
skonu, a krew jego użyźnia niwę, na której
wzrasta ziarno boże... Ale położenie więźnia
młodzieńca nierozwiniętego... dla którego cier-

pienie nie jest wyobrażeniem obowiązku, jest okropne...”

I istotnie, jak radzić sobie miał z samotnością celi, z okrucieństwem Moroków, z widmami rozgorączkowanej wyobraźni, młody, „dziecięcego wyrazu” chłopiec? Bo wszyscy oni, Abramowicz i Grass, Morok i Lejchte „przyjaciele” są. Odprowadzając Gordona do więzienia, Grass zapewnia go, że go „żałuje”, ponieważ bardzo jest podobny do jednego z jego kuzynów, radzi, jak „rodzonemu bratu”, upaść do nóg generała, który przecież jest Polak, i wyznać szczerze, czego żąda...” Każdy pragnie dopomóc zbłąkanej owieczce, każdy marnotrawnego syna wykierować chce na „porządnego człowieka”. Do Jasińczyka przemawia Jołszyn, przewodniczący komisji żandarmskiej, w te słowa: „Najjaśniejszy cesarz, najlepszy wasz ojciec, co was lubi i pragnie waszego dobra, chętnie przebacza tym, którzy okażą skruchę, żal i poprawę; od ciebie zależy cały twój los, karjera... I ja mam dzieci, i ci panowie także... Oto masz papier, pióro, atrament, opisz wszystko, co tylko wiesz, coś robił, widział, słyszał; opisz wszystko, nie oszczędzaj tych łotrów, którzy cię wprowadzili na złą drogę... bo do cytadeli prowadzi szeroki gościniec, ale wyjście djabelnie ciasne”.

To właśnie djabelnie ciasne wyjście jest w rękach prześladowców zasadzką najchytrzejszą na zmęczoną samotnością duszę więźnia, Zasadzkę tę stawia więźniowi żandarm w każ-

dym więzieniu na całym obszarze imperjum rosyjskiego wczoraj jak i dziś, niezmiennie. Szwarzemu przyobiecują uwolnienie z samego Szlisselburga, byleby dał „słowo honoru“, iż nigdy przeciw Rosji walczyć nie będzie. Tłumacza, że to prosta tylko formalność, rzecz zgoła bez znaczenia. „Jakże się można tak samemu gubić — nie idzie o to, aby wydać kogoś, choć, prawdę mówiąc, wszystko dawno odkryte“... Idzie o formalność, któżby się o formalność spierał? Spiera się wszakże o nią właśnie więzień, póki na pomoc przyjacielskiemu żandarmowi nie przyjdą czynnicy, do ostatka rozprzegające wolę. „...Choroba szła swoim torem, byłem coraz słabszy“. Kaszel dręczy — lumbago... — „Tu zginę z pewnością — budzi się myśl, — już powoli umieram — tam, mogę działać, posłużyć Ojczyźnie“... Już wyobraźnia przebija „djabelnie ciasne wyjście“, już trzyma chory więzień w ręce możliwość wydarcia się samotnej celi. Dokonywa się w duszy bezwiednie, bez udziału woli, robota kłamstwa, dźwięku oszukańczego, którym więzień przygłuszy szept, mówiący: z d r a d a. — „Podpisałem — wyznaje Szwarzce — że żałuję i daję słowo, że przeciw Rosji działać nie będę... Takim sposobem, jak Oskar Awejde, jak wielu innych wstąpiłem na ślizką drogę renegactwa — dla dobra kraju!“

Żandarm tryumfuje. Z tryumfem „Smirnow poniósł obrzydliwy arkusz do komendanta“. I oczywiście, gdy „formalność“, formalność upo-

dlenia duszy ludzkiej jest dopełniona, zażądają jeszcze drobnostki, aktu skruchy, „małego a szczerzego zeznania“. Gdy Szwarce protestuje — Allons, allons — powiadają mu — pan jeszcze młody... namyśl się... napisz... przyślij do Peterburga. — „Rzuciłem się na łóżko i ledwie się nie rozbeczał z wściekłości i wstydu... Zhańbili mnie, lotry... Nie, nie oni, sam się zhańbiłem!... Ach, jakżem był mądry, kiedym palnął Szuwałowowi bez namysłu: Słowa nie dam! Odrazu spadła mi zasłona z oczu, wrócił duch dawny, wrócił spokój wewnętrzny“... Już Szwarce rozumie, iż nie dla „dobra Ojczyzny“ wyrzekł, że żałuje i już bez zawahania się pisze do Petersburga: „Przyznaję się być winnym namysłu unicestwienia niewóli, śledztwa, tortur...“

Lecz nie zawsze ocknie się więzień w porę, nie zawsze zdoła zawrócić z nieszczęsnej drogi. Chwilą, decydującą o losie duszy, jest zazwyczaj śledztwo. Dla tego dziejopisarze więzienia, w obrazie cierpień, jakie malują, zatrzymują się najdłużej nad tym właśnie tyle niebezpiecznym momentem i, własną zwierając mękę, starają się słowom swoim nadać walor stałej przestrogi.

Przestroga ta sprowadza się do prostej, znanej nam już maksymy: „nic nie wiem, nic nie powiem“. Sprowadza się do nakazu bezwarunkowego, bezwzględnego milczenia. Ten jednak najzwieźlejszy sposób bycia okazuje się najtrudniejszym. Pamiętniki więzienne, jakie się

zachowały,—a jest ich niewiele, bo „żyjąc pod rządem, gdzie wygadanie się nawet przez sen ze swych uczuć mogło być poczytane za występki“, jakże spisywać było można dokładne i ciągle przeżyć wspomnienia? — wszystkie tedy pamiętniki stwierdzają zgodnie, że aby w śledztwie zachować zupełne milczenie, trzeba siły woli olbrzymiej, trzeba całkowitej na wszystkie męki i na śmierć determinacji. „Człowiek, w podobnym znajdujący się położeniu, tak jest blizkim wzniosłości, szczytności lub upadku i nikczemności, iż bardzo mała przestrzeń tak jednak sprzeczne ze sobą uczucia w nim rozdziela“ — zwierza „z własnego doświadczenia“ Rufin Piotrowski. „Trzeba—powiada—wielkiego hartu duszy, wielkiej miłości ojczyzny, trzeba wielkiego pocucia... obowiązków, aby się postawić z godnością i w obliczu... męczarni i śmierci nie ulec pokusom, dającym choć słabą nić, choć zbyt blady promyk nadziei wydostania się z przepaści, a przynajmniej obiecującym nadzieję ochrony życia, choćby najnędzniejszego, pełnego cierpień i mąk duszy... byleby tylko życia“. Jasne to jest i zrozumiałe nawet wtedy, gdy idzie o więźnia z „rozwiniętym“, a niezupełnie bohaterskim duchem, cóż dopiero, gdy z zasadzkami i lisiemi jamami śledztwa walczyć ma niedoświadczona wola chłopięca? I gdy się pozna podstęp, zdradliwość i nikczemność śledztwa moskiewskiego, trudno niemal pojąć, że uległo mu tak niewielu wśród olbrzymiej liczby

tych, którzy wyszli zeń w dziedzinę śmierci z zaciśniętymi usty.

Czasu pierwszych chwil, pierwszych dni Cytadeli, trwa najczęściej nastrój, który ogarnął duszę, gdy znalazła się oko w oko z wielkimi cieniami. Więzień, by najmłodszy, zrezygnowany jest na wszystko. Dziewiętnastoletni Gordon przypomina sobie podówczas, że Indjanin, zapełdzony burzą na prąd wodospadu, gdy raz ujrzy się na nim, kładzie się spokojnie w łodzi, głowę nakrywa opończą i zdaje się na wolę wichrów, skoro niema już dlań żadnego ratunku. Więzień zbroi się w obojętność i rezygnację. Nie są te uczucia wolne od pewnej, niewinnej zresztą przymieszki próżności, zadowolenia, że oto stanął w szeregach bohaterskich, że oto znaczą mu się może wielkie, historyczne losy. Lecz dzień płynie za dniem i noc — za nocą, kłębi się bezmiar niezapełnionego niczym czasu. Ołowiana cisza, samotność, pustka... „Zapowiadam, żeby po ścianach nie gryzmolić, na okno nie drapać się, nie pukać!“ — grzmi Morok. Więzień puka mimo zakazu. Jest to radość ogromna. „Stałem na drodze do odzyskania mowy, nowych przyjaciół, towarzyszy niedoli“... Jednak w tym rozkosznym, a surowo zakazanym pukaniu ukryta jest nieraz pułapka. „...Jak w Warszawie na ulicy, w domu, nawet w kościele musiałeś być ostrożnym, tak i tu zabierz z sobą tę ostrożność — ostrzega Jasieńczyk. Nieraz pod postacią więźnia-kolegi kryje się jadowita żmija,

która, korzystając z chwilowego swego pozoru, zapuści żądło aż do serca i wyciągnie z ciebie to, czego knuty komisji wydobyć nie mogły“...

Dusza walczy. Usiłuje podtrzymać się byle czym. Więzień przemawia do żandarma, do posługacza:— „próżne twe słowa, bo struchlały odpowiada milczeniem...“ Mimo zakazu, wdrapie się samotnik na okno—cóż zobaczy? „Jakiś elegant we fraku i lakierkach, może z balu porwany, przy nim—chłop w sukmanie, często habit klasztorny, węgierka. palto, sutanna“—obce, nieznane postacie. Uderzy go wszakże zjawisko, któremu zrazu nie poświęci uwagi ani zastanowienia, uderzy go, że więźniowie, idący samotnie, „mają czoło pogodne, chociaż znękanie i znużenie widoczne jest na ich twarzy“,—więźniowie zaś, idący towarzystwem, gromadkami, „nie mają już tego pogodnego wejrzenia, oczy ich kręcą się po dachach lub po ziemi, jakby lękały spotkać się z czymś wzrokiem...“

Męka samotności, zawieszona nad otchłanią więziennego czasu, rozluźnia spoidła woli:—uderza moment dla duszy niebezpieczny: Gdyby mieć towarzysza! I jeśli w ten moment wezwą młodocianego więźnia przed komisję, zdarzy się, że pocznie mówić.

Początkowo unika wprawdzie wszelkich nazwisk, fakty z rozmysłem, jak może, osłania, lecz—mówi, opowiada. „Komisja znaczy go sobie i niedługo wzywa powtórnie. Słodko. łagodnie, z ubolewaniem nad jego losem, obiecuje

wszelką protekcję, uznając błędy za skutek młodości... Po tak litościwej przemowie zapytuje pan prezes niedoświadczonego, czy nie życzy sobie jakiejś łaski, np. kolegi?...“ Propozycję tę więzień chwytą najskwapliwiej. „Komisja przychyliła się do prośby, — wzamian od niechcenia oznajmia, że w protokule coś jeszcze nie jasne, bagatelka—należy jednak brak dopełnić, bo tak forma każe. Delikwent, rozczulony tak grzecznym obejściem, myśli sobie: jacy to poczciwi ludzie!“ — i odtąd niechybnie stacza się już ze szczebla na szczebel. Pokaże się, że w protokule brak jakiegoś nazwiska: — wymieni nazwisko.

Towarzysz, którego mu dadzą, jest szpiegiem, byłym więźniem. Rzuci się koledze na szyję, przywita najczulej. Po długiej samotności taki przejaw uczuć serdecznych nie mija bez wrażenia. „Szpieg rozpowiada kłamliwie swoją historję, bada ofiarę, na jakim już jest stopniu zepsucia, analizuje najskrupulatniej... rozkrywa niby swoje tajniki, kreśli plany na przyszłość; uwolnienie z Cytadeli, powrót do świata. Nie-szczęśliwemu w głowie się mąci, tak pragnąłby porzucić te lochy, tak miło uśmiecha mu się świat i życie... Krew burzy się w nim... wybuch płaczem, woła: Niech wezmą połowę mego życia, niech biorą, co chcą — niech mnie tylko puszczą! Na tę chwilę czatował szatan. — „Bądź dobrej myśli—mówi—los nas złączył; ja jestem

tu dawniej, doświadczony—poradzę. Ale jak radzić, nie znając twojej sprawy?...“

I więzień oddaje się cały w ręce Judasza. „Moja rada — powiada ów — taka jest: nic nie mówić, czego komisja nie wie; jeżeli zaś już wie, nie zaprzeczać: straciłbyś wiarę.“ Postara się oczywiście wnet, aby komisja wiedziała. Siedzi więzień mocno w szatańskiej sieci. Odcięta jest wszelka możliwość odwrotu. Stoczy ze sobą nieraz, w tę jamę wpadłszy, straszną, rozpaczliwą walkę i nieraz życiem opłaci utraconą cześć. Zdarza się jednak, że „zaczyna się śmiać z Boga, świata, ludzi“, — że powie sobie: zginęła dla mnie przeszłość czysta! — i po kilku dniach myśli już tylko, jakby co najrychlej z Cytadeli wyjść.

„Jeżeli jesteś dobry Polak — dodaje Jasieńczyk, skreśliwszy powyżej naszkicowaną drogę, po której stoczyć się może i staczała się zapewne dusza niedoświadczonego więźnia — jeżeli jesteś dobry Polak, wiesz, że nie miniesz Cytadeli. Poznaj ją więc... staraj się wnikać w to piekło, abys, dostawszy się tam, nie był, jak ów żebrak ewangeliczny na uczcie; zgłębiaj zawczasu podstępny i tajemniczy murów więziennych, abys, zostawszy ich mieszkańcem, nie stracił duszy i imienia Polaka i nie wyszedł stamtąd zarazę i potęgę szerszą gadziną. Ucz się i hartuj, byś, wpadłszy w szpony wroga, nie pociągnął nowych ofiar za sobą; niechaj cię stra-

szą, niech piją twoją krew — jeszcze śmiej im się w oczy!“.

* * *

Djabelnie ciasne wyjście, o którym mówił Jołszyn do Jasieńczyka, prowadziło „w sołdacy“, na katorgę lub na szubienicę.

„W grubej opończy szarej, w czapce szarej, z wielkim, kwadratowym denkiem, z zarzuconym na kark szarym mantelzakiem, szaro, szaro...“ siedł skazaniec polski w sołdackie szeregi.

Zestrzela się w nim jeszcze raz wszystkie Warszawy powstańczej wspomnienia. Przez ulicę Zakroczymską, przez Freta i Gołębią, przez Stare Miasto i Śto-Jańską ulicę przybędzie na Krakowskie Przedmieście... Padnie oko na Zygmunтовą kolumnę, na królów zamek. Nowy Zjazd—most—za mostem Punkt Zborny—kancelarja.

„Każdy, rzuciwszy wzrokiem ciekawym na więźnia, na żandarmów, przechodził, jakby się lękał, żeby go szalona dorożka ze sobą nie zabrała...“ Jeśli się ktoś zatrzyma i powiedzie oczami za wywożonym więźniem, będzie to „kobieta w żałobie“, jedna z tych, których setki chodziły wtedy po ulicach Warszawy. „Dorożka przejechała, a ona jeszcze stała i patrzała za mną“...

Na Pradze odbiorą przysięgę. Jest rekrut na progu żołnierskiego życia świadkiem scen nieopisanych. „Dość często matki polskie, mia-

nowicie chłopki, gdy zapisują męża lub syna ich na żołnierską listę, w obliczu urzędników uderzają tak głową o mór, iż mózg wypryskuje. Urzędnik pisze dalej, rzekłszy zimno: „P a d o c h-ł a s o b a k a...” Żołnierz składa tedy przysięgę. Składają ją usta, dusza szepcze i ślubuje inne zaklęcia. Lecz w tych podwójnych ślubach, z których jeden lub drugi będzie wiarołomny, w tym skrzyżowaniu się dwu tragicznych konieczności, jakże donośnie słychać już szczęk niewolniczej obroży! „Odbijać siłą własną gwałt i być za-grzebanym w popiołach Ojczyzny!...” Głośno, prosto w twarz rzucone były te słowa najemnikowi carskiemu niedawno, tak niedawno jeszcze! Teraz skuliły się, przycupnęły i zaszyły się na samym dnie duszy. Przygięła już kark Polaka niewola...

Na Pradze skazańców, odkomenderowanych „w żołdaty“, biorą na łańcuchy. Jest to postęp w stosunku do drąga żelaznego, do którego dawniej przykuwano więźnia. Do drąga przykuwano czterdziestu, na łańcuchy biorą po sześciu. Dla przykutego do drąga, jeśli zachorował, nie było ratunku. Ciągniono go dalej, póki nie wyzionął ducha, odcinano rękę i, po przybyciu na miejsce, dłoń, pozostała w zakuciu, służyła za dowód, że wszystko odbyło się w porządku. Na łańcuchu idzie sześciu, w ustawicznej oczywiście od siebie zależności. „W zakutej szóstce — opowiada Jasieńczyk — ja tylko byłem zdrow. Przez-dziecki, idący obok, potykał się co chwila, sapał,

cierpiał na astmę, nie mógł oddychać. Drugi, dostawszy suchot w cytadeli, cierpiał okropnie; krew często pokazywała się na ustach, tracił ostatki sił, szedł jednak spokojnie i milczał... Trzeci—kulawy podstawił kulawą nogę sąsiadowi; ten, potrącony, deptał znów sąsiada, co powodowało szarpanie łańcucha. Za każdym szarpnięciem wydobywały się jęki. Zamykał łańcuch chory na febrę i rekrut z przetrąconym krzyżem, cały wygięty wtył...”

Zapewne, przy pomocy pieniędzy, dzięki pochodzeniu, protekcji można było w przemarszu tym zdobyć niejakię ulgi. Lecz, gdy się szlachcicem, ani bogatym nie było, los rekruta osądzony był z góry. „Za politykę idziesz do wojska! — mówi do Gillera kapitan Kaługin. — Poco się zajmowałeś polityką? Ty — muzyk. Szlachcicowi to jeszcze rzecz do wybaczenia — ale tobie!...” Nie było ulg dla nie-szlachcica, a i przyznane ulgi mało komu istotną przynosiły ulgę. „Co z ulg? — pyta Gordon. — Jedyna boleść, jakiej nic stłumić nie zdołało, był widok ziomków, wleczonych jak trzoda na zakuwkach, środkiem gościńca;... jeśli było błoto, bryzgających jeden drugiego; jeśli kurzawa, otoczonych i oddychających czarnym tumanem pyłu... na co ciągle, idąc ścieżką obok gościńca patrzeć musiałem...”

Na tym psim łańcuchu przejdzie Polak ziemię swoją od krańca prawie do krańca. Na każdym kroku uderzy go w twarz pamięć rze-

czy, które były. Każda niemal skiba tej wolnej niegdyś ziemi rzuci mu w samo serce pytanie: coś uczynił z wolnością moją? Przejdzie przez pola Grochowskie i przez Okuniew. Z cieniem Skrzyneckiego spotka się obok Wielkich Dębów. Minie Mińsk i Kałuszyn, minie nieśmiertelne Iganie. Przejdzie przez Międzyrzecze Podlaskie, przez piękne doliny Bugu, przez Brześć i Lady. I będzie to już ostatnie na ziemi polskiej miasto.

Że przez wolną do niedawna idzie ziemię, zmiarkuje i po tym, iż niema na niej więzień prawie jeszcze wcale. „W Królestwie rzadko gdzie spotykać się daje umyślnie na więzienie zbudowany dom... Moskiewskie etapy, konwoje znajdują swe stacje, oprócz fortec, jedynie na odwachach w głównych miastach, lub w jakiejś kamieniczce, na ten cel najętej: u żyda pachciarza, w stodole, w stajni karczemnej lub w pustych chałupach po wsiach, a w kurnej chacie u wieśniaka na Wołyniu“... Im dalej z zachodu przesuwają się rekruci na Wschód, tym niezawodniej odnajdą obowiązkowe w Moskwie przybytki: cerkiew i turmę.

Tak kraj przejdzie, lecz już w Miłosnej po raz ostatni zobaczy twarze najbliższych. Rodzina odprowadza rekruta najczęściej do Miłosnej. Na długo starczyć musi wygnańcowi łza matki, pocałunek brata, uścisk przyjaciela. „Mówiono, że w miarę zbliżania się do Kijowa, coraz mniej współczucia spotykać będę, że w Kijowie zobaczę jeszcze może kilka dam-patryjotek, a dalej—

to tylko usłyszę słowo „nieszczęstnyj“ z ust włościanina“... A spragniona jest bardzo dusza wygnańca tego zewnętrznego, najbliższego bodaj znaku, któryby świadczył, że nie zerwała się bezpowrotnie nic ze swojemi porozumień. Zaś ilekroć napomknie którykolwiek z pamiętnikarzy więzienia i zesłania o tej potrzebie współczucia ludzkiego, dusza jego, w imieniu nieprzeliczonego mrowia, złoży głęboki ukłon kobiecie, Polce. „Jakież więzienie, choćby najokropniejsze, choćby najwięcej surowe i obostrzone... było dla nich (dla kobiet) nieprzystępne? Uczuciem prawdy, uczuciem sprawiedliwości i dobrze pojętych swych obowiązków, uczuciem nareszcie nieograniczonej miłości dla ojczyzny ożywione, Polki nie znają przeszkód... i wszędzie, gdzie tylko mogą, zasilają serca i uczucia nękanymi więzieniami... i w piersi, już rozpaczą miotane i blizkie zwątpienia o wszystkim, wlewają słodką otuchę lepszej nadziei... Kto do zaklętych murów Kufsteinu po wielu trudach mógł dostać? Polka. Kto po Syberji... tysiącami, tysiącami rozsypanym naszym braciom daje poznać, przekonywa ich, że nie są zapomniani?... Polka“... Nazwiska Ksawery Grocholskiej z Podola, za pomoc wygnańcom zesłanej do Jarosławia, nazwiska Róży Sobańskiej i Tekli Bołzanowskiej wszystkim wygnańcom były znane, gdyż znak przyjaźni ludzkiej, znak przymierza między niemi a krajem, był dla nich niezapomnianym „wsparciem moralnym“ i często „talizmanem“.

I oto zna już rekrut etap, zna te domy skarbowe, gdzie ściany pokryte są „literalnie żywą, poruszającą się, brudno-kasztanową” masą — robactwem przeróżnaitym. Zna już zwierzęcość oficera etapowego, byłego pijaka, złodzieja lub złoczyńcy. Śpiącego okradnie sąsiad, złodziej zawodowy, aby zagrać w karty. Tak Gillera z ostatnich dwu rubli okradnie „towarzysz”. „Nie miałem pieniędzy, nie miałem więc i nadziei sprawienia sobie ulgi przez zabranie się na podwodę. Nogi miałem okrwawione, wrzód rwał i dokuczał mi bardzo, za każdym krokiem zdało mi się, iż duszę wyzionę. Wysiłałem się, ile mogłem, byle zdążyć za innemi, bo gdybym został w tyle, kolbamiby mnie żołnierze popędzali, a w końcu różgami sponiewierali. Wlokłem więc do ostatka okaleczone nogi moje”. Po dwieście pięćdziesiąt osób umieszczają w jednej izbie. I im głębiej na Wschód, tym gorsze stają się warunki. Tu już tylko i jedynie ściana więzienia etapowego wyszepcze więźniowi słowa otuchy, opowie dzieje niezliczonych zgonów. „Postacie ich (wygnańców) w niezliczonej liczbie przechodziły przez moją pamięć, a to wspomnienie umacniało mnie na tę trudną drogę, po której nie pierwszy idę”.

Trudna to zaiste droga. Wydaje się nieopojęcie trudną już na podstawie szczupłych wiadomości, jakie o niej mamy. Wiadomości te wyczerpują zaledwie cząstkę męki, która była jej treścią. Książka Gillera nosi charakterystyczne motto z psalmisty: „Postanowiłem mocno pilno-

wać dróg moich, abym językiem nie wykroczył; obwaruj, Panie, usta moje i ogroź ze wsząd wargi moje.” Część jego wspomnień, obejmująca przejście przez Litwę do Ładów, opisy najsroźszego znęcania się oficerów nad pędzonemi, zagięły w 1863 r. Gordon skarży się, że: „różne postacie, grupy, mogiły, szkielety, dopominające się natrętnie cierniowej korony, biegą w pamięci, jak stada ptaków, odlatujących pod jesień. Chcę je ścigać, chwytac, lecz one mieszają się i nikną, jak blade meteory”.. To tylko wiadome, że w ostatecznym swoim sensie wszystkie tej drogi męki godzą wyłącznie w duszę rekruta, zmierzają ku temu, aby go pozbawić „swobody serca i myśli”, zagnębić w nim wszelkie ludzkie popędy. „Lepiej jest ginąć na szafocie — woła Giller, — przyjemniej jest kołysać się na szubienicy, niż żyć w płaszczu żołnierza moskiewskiego... i codzień obawiać się różeg i pałek”...

Strudzonemu marszem rekrutowi nie dadzą wody, aby się upokorzył, prosił. Gdy nie prosi, a podejść chce do studni przydrożnej, odpędzą kolbami i brutalnym: *paszoł!* Czasem ze wsi wybiegnie ludność, niosąc nieszczęsnym tę wodę, której tak są spragnieni: — kolba chłopów przegna. Poglądowa to jest lekcja o władzy, pogładowy sposób przekonania rekruta, że niewolnikiem jest.

Przybyłych na miejsce zesłania rekrutów *system* odosabnia przede wszystkim od współ-

ziomków. Towarzyszem jest żołnierz szpieg. Szpiegują każdy ruch twarzy, każde spojrzenie. „Patrz weselej!” — to stereotypowe wobec rekruta-Polaka na mustrze nawoływanie. Byle wykroczenie karane jest chłostą. Naigrawanie się z niedoli zesłańca należy do rozrywek władzy codziennych. Tak, rekruta Lewandowskiego naigrawaniem się dowódca kompanji wywiódł z cierpliwości do tego stopnia, że ów wypchnął go kułakiem z celi. „Znęcano się nade mną — tłumaczy sędziemu swojemu Perowskiemu, — i gdyby wasza ekscelencja była na miejscu sprawcy mego nieszczęścia, urągającego z mej niedoli, nieinaczejbym z nim postąpił“. Trzy tysiące razów jest odpowiedzią na ten argument.

Cóż dziwnego, że w przededniu sołdackiej służby śmiertelna trwoga padała na duszę, trwoga przed pohańbieniem, przed mordem, którego mogła paść ofiarą? Cóż dziwnego, że noc branki w Polsce była nocą „bólu, płaczu, krzyku i trwogi?“ Cóż dziwnego, że Giller modli się: „Boże, w chwili wyjścia w niebezpieczną drogę wygnania i przymusowej służby sołdackiej, proszę o moc duszy i stałe wypełnianie obowiązków dla Polski, żeby mnie ani przymus nie przemienił, ani gwałt nie zmusił, ani błyszczące obietnice nie uwiodły, ani żadne mędrkowania nie przekonały, ani nędza nie popchnęła ku nim...“ Cóż dziwnego, że bez lat starzeje się dusza, że niejeden, z sołdackiej służby wracając, powie, jak Gordon: „Zdawało mi się, że powra-

cam starcem.“ Cóż dziwnego, że żołnierz-skazaniec wszelką siłą wyrywa się z pęt, że w tym kierunku myśl pracuje ustawicznie, że ucieczka staje się punktem środkowym całego jej bytu. „Jeden plan powziąłem stanowczo i postanowiłem sobie wszystko do niego odnosić”—notuje Gordon, stwierdzając jednocześnie, że odrazu „zrobiło mu się lżej.“ Nic w tym niema dziwnego. Zdziwić może raczej, że „upadające męstwo jednego podtrzymuje drugi”, że z prób tak ciężkich wychodzili ludzie zwycięsko i że zwycięzców nad tą dolą było tylu. Gordon nazywa tych ludzi „bohaterami” i słusznie ich tak nazywa. „Drobne napozór ich walki—powiada—wymagają wielkich czynów, wytrwałości niepojętej. Zaprawdę wielkie są, choć tajemnicze ich tryumfy, których nikt nie widzi, żadna sława nie nagrodzi, żadna trąba nie rozgłosi”.

Rekruta i katorżnika przysporzy wnet rządowi moskiewskiemu powstanie węgierskie, przysporzy go w olbrzymiej ilości ów poszum nadziei, który, zaledwie rozniósł się po ziemiach polskich, już spłynął w katuszach i krwi. Pójdzie do bataljonów orenburskich Zygmunt Sierakowski, aby, poznaawszy ich „dyscyplinę”, zamarzyć o jej unicestwieniu, aby zamarzyć o reformie nieludzkiego kodeksu wojskowego. Szaleją orgje śledcze w Cytadeli i szaleją dusze chwycone w ich wir. Udręczony śledztwem, umiera w Cytadeli Domaszewski; dwa lata walczy z męką śledczą Kajetan Chomiczewski i z walki

wychodzi zwycięsko. Lecz wpada w sidła śledcze Michałowski i z rozpaczy, że im nie uszedł, o mury więzienne rozbija głowę. Wpada w nie także Narcyz Tchórzewski, wpada Świerzbński. Truje się w Wilnie, sam sobie nie ufając, Antoni Jankowski, odratowany zaś, lecz chory, składa zeznania, które związek braci Dalewskich gubią. Wystarczy to, aby wyzwolić katowskie instynkty prześladowców. Dziedziniec arsenału wileńskiego jest znowu, jak w 1846 r., kiedy Jana Reera bito pałkami, widownią krwawych egzekucji. Bracia Dalewscy, którzy pod wrażeniem chłosty, wymierzonej Reerowi, pod wrażeniem wozu delikwentckiego, na jakim obwożono Bogusławskiego i Reniera, związek swój utworzyli, w postawie pełni godności, w śledztwie — niezachwiani, krzepią się myślą, że oto, jak męka Reera rozbudziła ich duszę, męka ich własna nie zginie bez posiewu.

— Chcesz być drugim Konarskim, a nie wiesz, że i on gadał! — mówi do Franciszka Dalewskiego prowadzący śledztwo żandarm.

Kłamie, gdy wie, że splugawienie drogiego Polakowi imienia jest udręką, od głodu śledczego gorszą. Lecz idzie przecież o to tylko, by udręczyć duszę. Duszę udręczyć — to maksyma naczelna gwałtu.

Maksyma ta stanowi także całkowity sens i cel katorgi. „Katorga nie jest w ciężkiej pracy fizycznej” — zapewnia Rufin Piotrowski, zapewniają wszyscy, którzy ją poznali; „sama po-

trzeba zmusza częstokroć wolnego człowieka do jeszcze cięższej pracy, lecz rzeczywistą katorgą dla politycznego więźnia w Syberji jest ciągle poniżenie i upodlenie jego osoby, drażnienie jego uczuć, podeptanie w nim wszystkiego, co stanowi moralną, a zatym istotną jego wartość".

Nie może jej przenieść wolny, w moralnej swojej istocie, człowiek. Że poniżenia niewoli znosić niepodobna—to jest wiedza, która z katorgi żywotów więziennych i żołnierskich wraca do katorgi całego życia polskiego, nie pozwala spocząć myśli polskiej na legowisku jarzma, straszy ją, jak upiór i chłosta, jak bat codniowej rzeczywistości.

W obronie tedy własnego dostojenstwa dusza polska toczy bój z potężnym najazdem. I owych bojów strofą niezapomnianą jest Rok 63-ci.

XII.

W tym roku 63-im, jak w wielkim słońcu, zestrzeli się wszystko, co było dotąd lotem, szlachectwem, pięknem duszy polskiej i jej klęską. Jak w godzinę śmierci ku odchodzącemu idzie widzenie rzeczy, jakoby zapomnianych, staje przed nim jego cnota i przewina, szczęście i niedola, jego trud, zawody i dni minionych sens, podobnie w moment przedzgonnego kraju odechnienia ze wszystkich szlaków, widet i gwiazd, na których walczyła, czuwała i wieściła dusza polska, zleca się w kraj pogłosy męczennych jej przeżyć. Echa-ż to są, wspomnienia? Rzekłbyś raczej, że to wraca do ojczyzny cały hufiec białych, wolnych już duchów, by ostatnią dla niej uczynić służbę. Rzekłbyś raczej, że przyszli owi pomęczeni zaświadczyć: nie zginęliśmy — niemasz w świecie ducha zgonów! Rzekłbyś, że błogosławić przyszli „wszelkiemu akordowi“ i że dlatego, gdy się rozdzwierał, taka w nim była

„...prostota

Doskonałości Peryklejskiej,

Jakby starożytna która cnota,
W dom modrzewiowy wiejski
Wchodząc, rzekła do siebie:
„Odrodziłam się w niebie
I stały mi się arfą — wrota,
Wstęgą — ścieżka,
Hostję przez blade widzę zboże —
Emanuel już mieszka na Taborze!”

Rzekłbyś, że z mocy owej odważnej wspa-
niałości, jaką żyli, przyszli umarli tchnąć nie-
śmiertelny pierwiastek swego trwania w poko-
lenie, stojące do boju, przyszli, aby oddać się
do ostatka, samych siebie wyzbyć się, gdy ożyć
ma Ojczyzna. Mit się tu dokonywa i cud:
duchów odeszłych wędrówka, myśli zakatowa-
nych zmartwychwstanie, dusz we wieczności
uśpionych wcielenie wtórne. A że to myśli były
wielkie i dusze wybrane, żyć będzie wiecznie
to, czego dotknęły.

Cudem zaprawdę był ten proces, mocą któ-
rego, w czasie bardzo jeszcze od wybuchu od-
dalonym, wkraczały dusze na drogę swoich prze-
znaczeń. Jedne z nich ocierały się o śmierć i ofia-
rę bezpośrednio, jak to słyszeliśmy już ze słów
St. Krz.: patrzyły na szubienice 46-go roku i obraz
ów na zawsze w sercu zamknęły. A było w tym
obrazie, prócz zgrozy i przerażenia, wielkie i wie-
czyste piękno, było błogosławienie na czyn dal-
szy, na ton z narodu w całej pełni jeszcze nie
wydobyty. Innych atmosfera męczeństwa, jaką

od najwcześniejszych lat oddycha dziecko polskie, wyświęca na żołnierzy sprawę. Aresztowany po wyroku nad Reerem, za kartkę, podpisaną słowami: Orzeł-Krzyż, młodziutki podówczas Narbutt osadzony jest w ciemnym lochu. Wśród otaczającej go nocy wydaje mu się, że trafił na kości ludzkie i odrazu wyobraźnia każe mu widzieć w nich śmiertelne szczątki zakatowanej przez gwałt ofiary. Klęka przed niemi, całuje święte, w jego mniemaniu, relikwie. Wrażenie to pozostaje mu na życie całe. Skazany jest na dziesięć lat służby żołnierskiej, gdy zaś z wojny krymskiej powraca, wita go smutek i zmęczenie. Za całe pozdrowienie starczyć mu musi skarga ojca: „myśmy tyle łez płakali, że nie stanie łez pociechy...” Smutek, zmęczenie sam ma w duszy... Nagle brat młodszy z Wilna przywozi odezwę Komitetu Centralnego. Ludwik Narbutt bez słowa zdejmuje wiszącą nad łóżkiem broń i bez słowa przyciska ją do ust. „Od chwili objęcia dowództwa stał się jakby innym człowiekiem: rozjaśniało oblicze, ruchy zaś wszystkie i mowa zdradzały, że się doczekał długo wyglądanej, marzonej chwili...” Byli tacy, których w szlak ich doli wprowadzały cienie, błędzące po starych, rodzinnych dworach, tradycje przelanej za wolność krwi, przechowywana w gnieździe pamięć ofiarnego czynu. Sędziwe babki zachęcały wnuków „do poświęcenia życia dla dobra ziomków” i zachęta, rzuciona w półzmrok duszy dziecięcej, kiełkowała,

urastała w wolę. Grochów, Ostrołęka, Wola i dawniejsze jeszcze zwycięstwa Kościuszkowskie, wszystko to żyje w takim starym dworze i: „gdybyż to mnie tak zdarzyć się mogło!”—wzdycha, jako dziecko, Zygmunt Sierakowski. Są tacy, których na drogę ich własną, na drogę Polaka wprowadzi piękno inne, niemniej cudownym sposobem. Uniwersytetów w Warszawie i Wilnie niema. Kijów — Moskwa — Petersburg — to są ogniska, w których zgrupuje się młodzież polska. Tu więc wysyła swe promienie myśl rozśłańcza, tu—w obozie wroga—prowadzi się dalej nieprzerwana praca siewu. Tu, w Kijowie, jawi się cień Zana i sen swój, sen o jedności wszystkiej polskiej młodzieży, kładzie w ręce Stefana Bobrowskiego, jednocześnie oddając mu niejako własnej duszy hart i płomień. Boć to jest ten sam Stefan Bobrowski, o którym za moment czasu, przed komisją śledczą, powie Awejde: „drugiego Bobrowskiego powstanie nie miało”; ten sam to jest Bobrowski, w którym opłakiwać będą towarzysze „jednego z najgorętszych, najszlachetniejszych, najbardziej sprawie narodu poświęconych synów”; Bobrowski to jest, który nie byle kogo, bo Zygmunta Padlewskiego podtrzymuje w wytrwaniu i w te pamiętne odzywa się do niego słowa: ...„List twój zaniepokoił mnie mocno. Żebyś ty, któryś stał ongi na czele ruchu, któryś po bohatersku walczył pod Myszyńcem, teraz, raptem, powziął myśl haniebną ucieczki za granicę, tego

ja, twój wierny i niezmienny przyjaciel, nigdy nie zrozumieć nie mogę. Sądzę, że był to chwilowy obłęd, dziwna zmora, której nie spodzianie uległeś; lecz postanowienie takie nigdy nie mogło powstać w twoim umyśle i w twoim sercu... Tylko ci, co wytrzymują do końca, zasługują na szacunek ludzki... Jeżeli zginiemy na naszych stanowiskach, sprawa nasza pozyska dwu czystych ludzi, którzy służyć będą, jako przykład dla innych; lecz porzucić stanowiska, zhańbić siebie ucieczką,—to... to wszystko jedno, co zabić siebie na zawsze, dać sobie patent na wieczystą nieczynność. Rzuć tę przekłętą myśl!... będziemy pracować do ostatniej chwili zgonu!..“

Przez Moskwę przepłynie wnet fala powracających wygnańców, przeszłość przepłynie, żywe przypomnienie wszystkiego, co wciąż czeka jeszcze spełnienia. Ile tam wtedy ślubowań buchnęło z młodych serc, któż wie i opowie? Wie się tylko, że powrót wypróbowanych już w ogniu męki sług kraju dla tych, co go widzieli, był chwilą niezapomnianą. Z jaskini zaś, w którą na zagładę rzucona była dusza Polaka, z czeluści służby żołnierskiej, naprzekór prześladowaniu, podniesie się ta dusza nienaruszona i z dzieł, które miały być jej zagubą, uczyni orne pole. Zawiązane w Petersburgu kółko oficerów-Polaków wznosi duchowe szanse przyszłej walki, oświeca żołnierza, obowiązków go jego uczy.

Cokolwiek więc wymyślił wróg, aby duszę

Polaka pohańbić i unicestwić, prawdziwie cudownym sposobem staje się dla niej nowym źródłem siły. „Duch narodu spotężniał poświęceniem i ofiarą” — tę prawdę, tryskającą z całej dotychczasowej walki, pośpieszają potwierdzić wschodzące dni.

Najciężej przedzierać się było na drogi własne młodzieży, pozostającej w Królestwie i na Litwie. „Chmurna, ołowiana atmosfera ucisku duchowego — poświadcza z osobistego przeżycia Alkar — roztaczała się nad całym krajem i ciążyła nad zakładami, w których dojrzewały młode latorośle.” Do r. 1856 klasy wyższe gimnazjów dostępne są tylko dla wyższych, uprzywilejowanych. Inni zadowolić się muszą cztero-klasową szkołą powiatową, która pod okrutną pięścią członka policji tajnej, Felknera, ledwie dyszy, ledwie waży się żyć. Nad wykładami czuwają „diad’kowie”, najczęściej eks-sołdaci, nieokrzesani, nie rozumiejący zgoła polskiej mowy, czuwają, aby, gdy rozkaże Felkner, rzekomo winnych bić. „Kiedy taki inspektor Felkner o byle co: o niedopięty na wszystkie guziki mundurek, o kołnierzyk biały, wyglądający z poza „halstucha”, o głośniejszą w klasie rozmowę... suchym, urywanym głosem wydawał rozkaz: „Lipskij, podawaj-ka rozog!” — strach śmiertelny występował na oblicze delinkwentów... Nie pomagały tłumaczenia się i usprawiedliwiania. Diad’ko Lipski spełniał rozkaz z prawidłowością maszyny”... Przed argusowym okiem Felknera chowa

się dusza nauczycieli. w najskrytszych zakamarkach tając, co w niej jest najcenniejszego i najlepszego. „Taki nawet Julian Bartoszewicz, mąż zalet pierwszorzędných, jako uczony i gorący patryjota, zamykał się w sobie, w swoich ksiązkach i rękopisach... i tylko ukradkiem, gdy nadarzała się ku temu sposobność, zachęcał nas do czytania powieści i poezji, zamieszczonych w „Wypisach z pisarzy polskich“ Łyszkowskiego“...

„Wypisy“ Łyszkowskiego! Któż z nas nie słyszał o nich za dni młodości? Znajdzie się zapewne kiedyś poeta, który wskrzesi umarłe szczątki przedziwnej tej książki, opowie o jej życiu tajemnym, o drogach cudownych, któremi trafiała do mieszkań uczniowskich, o zaklęciach, które szeptać umiała tak, że zaklęciem się stawały na życie i śmierć. Opowie może kiedyś poeta piękną bajkę o książce — złotej prządce, co to niewidzialnie i bezszelestnie wychodziła co dnia na poszukiwanie serc i młode serca wołała ku sobie, podając im czarodziejską swą nić. Opowie, jak to szła, wciąż przędąc, a serca szły za nią ku błoniom, gdzie wieściła się Polska, jej prawda, nadzieja i ból... Bo gdy z tych wypisów Łyszkowskiego młody uczeń nauczył się wyróżniać wiersze, podpisane literą *M.*, nie zapominał już tej litery i szukał, póki nie dotarł do pełnego jej sensu. Gdy dotarł, gdy Mickiewicza zdobył i odczytał, pojmował, kim sam jest i ku czemu iść trzeba.

Tak, był w Polsce czas, kiedy „o przeszłości kraju, o jego tragicznych losach, o jego wielkich mężach czynu, myśli i twórczości, nikt z nas najmniejszego nie miał wyobrażenia... „Był w Polsce czas, kiedy niewolno było znać Polakowi miana i dzieła największego ojczyzny poety. Polskiego Leara wyrzuciła ręka siepacza z rodzzonej dziedziny... By z za grobu westchnienia do kraju nie posłał, czuwał Abramowicz, Muchanow, Felkner i cała zgraja szpiegów... On zaś z błon śmierci powracał i brał w ręce ten „rząd dusz“, o który z Bogiem prawował się Konrad. Z wypisów Łyszkowskiego dowiadywała się młodzież, że „żył poeta nazwiskiem Mickiewicz“, i z bohaterskim wysiłkiem zdobywała, het, z Paryża, książkę nazwiskiem tym znaczoną. Przepisywano ją, uczono się jej na pamięć i były to czyny bohaterskie, skoro za posiadanie zakazanej książki władza wyrzucała ze szkół, pędziła na wygnanie. „Miałem sposobność widzieć przypadkowo — opowiada Alkar—w jednym z biur rządowych resztki takiego rodzaju rękopisu, zawierające sceny z III części „Dziadów“. Pomięte i zatłuszczone kartki owej pamiątki świadczyły o przechodzeniu ich z rąk do rąk, aż do chwili, gdy, w obiegu swym zatamowane, utonęły w ciemnicy archiwum tego rodzaju zabytków; nieznany zaś, ostatni ich posiadacz, prawdopodobnie już oddawna spoczywa na cmentarzysku... Sybiru“...

Gdy wreszcie dozwolono przedruku „cen-

zuralnych” pism Mickiewicza, garstka uczniów gimnazjum realnego, na którego czele stał właśnie Łyszkowski, zakupuje sobie na własność jeden tych pism egzemplarz i „wśród ogólnego, pełnego zachwytu milczenia”, chłonie wieczorami, późno w noc i wśród pracy w laboratorium chemicznym, słowo poety. „...Otworzyły się oczy nasze na dostojęństwo należenia do narodu, którego dzieje były nam dotychczas nieznane. Zapragnęliśmy poznać je z jakiejś książki historycznej”... Tak dotarło się do „Dziejów, które stryj synowcom opowiadał”, tak dojrzało się „widownię smutku i nieprawości, które nas do głębi przejęły.” Podobnemi drogami, „nie wiedzieć skąd”, dotrze Leon Frankowski do „Kordjana”, i gdy roztoczy się przed młodemi oczami scena spisku w lochach Katedry Świętojańskiej, gdy rozebrzmi mowa podchorążego do starego Niemcewicza, wrażenie będzie „wprost wstrząsające”. „Odczuliśmy wówczas sercem,—

Że dzień pierwszy wolności, gdy radość roznieci,
Ludzie wesela krzykiem o niebo uderzą,
A potem długą ciemność niewoli przemierzą,
Siadą—i z wielkim łkaniem zapłaczą, jak dzieci,
I słyhać będzie płacz ogromny zmartwych-
[wstania”...

Inne dusze „Przedświt” przeorze do gruntu
i oto pewnego dnia młodzież zechce podziękować trójcy wielkiej za to, że im dała Ojczyznę.
Pojawi się w pismach, dziwnym trafem przez

cenzurę niedostrzeżone zawiadomienie, iż w kościele farnym odbędzie się nabożeństwo żałobne za „Adama, Juljusza i Zygmunta”...

Tak powrócili ci wielcy, tak rozdzwoniła się w sercach pobudka.

I cały okres manifestacji, poprzedzających ruch zbrojny, jest jakby aktem żarliwego jakiegoś dziękczynienia wszystkim, którzy się wolności narodu nie wyrzekli, których czyny wołały o Ojczyznę, którzy dla niej żyli i zginęli. I jest zarazem jakoby aktem zjednoczenia się z wszystkim, w co wierzyli tamci. Powiedziano: „*Point de rêveries!*” i oto z każdej, przeoranej krwią skiby ziemi polskiej powstają zamordowane rzekomo marzenia i odpowiadają: *j e s t e ś m y*. Idą za pogrzebem generałowej Sowińskiej, są na Wawelu w dziesięciowiekową, piastowską rocznicę, są na Lesznie w rocznicę nocy listopadowej i gdy tłum śpiewa: „od powietrza, głodu, ognia...” one to rzucają w niebo suplikację: od niewoli wybaw nas, Panie! Czego chcą, dla czego wróciły, wołają w głos. Od narodu żądają karności i odwagi, i karne a odważne są tłumy w rocznicę bitwy Grochowskiej; żądają świętości i w dzień 27-go lutego święty jest lud Warszawy. Gdy padły salwy, lud „ze zgrozą usunął się, lecz nie uciekał”. Zabitych poniesiono środkiem. „Krwawy ten pochód przedstawiał niezwykle widok. Cisza zapanowała na ulicy; lud, niezłękniomy, smutny, miał powagę idących na śmierć; ocierając się o żołnierzy, nie groził im pięścią, nie lżył

słowem: wojsko samo, jakby przerażone, stało w milczeniu...”

Wróciły marzenia, wracało wszystko, co w półwiekowej przeszło od duszy do duszy tułaczce przemarzyły, wykrwawiły. Snuł się wśród mieszczaństwa Warszawy cień Kilińskiego, niósł się po ulicach szept: wznos narodowość!... Dźwięczały w powietrzu słowa; ...u nas ile jest szlachciców, tyła jest nad chudzinami królów... Konarski nacierał: Życie nasze dla ludu! i przypominał Wiśniowski przestrozę swoją: ...ażebyśmy mogli lud z sobą pociągnąć, musielibyśmy najpierw z ludem się obrachować, a jakżeż to trudno o sumienny taki obrachunek!...

Zleciały się wszystkie marzenia...

W dzień zaś, gdy przemówiły w głos, padły salwy.

Padły tak, że od jednego rzutu odsłoniły szlak losu przyszły. Śmierć szła po tym szlaku. Nie bronił się już nikt. Wyrobnik i student, szlachcic sędziwy i nieznany nikomu robotnik warszawski jednakowo uroczyście, z jednakim skupieniem śpiewali w moment ostatni pieśń marzeń polskich.

Cała epoka manifestacyjna ma w sobie ten nastrój jakiejś świętej śmierci. Gdy przedsięwzięto aresztowania w farnym kościele, wchodzących generałów uderzył, wedle słów Berga, dziwny widok: „...świątynia gorzała od ognia; w pośrodku widniał wspaniały katafalk z żałobnym, srebrnym baldachimem; księża przyodziani

byli w jasne, lśniące ornaty; lud, zwrócony ku ołtarzowi, klęczał w milczeniu. Gdy rzekł jeden z generałów: — Panowie, wychodźcie, w przeciwnym razie każę aresztować,—nie odezwał się nikt. Ciemna masa, jak jeden człowiek, klęczała z zapartym oddechem, jakby tknięta nagle ramieniem śmierci. Srebrny katafalk promieniał i lśnił od jarzących światła. Cała świątynia oddychała światłem i modlitwą...

Tak, czasu owych dni, światłem i modlitwą oddychały dusze.

Od ognia gorzała świątynia...

Gdy mowa jest o ludziach, którzy dni owe wślawili, gdy mówią o nich ich współcześni, a nawet wrogowie, określenia, jak „piękny charakter“, „człowiek życia czystego“, „dusza anielska“, „dusza, lecąca ponad ziemię“, najczęstsze mi są określeniami. Że gotowi są zawsze dzielić się „ostatnim kęsem chleba“, że, surowi dla siebie, pełni są tkliwości dla cierpienia cudzego, wspominać nie warto, gdyż rys ten doskonałego o sobie zapomnienia, rys ukochania człowieka wspólny jest wszystkim ludziom z pod fali. Wyróżnia ich natomiast pewne odrębne zabarwienie uczuć patryjotycznych, prześwietlające jakoby całą ich istotę. Bezimienny biograf Leona Frankowskiego charakteryzuje ten właśnie patryjotyzm, jako miłość, która objęła wszystkie władze moralne człowieka, zakochanych w wolności darzy jasnowidzeniem, pozwala im słyszeć wyraźniej „tajemnicze, nie pojmujące się...

pragnienie narodu", niż ludziom „potężnej inteligencji, lub olbrzymiego rozumu“. Jest już w tej charakterystyce owo Mickiewiczowskie:

Czucie i wiara silniej mówi do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko...

jest w sercach owych ludzi głęboki ślad miłości Mickiewiczowskiej. Jest w nich ta miłość żarliwa i niezachwiana, tworząca cuda i wierząca w nie, miłość, co idzie ku wszystkim, przebóstwia człowieka i rzecz jego,—jest w nich miłość-religja i miłość-ofiara i pod jej czarem stoi naród. Wylatują ku niej młode orlęta, poprzy sięgając samym sobie, że „nie dadzą się niczym złamać“, że dozogonną wierność zachowają sprawie narodu. Leon Synek i Józef Biront za taką, w dzienniczku zapisaną przysięgę, odcierpią ciężką karę twierdzy. Wyrrywają się ku światłu tej miłości Żydzi i, jak za dni Kościuszki, odnajdują ojczyznę. Potęgą tej miłości synów marnotrawnych powraca ich domowi i znaczy ich na najwaleczniejszych zapomnianej sprawy obrońców. Tak Paweł Suzin, syn uwiecznionego w „Dziadach“ wygnańca, wychowany w rosyjskim korpusie kadetów, za dni manifestacji litewskich wrócony krajowi, gdy wybucha powstanie, co rychlej śpieszy w jego szeregi, zaś powstrzymujących go osadza słowami: „Inni nie potrzebują dowodzić miłości swej do ojczyzny, ja zaś muszę; nie znałem ojczyzny, wiernie nawet służyłem ręce, która zaciężyła nad nami“.

Kamerpaż i lejbgwardzista carski, hr. Hauke, przeistacza się w generała Bosaka. Ogień, który „gorzeje w świątyni”, na cudzoziemców, na wroga rzuca czar. Gdy 8-go kwietnia strzelano w rozmodlony lud Warszawy, oficer rosyjski, Popow, łamie szpadę przed frontem i z pogardą ciska ją o ziemię. Kiedy w lasach Ojzańskich pada Tomasz Kolbe, zwycięzca jego, Wałujew, ciało jego rozkazuje złożyć na wóz, zatrzymuje się w pierwszej napotkanej wiosce i oznajmia zwołanej szlachcie, że „jeśli takiego walecznego żołnierza nie pochowają porządnie i jak się należy, każdemu z nich po sto batów każe wymierzyć”. Ludzie, wczoraj jeszcze w narodzie obcy, obcego pochodzenia i mowy obcej, dojrzewają nie wiedzieć jak,—w atmosferze tej miłości dojrzewają do poznania jej cudownej mocy. Tak litograf i syn litografa, zmarły dopiero w r. 1910 Otton Fleck, Niemiec z pochodzenia, „a tak świeżo unarodowiony—jak świadczy St. Krz. — że ojciec jego po polsku mówił, bąkając raczej, niż mówiąc”, ten Otton Fleck jest „poświęcającym się Polakiem” i dziejopis, któryby mógł i zechciał kiedyś zebrać i uprzytomnić wszystkie chwile dogorywającego powstania, wszystkie ludzi i rzeczy odchodzących koleje, opowieść swoją nieodzownie z nazwiskiem Flecka musiałby powiązać. Miłość ta w najcichszym, najprostszym sercu zapala wieczne światło. Tenże St. Krz. dziś jeszcze z akcentem niewygasłej wdzięczności wspomina „sługę swe-

go, przyjaciela i wybawcę”, Sebastjana Skarbka, stróża domu Ordynacji Zamoyskich, gdzie z Maykowskim, a później z Awejdą Oskarem i Jaroławem Awejdą wspólne zajmował mieszkanie. „Wzięty do posługi—mówi—wysłużył sobie rychło przywiązanie nas wszystkich i odwzajemniał je zupełnym poświęceniem, powagą i... skwapliwością do usług innych, wyższych, z działalnością organizacji związanych. On był pod koniec 1862 r. i w początkach następnego wóznym zebrań, tłumnych nieraz, które się we wspólnym mieszkaniu odbywały; był też na wálnym zebraniu d. 18 stycznia, które ostatecznie zadecydowało o powstaniu. Trudno sobie wyobrazić gorętszą duszę chłopą polskiego... odwagę, jako stały organiczny dar, a przytym wiarę w przyszłość, w Boga, który ją da, i ustawiczość tego rwania się do niej... Jemu, jego zuchwałej, uporczywej, przeczącej postawie zawdzięczam uwolnienie... więcej, niż własnym zaprzeczeniom“. Trudno sobie także wyobrazić żarliwszą duszę rzemieślnika polskiego, niż tego Władysława Wojtkiewicza, czeladnika stolarskiego, który, oskarżony w proce sie 66-ciu o „nałożenie do stowarzyszenia tajnego, formującego wojsko powstańcze w całym kraju“, po skończonym badaniu postępuje na środek sali i, ukląkłszy, tak przemawia do przewodniczącego, generała Kornilowicza: „Panie Jenerale, dowiedziałem się, że jestem żołnierzem polskim, a dowiedziałem się w cytadeli, z oskarżenia. Jeżeli

jest winą być żołnierzem polskim, niechaj ginę, jak żołnierz, i rozstrzelajcie mnie. Jeżeli nie jest winą — uwolnijcie. Proszę cię, Panie Jenerale, niechaj ginę, jak żołnierz polski!”

Ten nastrój religijnego niemal ukochania ojczyzny i jej sprawy wyzwala cały świat uspio-nego w człowieku idealizmu, poziom życia duchowego podnosi do najwyższego djapazonu. Tylko w atmosferze takiej miłości zakwitnąć mogły nadludzkie wysiłki ks. Mackiewicza, Konstantego Kalinowskiego, Traugutta. Człowiek, który w warunkach powszednich przeciętnym byłby człowiekiem, w tej atmosferze staje się poetą; człowiek, z natury piękny, staje się świętym. Kobieta-Polka, tyle już chwalebnych czynów ducha mająca za sobą, czasu owych dni jest już ewangeliczną niewiastą, już Walkirją, już Rzymianką. Gdy matce Karola Libelta przynoszą wieść o śmierci jego pod Osowem, bez łez, z prosta, odpowiada: „gdym go żegnała, wiedziałam, że nie jest już moim, lecz Ojczyzną”. „Niesłusznie nas żałujecie—powiada inna, sześćdziesięcioletnia,—wprawdzie wiele cierpimy, ale męczeństwo ciała przygotowuje do zmartwychwstania ducha, a zmartwychwstanie ducha w Polsce jest wstąpieniem wolności”. Gdy generał Maniukin, przed wyrżnięciem Siemiatycz, wysyła do miasteczka parlamentarza z wezwaniem, ażeby kobiety i dzieci opuściły miasto, otrzymuje zwięzłą odpowiedź: „Tam zgina żony, gdzie mężowie, a dzieci padną obok rodziców”.

Są matki młode jeszcze, nie mające synów dorosłych —

I ja-bym z krwi mej dać ofiarę rada —
Na waszą wolę i na Bożą wolę
Zdaję tu syna!... — Więc wódz na to: — Szkoda!
Jeszcze mi trochę chłopczyna za młoda!
— Nie mam starszego!...

Zygmunta Padlewskiego zapytuje gubernator Semeka, czy nie żąda jakiejś przysługi. „Sam, osobiście, nie — odpowiada Padlewski, — ale ze mną razem wzięty został Szczurowski, piętnastoletni chłopczyna, którego matka powierzyła mojej opiece”. Semeka dziecko to posyła na osiedlenie... Są matki, które, wszystkich synów wyprawiając do powstania, mówią im: „Nie zapominajcie o Bogu i spełniajcie swój obowiązek, jako przysłało na prawych i wiernych synów kraju!” Gdy matkę litografa Rzońcy, prostą kobietę, pytają sędziowie, czy chciałaby powiedzieć coś ku obronie syna, owa pada na kolana i, „wzniósłszy ręce do góry, głośno błaga Boga, by prędzej minęły te dni ciężkiej próby, w których wrogowie mordują dzieci polskie”. Gorąca miłość sprawy nie tylko wkłada kobietom, jak Henryce Pustowojtównie i Zofji Dobronoki, broń do ręki, lecz rozwija i uwiadcza ich wynalazczość i zdolności orjentacyjne, czyni z nich armję pomocniczą pierwszorzędnego znaczenia. Tak ważna w czasie wo-

jennym pocztą działa znakomicie, przeważnie dzięki zabiegom kobiet, tak zwanych „kurjerek”, dla których nawet w obozie nieprzyjacielskim nie skąpono uznania, ich patryjotyzmowi i poświęceniu przypisując długie trwanie powstania. Z tego powodu nie służyło im też, pod żadnym pozorem, prawo uzyskania pasportu. „Kobiety—pisał organ petersburskiego ministerstwa wojny—najśmielej i najzręczniejszym zajmują się wywiadywaniem, potrzebnym dla powstańców; są one najpewniejszymi pośredniczkami w przewożeniu ważnych wiadomości. Rząd Narodowy daje im najtrudniejsze polecenia i nigdy żałować tego nie ma powodu“. Że w rękach kobiet spoczywała troska o żony i dzieci powstańców i opieka nad nimi, rozumie się samo przez się.

Palił się więc ten płomień rozkochanych w Ojczyźnie i jej wolności dusz, jak okiem sięgnąć, i oczyszczał, prześwietlał całe dookolne życie. Jaśniał glorią nad dniami „rewolucji moralnej“, lecz i wtedy, gdy pod naporem prześladowań i obelg, zadawanych narodowi, spręży się energia i wniebowpatrzenie tłumów ustąpi walce zbrojnej, wtedy jeszcze, w głodzie i chłódzie, z widmem zatyraty przed oczami, dusze, przez które przepłynęła ta fala ekstazy, pozostaną, jakimi były czasu podniesienia, skąpane w kastalskim jakoby źródle.

Czym jest insurekcja w pojęciu tych ludzi? Z pośród wielu jej określeń, używają naj-

chętniej starego, Kollatajowskiego rzekomo określenia, zawartego w odezwie z 1794 r. „Insurekcja, czyli powstanie narodu przeciw gwałtom praw swych i przemocy bądź obcej, bądź wewnętrznej, przeciw intrygom toż powstanie tamującym, jest to ta wielka i sławna w kraju każdym epoka, gdzie cnota z bezprawiem, patryjotyzm z podłością, wolność z niewolą w otwarte i gwałtowne muszą iść zapasy“. Nieinaczej dotąd pod falą pojmowano rewolucję, nieinaczej pojmować się ją będzie dalszej chwili. Lecz, jak zawsze, tak i teraz, staną przeciw niej podłość właśnie i bezprawie najeźdźcy zgodnie z tchórzostwem „tymczasowych patryjotów“, którzy tylko czyhają, z jakiej placówki najbezpieczniej będzie rzucić w owych, co się wazą, obelgę lub oszczerstwo. Taktyka i środki tymczasowych patryjotów są te same, jakimi były za dni Pułaskiego i Kościuszki. Skąpo pochwałami szafujący Jan Maykowski mówi o Jurgensie, jako o człowieku „rozumnym, uczciwym i szlachetnym“, a właśnie Jurgens nazwany jest agentem moskiewskim i synem szpiega... Bajki o pałacach Traugutta, o królewskiej siedzibie Rządu Narodowego szerzą się tak pracowicie, że dochodzą nawet do uszu wroga. Generał Lebiediew, idąc do cel Traugutta i Dubieckiego, rozpytuje się o ów pałac Rządu Narodowego, jakkolwiek zapewnia, że pogłoskom nie daje wiary. „Manifestacje wasze—biada Miniszewski—wywołały kobietę na-

szą z ogniska domowego na bruki miejskie, wydarły ją z łona rodziny, rzucając na wzburzone morze namiętności politycznych... Okryliście jej ciało żałobą, z duszy zdarliście zasłonę wstydu i skromności,—czymże dziś cnotę niewieścią odgrodzicie od waszych bezprawii?...“ Czyn Jaroszyńskiego nazwany jest bez ogródek zbrodnią, on sam — obrzucony „wzgardą, błotem i przekleństwami“, pomówiony, wedle zwyczaju, o sprzedajność. Oszczerstwo pada w głos, skoro aż het, z emigracji, skarcić i odrzucić je musi sędziwy weteran sprawy polskiej, Ludwik Oborski. Ci, z pod fali, odpierają oszczerstwo po dawnemu, odpowiadają na nie z wysokości pala, ze wzgórz śmierci.

Nazwano czyn Jaroszyńskiego „zbrodnią“... „Baczność“ z oburzeniem piętnuje tę kodeksową kwalifikację zamachu, wzywając mówiących o zbrodni, aby zastanowili się nad psychologicznym momentem, który czynowi towarzyszył. Wskazuje to pismo na miłość do kraju, na uczucia gorące i szlachetne „zbrodnia-rza“, na fakt wreszcie, że szedł na śmierć pewną, „by spełnić, co w swoim sumieniu... za potrzebne, za konieczne uważał“. „Zapewne—czytamy—czyny takie własnością narodu nie są:—naród zwykle uroczyście wzywa przed swój majestat tyranów, sądzi ich doraźnie i spokojnie gilotynuje“... A oto z pośród narodu, który niemocen jest uczynić nad prześladowcą sądu bezwzględnie ostatecznego, występuje jednostka i na

własną, śmiertelną odpowiedzialność wypowiada i wykonywa wyrok. Rewolucja polska, ta nieprzerwalna rewolucja, którą za naszych już czasów ks. Antoni Krechowski wywodzi z legitymizmu praw narodowych, z poczucia „nieprzedawnionych i nieutraconych praw do bytu niepodległego“, z prawa do narodowego powstania, które, „jeśli być może, jak bywało niestety dotychczas, nieszczęśliwym... to wszakże w zasadzie zawsze jest prawowitym, godziwym i słusznym... jako protest nieustający przeciw gwałtom, uciskom i uzurpacji wszelkiej“..., ta nieprzerwalna rewolucja polska żywi się ofiarą wielu takich jak Jaroszyński „zbrodniarzy“. Gdy przyjrzeć im się bliżej, widzi się, że są to najczęściej ludzie o niezmiernie delikatności uczuć, że posiadają gołębią słodycz usposobienia, tkliwość i względność dla wszystkiego, co jest bytem cudzym—złym, albo nieszczęśliwym. Nagle, z takiej duszy, która jest jak błogosławiące niebo majowe, pada śmiercionośny grom...

Jakiż tajemny proces odbywa się w dziwnych tych ludziach, których istotą zaiste jest kochać, nie zaś nienawidzić, którzy, jak się to powiada, muchy nie skrzywdzą, a oto bez wahania zniszczą jakieś jedno, zawsze bezpowrotne życie ludzkie?

Nazwano Jaroszyńskiego zbrodniarzem... Zbrodniarz ten, z zawodu—czeladnik krawiecki, oszukany zresztą przez Chmieleńskiego fałszywym rozkazem Komitetu, strzelić miał do Kon-

stantego 2-go lipca. W powozie, obok Konstantego, siedziała żona jego... Mimo tedy rozkazu, o którym ten czeladnik krawiecki nie wiedział, że jest zmyślony, samorzutnie zaniechał czynu. Strzelił dopiero 3-go lipca, lekką carewiczowi zadając ranę. Tedy brzydzący się zbrodnią Konstanty powiesił zbrodniarza nie tylko wspaniało-myślnie, lecz i nieomylnie...

Tej tak prostej psychologii carewicza nie mógł pojąć lud Warszawy. Mimo jadowitych pocisków, rzucanych na Jaroszyńskiego przez całą prasę legalną, mimo przeświadczenia, że zamach w skutkach będzie raczej szkodliwy, niż ulgę mogący przynieść w ciemieństwie, lud, jakby w jasnowidzeniu, dojrzał ową tajemną sprężynę, która w chwili stanowczej pokierowała ręką Jaroszyńskiego. „Nieprzeliczone tłumy przybyły na miejsce tracenia, płacz i łkanie powszechne, przekleństwa, miotane na wrogów, jasno dowodziły, że Warszawa łączyła się sercem z nowymi męczennikami“.

Mało kto znał bliżej tego człowieka z szarego, roboczego tłumu. Instynkt raczej, niż świadomość pouczyły lud Warszawy, że zginął dla jakiejś rzeczy wyższego porządku, z racji ukrytej a nieodpartej, człowiek dobry, człowiek więcej warty od swoich sędziów... I nieraz, nieraz jeszcze pokłoni się lud człowiekowi z pod fali, człowiekowi o tragicznie krwawych rękach, a czystym, jak łza anielska, sercu, człowiekowi obcemu, którego chwila wyniesie—na pal, a któ-

rego usta nie wyjawia, lub wyjawia bardzo nie-
często, dlaczego tu zaszedł, zająć musiał.

Bo zamknięte są przeważnie usta tych lu-
dzi. Niechętnie tłumaczą się sędziom swoim, lub
nie tłumaczą się zgoła. Przeżyć swoich najgłęb-
szych nie rzucają na targ zysku i próżności.
Czasem wzburzenie wewnętrzne, niepowstrzy-
mane strzaska ów mur milczenia, poza którym
leży samotna męka ich duszy; czasem braciom
z szeregu przychodzi odsłonić sumienie i jego
sprawy. W tych rzadkich chwilach dostrzec się
daje istota „zbrodniarza“, prawo, które nim rzą-
dzi, moc nieodparta, władająca jego życiem.

Takiej to chwili wzburzenia Antoni Bere-
zowski, sprawca zamachu na Aleksandra II, w r.
1867, zapytany przez sędziego śledczego, czy
ma współników, odpowiada: „Cały kraj“. Kraj,
w jego mniemaniu, broni nie złożył, nie zawie-
sił walki na życie i śmierć. Mówi, że uważa
wojnę między Polską a Rosją za nieustającą,
siebie zaś za żołnierza, mówi, że w zaraniu ży-
cia poprzysiągł zemstę wrogom ojczyzny i śmierć
carowi, jako jej ciemieczcy... Jakoż wśród szczu-
płego dobytku Berezowskiego znaleziono staran-
nie chowany odpis przysięgi Kilińskiego. Mówi
jeszcze: „Moskwa zabiera nam nie tylko naszą
własność i nasze ciała, ale także i nasze du-
szel...“

Świadomość ta, głęboko w sercu zaryta, co
dnia i co godzina jątrzona przez nowe udręki,
jak szpon szarpie duszę — na krzywdę ludzką

wrażliwą, zadaje jej ból tak ostry i nieustanny, że ból ten i twarz dręczyciela stają się czymś jednym, czymś straszliwym i nie do zniesienia. Jest ów wróg śmiertelny, wlokący duszę Polaka przez wszystkie stacje męki, jest gorzka ponad wszystko wiedza, że gdzieś tam, w jego matniach, czyha na duszę zatraćta... Jest ta wojna nieprzerwalna, prawo święte, prawo nieprze-dawnione do bytu wolnego,—jest żołnierz... Gdy niemocen jest naród uczynić sądu nad wrogiem, on, żołnierz ów, sam jeden staje do walki w pojedynkę. Za to życie cudze daje życie własne, najczęściej młode, także bezpowrotne...

Krzywdą kraju, krzywda nieprzeliczonych rzesz, odczuwana tym jaskrawiej i boleśniej, im miększe i czulsze jest serce, z ludzi najcichszych, najtkliwszych, najgłębiej miłujących życie i człowieka, czyni groźnych mścicieli. Marzą najtajniej, by nieść pokój, nieść muszą miecz... Od nadmiaru bólu i upokorzenia pęka w tych sercach owa struna „świętej cierpliwości“, o którą modlił się Kiliński, i mieczem czynić idą sprawiedliwość. „Byłem na ulicy—opowie w 1905 r. Stefan Okrzeja — kiedy znienacka żołdactwo strzelało do pochodu manifestacyjnego, idącego poważnie z obnażonemi głowami; kiedy kozactwo tratowało kopytami końskimi trupy, a oficerowie gwardji, pędząc konno po trotuarach, dla popisu krzyżową sztuką płątali głowy kobiet... Widziałem, jak w mieszkaniach wyciągano strwożone dzieci z pod łóżek i kłuto bag-

netami; jak pastwiono się nad skępowanemi ludźmi w cyrkułach, jak ich trupy wystawiano potym w szpitalach na widok publiczny, jako poległych w buntowniczej walce, mimo to, że rany mieli tylko w plecy pozadawane. Słyszałem, że prowadzonym do cytadeli więźniom politycznym odrywano wszystkie guziki, by zając im ręce podtrzymywaniem własnego ubrania i tak obezwładnionych bić bezlitośnie; słyszałem, że ich bito w drodze nie do jęków, nie do krwi, nie do omdleń, ale do śmierci. Słyszałem wreszcie, że wśród tępych uderzeń siepaczy, wśród okrzyków zgrozy, wśród nawoływań o pomoc, wzywano także mścicieli... I postanowiłem być jednym z szeregu tych mścicieli!...

Powiedział obrońca Okrzei, że bomba jego była napełniona nie dynamitem, lecz krwią i łzami nieszczęśliwych ludzi, że za nich i dla nich szedł na czyn straszliwy. „...Pomściłam wiele ofiar niewinnych, zapobiegłam wielu innym klęskom”—pisze w przedśmiertnym liście Charlotta Corday do ojca swego, zalecając zarazem rodzinie, aby pamiętała o słowach Corneille’a:

Le Crime fait la honte et non pas l'échafaud... aby pamiętano, że zbrodnia jest hańbą, nie zbrodni pomszczenie.

Tak lud pojął i pojmował zamachy ludzi, ogłoszonych za zbrodniarzy. W dzień sądu nad Okrzeją ucichła praca po fabrykach, świętowała cała Warszawa robotnicza, tysiącem ust błogo-

sławiąc imię „zbrodniarza“. I podobnie czyn Jaroszyńskiego lud wziął w serce, w cudowność ustroił ten zgon i jak niegdyś, za śmierci Konarskiego, tak i teraz dziwy widział na niebie...

*

*

*

Na pokrwawionej ziemi nie dokonywał się cud...

Szpieg pełźnie. Święcą się mordy w cytadeli i na placach miasta. Stan wojenny trwa w całej grozie, „aresztuje się przechodniów po ulicach, chwyta i bije powracających spokojnie do domów, bez względu na wiek i płeć...“ Polska, ojczyzna, tyranja, swoboda, poświęcenie, ofiara — to oto są najbardziej zbrodnicze, zakazane przez cenzurę carską dźwięki. Zakazane są także... psalmy i gdy obecny na nabożeństwie w kościele św. Jana w Wilnie w 61 r. generał Nazimow słyszy w pieśni słowa: „Zdruzgoczesz łuki i połamiesz strzały...“; gdy dowiaduje się od policmajstra Wasiljewa, że to psalm Dawidowy,—poleca mu co rychlej „aresztować Dawida-buntownika“... Rożnow w cytadeli „na duszę swoją i sumienie“ przysięga, że każdy oskarżony jest winny i już winna jest cała Polska, bo „nikczemności ducha nie uczyni chlebem powszednim“, bo na zniewagę branki odpowiedziała manifestem powstańczym.

...Młodzież poświęcić dla zbawienia ludu...

Skończyć sprawę włościańską własną, polską ręką... Zbawić naród cały...

— „Tak rozumiem i za to umrę!“ oświadcza na zebraniu decydującym Padlewski.

*

*

*

Za to umierali.

„Powstającej ojczyźnie twojej dasz bez żalu, słabości i wahania wszystką krew, życie i miejsce...“ wzywała odezwa Komitetu Centralnego.

Nigdy ofiarniej nie niesiono życia, nie dokonało się nigdzie większe i wytrwalsze męstwo. Przybywającego ochotnika ks. Mackiewicz witał w te słowa: „Będziesz codziennie głodny, sypiać będziesz na twardej ziemi, częściej wypadnie ci chodzić boso, niż w obuwiu; jeśli będziesz ranny, wpadniesz w ręce moskiewskie; jeżeli stchórzysz, zastrzelą cię własny naczelnik“. Szli.

Szanował to męstwo wróg, chyliły się przed nim narody. Któż nie uczci walecznych, co w małych garstkach, głodni i zziębnięci wychodzili na spotkanie potężnego przeciwnika, na walkę „kijów z bagnietami“, na okrutną nieraz śmierć, na straszniejszą od niej niewolę? Kto nie pokłoni się tym błędnym rycerzom, przedzierającym się pod gradem kul przez lasy i bagniska, przez niezaludnione obszary ku dalekiej i wciąż nieuchwytniej wolności?

Wierzyli-ż oni w zwycięstwo? Nęcił-że ich wawrzyn sławy? Mieliz oni nadzieję, że po trudzie i niewysłowionej męce odetchną powietrzem swobody? Były zapewne dusze proste, ufne, niezamącone zwątpieniem. „Wpatrując się w oblicze ówczesnych pracowników na niwie usiłowań narodowych—mówi Dubiecki—widziało się w nich wiele spokoju, wiele rezygnacji, która płynęła z różnych źródeł: u mas spokój wywoływała głęboka wiara w jutro...” Naiwna wiara nie umniejsza piękna wierzących, lecz jakże ułatwia ich drogę! Bo byli i inni... „My wszyscy—mówił Jurgens—zginiemy, żaden z nas nie dożyje lepszych czasów, o tym powinniśmy być najmocniej przekonani i pogodzeni z tą myślą. Mamy być tylko nawozem na ojczystej ziemi, który ją użyźni i przyczyni się do obfitości w przyszłości plonu”. Wyrzekł—i cóż się stało? „Całą duszą oddaliśmy się Jurgensowi. Nie był on naszym współtowarzyszem, ale mistrzem i kierownikiem, któremu okazywaliśmy ślepe posłuszeństwo. Człowiek ten, dotąd nieznan, ubogi, urzędnik niskiego stopnia, nagle zaczął wywierać wpływ ogromny na kraj cały...” A mówił: zginiemy. Wręczając Miliutinowi prośbę o dymisję, Sierakowski oświadcza: „Za kilka tygodni podpisze pan mój wyrok śmierci, lecz szanować mnie pan nie przestanie...” Wiedział, że zginie. Dubieckiego zaprasza do siebie wczesnym czerwcowym rankiem sekretarz Litwy, Wa-

claw Przybylski. Chwila to była, gdy na stokach cytadeli wieszano Abichta i Konarskiego.

— A widzisz co?—pyta Przybylski gościa.

— Nic nie widzę—odpowiada Dubiecki.

— Nic? To ci dam lunetę!

Dubiecki spojrział przez lunetę raz, drugi...

Woła:

— Widzę szubienicę, a na niej wiszące dwie białe postacie.

— To nasz los—na tym skończymy—pamiętaj o tym!—brzmi odpowiedź.

Była długa chwila milczenia, poczym szepetem ślubuje Dubiecki:

— Pamiętam!

Śluby to są. „Wówczas, na balkonie ulicy Freta—powiada, — uroczyste złożyłem postanowienie, aby nie opuszczać powierzonego mi stanowiska aż do końca; z posterunku tego—rzekłem w myśli — zdejmie mnie jeno kraj lub los...” Los—to znaczy śmierć... W owym „już!”, którym Traugutt wita przychodzących go uwięzić żandarmów, mieszczą się lata całe codniowego śmierci oczekiwania...

Nie, ci nie wierzyli w zwycięstwo. O to szło, aby swym istnieniem „zapełnić przepaść niedoli narodu“, być „podścieliskiem, na którym urość miało drzewo niepodległości dla następnych pokoleń“. To też, gdy w Sierakowskiego iskortujący go oficer godzi grotem najśmiertelniejszym, mierzy w jego sumienie odpowiedzial-

nością za życie cudze i, wskazując kilku chłopów, którzy chcą złożyć broń, powiada: „Patrzcie, wielu nieszczęśliwych z waszej przyczyny!“, Sierakowskiego odpowiedź brzmi: „To nie są nieszczęśliwi, lecz litewskie nasiona, z których w przyszłości wszędzie biały kwiat!“

Czy będzie to wyznanie osobiste, czy słowo publiczne; czy doleci z placu boju, czy też z pod szubienicy—: zawsze jest to owo słowo „odważnej wspaniałości“, gardzącej niewolą i życiem własnym, gdy do niewoli owej jest przykute. „Bić się będziemy — zapewnia Traugutt Czartoryskiego—choćbyśmy mieli co do jednego wyginać, bo wolimy zagładę, niż haniebną niewolę!“ W wieluż, ach, w wieluż duszach żyła pewność, że wyginie się co do jednego. „Myśmy wychodzili w rozpacz, jak gladiatorowie wołając przed starszemi i światem: *morituri vos salutant*, a niejedno przekleństwo ojcowskie gnało nas po ścieżkach lasów... Jak gladiator, co padając na arenie Rzymu, przeklinał Rzym i życie swoje, lecz wierzył, że kiedyś... przyjdą jego mściciele...“

Nie po sławę i nie po jutro swoje szli ci ludzie. „Przed tobą—walka, narodzie, za tobą—walka, ale tu niewola i hańba, a tam—wolność i szczęście przyszłych pokoleń!“ Tam, gdzie od mogił twoich biegnąć počnie nowa, przyszła droga...

Szli w przemożnej części na pewną śmierć, z świadomością, że ominie ich chyba cudem.

Szli w kraj z dekretami uwłaszczeń. Wiedzano już w Polsce, co to są emisarjackie drogi. Wiedzano, jak ciężko jest uczynić „sumienny z ludem obrachunek“, jak ciężko jest w krótki moment wypruć z duszy chłopskiej wszystko, co nagromadziła w niej niewola przez wieki. Któż powie, czy nie szło przed niemi widmo Szeli, czy nie zabiegał im drogi cień Budnika? Lecz szli w kraj...

Ten Antoni Jurjewicz, i Adolf Peretjatkowicz, i Józef Biesiadowski, ta garstka młodzieży uniwersyteckiej z Kijowskiego, tych dwudziestu jeden, z których „najmłodszy miał lat piętnaście, a żaden nie liczył trzydziestu“; ta krucjata dzieci, przedzierających się po nocy, po deszczu, przez strażę i pikiety do wsi, do ludu, aby mu odczytać słowo jego praw, aby mu powiedzieć: przebacz krzywdę! — aby mu podać rękę i powiedzieć ze sobą w walkę o wspólną, jedną dla wszystkich wolność, czyż nie starczy wyprawa ta, sama jedna, za obraz tej mlecznej drogi, po której szła dusza czasu owych chwil? Jest godzina cudu, wśród stepu, pod namiotem nieba,— wielka i uroczysta godzina, kiedy lud słucha i zdaje się wierzyć... Lecz wróg sprawy swojej nie zasypia: niszczy mosty, psuje drogi, zrywa groble, szczuje chłopa. I kiedy gromadka emisariuszy przybywa nocą do wsi Sołowjówki, jasno widzi, że jest zgubiona. Za moment rzuca się na nią podburzone tłumy i ratunek jest jeden: „bić i przebić się“. Aby się jednak prze-

bić, trzeba przelać krew tego ludu, do którego się szło z dobrą nowiną i „wniosek przerznięcia się po trupach, uczyniony przez jednego, odrzucony jest przez całą resztę“. Pod toporami i kołami padają młode głowy. Nie wszystkie, niestety, są ranni... Raport rządowy o Sołowjówce mówi, że banda powstańców, z 21 ludzi złożona, napadła na Sołowjówkę, wieś w powiecie Radomyskim. „Włóścianie stanęli śmiało do boju“. W rzeczywistości „ciemny lud znęcał się nad ofiarami swemi okropnie. Rzezunie, ograbwszy je, dusili, wyrywali nogi i ręce ze stawów, wbijali gwoździe w głowy, obdzierali żywcem ze skóry, robili wszystko, co było potrzeba, aby tej garstce szlachetnych zjednać na zawsze rzetelną już, nieretoryczną nazwę męczenników...”

Szli na pewną śmierć, zarówno wtedy, gdy z bohaterstwem niehumanicznym staczali partyzanckie potyczki, jak i wtedy, gdy w pieczarach konspiracji dokonywali ciężkiej, organizacyjnej roboty, z łatwością—powiada Langiewicz, jakkolwiek byłyby to gdzieindziej „przedsięwzięcia szalone“. Zetknąwszy się z Komitetem Centralnym, Langiewicz nazywa go „władzą cudownie silną...“ Ze znanego tak dobrze ludziom z pod fali źródła ofiary czerpała ta władza całą swoją cudowność i siłę...

✱

✱

✱

Dokonywała się ofiara co dnia, co godzina, co moment. Dość wspomnieć nazwiska Murawjewa i pomocników jego Łosiewa, Jugana, Gogiela, nazwisko Wittgensteina, Maniukina, Bellegarda, Berga, Lewszyna, Trepowa, Korffa, aby uprzytomnić sobie, w jakich ofiara dokonywała się mękach. Na partyzantów czyha nietylko kula wroga, tortury i stryk, lecz czyha szpieg, przebrany za powstańca, szpieg pod twarzą brata stawiający zasadzki. Cały korpus tej ohydy uwija się pod wodzą Schwartza. Szubienice skrzypią, więzienia ani pomieścić mogą spędzanych do nich tłumów. Litwa cała przedstawia obraz bezbrzeżnej niedoli, całkowitego spustoszenia —

Niemen twój jasny—olbrzymią łązawnicą,
A twoja ziemia—grobowcem bez końca...

skarży się poeta. „Syberja — nie tam, gdzie wy jesteście — piszą rodzice do dzieci swoich na wygnaniu,—lecz prawdziwa Syberja dzisiaj tutaj, na Litwie“. Cóż mówić o Królestwie, o Warszawie? „Warszawa wyglądała jak cmentarz, do którego dostały się hijeny...“ Słynie na kraj cały Tuchołko, naczelnik dwu więzień śledczych, cytadeli i Pawiaka. Tuchołko bije po twarzy, wymsła, wsadza do zgniłych piwnic, zamyka do kazamat, morzy głodem i pragnieniem, znęca się przez ciągle przerywanie snu, „na badanych

napada, jak wilk“, kogo nie może złamać, bije. Komisji przy oberpolicmajstrze bić jest wolno „z zasady“. „Że nad mężczyznami się pastwią— notuje korespondent „Ojczyzny“, że ludzi, jak Gebethner księgarz, jak profesor szkoły Głównej, Dybek, biją po twarzy, każą chłostać, zamykają do lochu — to tylko okrucieństwo, srogość barbarzyńcy; ale że kobiety doznają takiego samego obchodzenia, to jest coś przeciw naturze... Pani Świętochowska, trzymana od pewnego czasu w więzieniu na ulicy Pawiej, będąca w czwartym miesiącu ciąży, otrzymała dwadzieścia sześć chłost, w celu wydobycia z niej zeznań“...

Nieraz samą śmierć przychodzi przeżyć dwa razy, skoro daje ją ręka, która nawet zabić po ludzku nie chce, czy nie potrafi. Niepodobna często oprzeć się myśli, że okrucieństwu katów śmierć wogóle, a cóż dopiero—śmierć bez tortur, śmierć raz zadana, wydaje się męką niedostateczną. Gogiel, pomocnik Murawjewa, oświadcza: „Gdyby w moich rękach był ten, którego w Sybirsku rozstrzelano w ciągu dwudziestu czterech godzin, nie popełniłbym takiego głupstwa; smażyłbym go na powolnym ogniu, krewby mu się wydobywała z pod paznogi, zmusiłbym go do powiedzenia całej prawdy“... Gdy, wezwany pod szubienicą do zdjęcia czapki, Bolesław Kołyszko woła: „Oprócz siebie, nikogo tu godniejszego nie widzę!“ — wieszają go dwa razy. Przy egzekucji, wykonanej na Padlewskim, obecny jest osławiony generał Poźniak. „Przy-

wiązano ofiarę do słupa, dano ognia—: nie krzyknął, nie jęknął, tylko się pochylił. Zepchnięto go do dołu. Ale zaledwie kilkanaście szufli piasku z głuchym łoskotem padło na ciało, rozległ się głos straszny, podziemny i wojsko, kapłan, widzowie rozróżnili, przejęci dreszczem, straszliwe wyrazy: „Nie zasypujcie mnie! Ja żyję!” Ale Poźniak-oprawca milczał, żołnierze piasek sypali dalej. Wtedy z koła oficerów podniósł się szmer, pełen oburzenia... Poźniak spostrzegł się, dał znak i huknął ostatni, w grób skierowany strzał. Sięgnął-że on zasypanego ziemią?“...

Szaleje tedy orgja nienawiści mściwej, barbarzyńskiej na całym obszarze ziemi polskiej. Prawo, sprawiedliwość?! „Tak Jugan, jak Łosiew—pisze Jozafat Ohryzko—mówili mi ciągle, gdy się zasłaniał prawem, ażeby nie myślał o prawie i sprawiedliwości; tu praw niema, powiadali, jest tylko moralne przekonanie komisji i Murawjewa, a takiego przekonania dosyć, aby człowieka skazać na śmierć... Łosiew powiadał: Kto popadnie w ręce komisji, ten usprawiedliwiony być nie może; wszak wszystkim wiadomo, że z więzienia nikogo nie wypuszczamy: „szubienica, katorga, albo Syberja — drogi stąd na swobodę niema!“... Jest to dosłowne prawie, bardziej tylko jeszcze cyniczne powtórzenie znanej nam już maksymy Jołszyna: do cytadeli droga prowadzi szeroka, lecz wyjście z niej djabelnie ciasne!

Nie zmieniło się nic od pół wieku w na-

stroju i metodach prześladowców. Obłądy więzienne są rzeczą codniową. Życie więźnia w dni owe zawieszone jest tak bardzo na linji obłądu, że nawet wtedy, gdy prawdę swoją rzuca siepaczom w twarz przytomny i władający sobą ból, ci uciekają przed nim, jak przed zamrokiem, którego boją się instynktownie, choć widzą go co chwila. Gdy Gudzińska w obecności zesłańców, z którymi wywieziona ma być za chwilę, opowiada, jak ją katowano, siekano różgami od głowy do pięt, bito po piersiach i po brzuchu, — gdy woła: „Panowie! Przypatrzcie się dobrze tym siepaczom, zbirom, łotrom i złodziejom!” — gdy, zwracając się do katów swoich, oświadcza: „Macie mnie tutaj, bijcie i katujcie na nowo, z chęcią zniosę teraz wszystkie tortury, bo wypowiedziałam wam, podli, szczerą prawdę przy obecnych tu szlachetnych świadkach!” — Witkowski i Tuchołko błedną i uciekają, szepcząc do siebie: „warjotka!” Niemniej za chwilę ocknie się w nich znów odwaga katów...

Szaleje dzieło pijanych zemstą tryumfatorów. Jednocześnie zaś pół-pijane usta wypowiadają bezwiedne wyznanie bezsiły. Gdy Pantielejew w rozmowie ze wspomnianym już Juganem zauważa, że szerzenie oświaty przyczyniłoby się do zdemokratyzowania kraju skuteczniej od środków represyjnych i że dlatego należałoby otworzyć uniwersytet w Wilnie, Jugan protestuje żywo: „Cóż Pan mówisz! Czy wiesz Pan, że gdyby wszystkie katedry tego uniwersytetu

obsadzić sztabsoficera mi żandarmskimi, to i w takim razie zamieni się on w uniwersytet polski!... Niczym innym, niż wyznaniem bezsiły, są też zwrócone do Konstantego słowa Berga: „uczyniłem ważne odkrycie —: wszyscy służą tu komitetowi z wyjątkiem waszej cesarskiej wysokości i mnie!...”

Targa ręka siepacza struny, na których dusza polska ziemię swoją, tęsknotę, żal i mocniejszą nad nie nadzieję —: zdruzgotany leży na bruku Warszawy fortepjan Chopina... Depcze przemoc wiarę narodu, pławi ją we krwi, przybija do pala. Zatacza olbrzymie, cierniem najezone koło poto tylko, aby nie dostrzec, że poznanie Nowosilcewa, mówiące, iż Polakowi ani na chwilę niewolno dać wytchnienia w niedoli, gdyż wnet zechce być niepodległym, że poznanie to — niezupełne... Bo oto dopełniła się miara niedoli, kraj w niedoli hiobowej zatonął od brzegu do brzegu, a drży żandarm przed czymś, czego ani ująć, ani powiesić, ani strzaskać nie może, drżą najemnicy carscy przed białym duchem ofiary.

Od krańca do krańca zatonął kraj w niedoli. Nie policzyła żadna statystyka, ile żywo-
tów ludzkich poginęło w więzieniach, ile ich przeciął męką bagnet moskiewski na polu bitwy, w czas napadów na dwory, wśród szaleń-
stwa niszczycielskiego, którym podlegały całe miasta i sioła. Źródła rosyjskie wymieniają problematyczną cyfrę 263 powieszonych lub rozstrzela-

nych w czasie od 1863 do 1865 r. Książka, w swoim rodzaju jedyna — a jakże polska! — Zygmunta Kolumny „Pamiętka dla rodzin polskich“ wylicza za czasokres od r. 1861 do r. 1866 cztery tysiące nazwisk męczeńskich. Lecz i ona niesie, według Bolesławity, wykaz niedokładny, gdyż obejmować powinna przynajmniej nazwisk trzydzieści tysięcy! I jakżeż miało być inaczej, skoro „niema prawie rodziny w Polsce, któraby się pochlubić mogła Abrahamową dziecięcia ofiarą!...“ Składano ją... A z niebios nie przychodziła już, jak niegdyś, wieść, że nie trzeba Bogu ofiary, gdy jest ku niej gotowość niezachwiana...

Wieść ta nie przychodziła, a jednak o niebo, o Boga opierały się wszystkie te, rozmodłone miłością dusze. Bóg i Ojczyzna — taka była ich wiara; Bóg, który z martwych wskrzesi kraj, kraj, którego ostatnią ucieczką, oparciem niezawodnym jest Bóg. Ojczyzna przebóstwiona, Bóg — obrońca najwyższy rzeczy świętej jego świętością —: ta jest ich wiara. Wiąże ona, łączy, jednoczy dusze najróżniejsze, organizuje psychiczne zgoła przeciwstawne. I więcej: jak źródło wody słodkiej w pustyni tryska na kraj cały, chłodzi wszystkie spieczone pragnieniem wolności usta, przystępu ku sobie nie broni nikomu. Piją z tego źródła matka i syn, pije prosty szeregowiec narówni z najwyższym wodzem, pije ów Sebastian Skarbek, chłop polski, sługa, narówni z chlebowawcą swoim i narówni z Ro-

mualdem Trauguttem. Przez wszystkich opuszczona, nie wysłuchana przez nikogo — „do Ciebie, Panie!...” woła dusza. Woła i wierzy, z wiary niewątpliwie czerpie dużą część siły swojej, równowagi i spokoju. — „Nieskończone dzięki niech będą Bogu! — woła przed śmiercią Toczyński. — Zgon swój za prawdziwą łaskę bożą uważam!” „Za chwilę myśl moją oderwę od świata — pisze do rodziny Żuliński. — Nie płaczcie, tak jak ja, nie przestając was kochać, nie płaczę, lecz z wiarą w przyszłe życie mam nadzieję, że Bóg nas kiedyś połączy...” Gdy jak zawsze, tak i tu nieopodal krzyża stał Judasz, który umożliwił i przyspieszył dzieło kata, Krajewski, „w szczerzej miłości i wierze”, Judaszowi nawet przebacza. „Zazdrościcie mi szczęścia!” — woła z głębi serca. I te jeszcze pełne surowej powagi, ciężkie całonocną zadumą słowa Traugutta do żony, słowa jego ostatnie: „Nie zapominałmy, że Bóg, chociaż i o szczęściu naszym doczesnym pamięta, przedewszystkiem ma na celu szczęście nasze wieczne, do którego nas stworzył i przeznaczył...” Taką to jedynie pociechę przesyłam ci, gdyż ta tylko człowiekowi w największym nieszczęściu i strapieniu prawdziwą być może, z tego samego źródła i ja czerpię moc i ochłodę“.

Wraz ze zgonem tych ludzi umrze także pod falą ich wiara, ta, która była ich poezją osobistą, czynnikiem powszechnego życia nieodzownym i sprężyną jego najpotężniejszą. Może

przesiliła się w ich tak żarliwym, tak świętym wołaniu, może odeszła w drogi niewiadome... Jakbądź, ludziom, którzy niebawem do nowej, do dalszej walki staną, silnego tego oparcia zbraknie. Już nie Bóg wszechogarniający będzie źródłem ich mocy, lecz idea, która ich odosobni, osamotni, częstką cząstki uczyni w narodzie. Bez nadziei, „że Bóg ma na celu szczęście nasze wieczne“, będą szli na mękę i śmierć. Nie z niebios spłynie na nich „moc i ochłoda“, lecz ze świadomości, że twardy trud wedle sił dźwignęli, szczęście wszystkich wykuć chcieli w kuźni własnego cierpienia, jarzma nie uczynili sobie chlebem powszednim, ku wolności przebijali się do ostatniego tchu. Pojawia się wnet ci najsamotniejsi z samotnych i — choć nie będzie już na ich ustach anielskiej modlitwy Traugutta, — czyste będzie ich serce, niezłomna — ich moc i święta — ofiara.

Tamtym ludziom wszakże wiara przydała rys piękna niezatarty, rys, który jest ich cechą naczelną i najwłaśniejszą. Wytwarzała ona na ogół tę rezygnację, pogodę, powagę, z jaką nawet jeńcy, co tydzień wysyłani, zegnali Warszawę. „...W odjeżdżających łzy na oczach bardzo rzadkim są zjawiskiem... Zdarza się czasem, że który z jeńców, słabszy duchem, głośnym płaczem wybuchnie, wtedy towarzysze... biorą go między siebie, pocieszają, wzmacniają...“ Tak była ta wiara jaśniejąca, że rzucała jakąś złotą mgłą na wszystkie szczeliny, stwarzać umiała

nastroje ekstazy jakoby powszechnej. W duszach wybranych, które tknęła łaska, przeradzała się w płomień mistyczny, w miłość nieziemską, w coś nienazwanego, co St. Krz. przy spotkaniu się z Trauguttem każe zawołać: „słuchałem i wielbiłem!... miałem jakby jasne widzenie w jaskini!” Każe mu powiedzieć: „urok bijący (z Traugutta) na słuchacza nie pozwalał kazić tych białych lilii anielskich najłżejszym nawet pyłkiem powątpiewania...” W istocie białe to były, anielskie lilje wiary, miłości, poświęcenia.

Modlitwą rozpoczyna Traugutt rządy swoje: modli się, spowiada i komunikuje w kościele Kapucynów, w kaplicy, gdzie spoczęło serce Jana III; kończy rządy swoje modlitwą; modli się cały dzień i całą noc przed piątym sierpnia, dniem stracenia. Między temi dwoma punktami wznosi się najwznioślejsza modlitwa jego czynu. Przed chwilą, w której objął ster nawy narodowej, w potyczkach i bitwach codziennie groziła mu śmierć; od chwili, gdy stanął na czele rządów, śmierć idzie za nim krok w krok. Jeżeli mówił: „u nas władza nie jest celem ambicji, ale aktem poświęcenia, a to, co głosimy, nie jest piękną tylko i czczą formą, ale wynikiem naszych przekonań, prac i trudów całego życia, pojęciem tak stałym i niezłomnym, że za nie w każdej chwili też życie dać jesteśmy gotowi i codzien je narażamy” — prawdę wypowiadał swoją najszczerzą. Jeżeli żądał od żołnierza polskiego, aby był „prawdziwym żołnierzem

Chrystusa“, aby „czystość obyczajów i nieskałaną cnotę roznosił wszędzie“,—żądać miał prawo, gdyż sam był tym żołnierzem Chrystusowym. Jeśli woła: „kosa, dzida, kij nawet mogą być czasem lepsze, niż broń palna“, jeśli nakazuje trwać i wytrwać w warunkach najtragiczniejszych, sam świeci wzorem, bo niezachwianie trwa wśród zgliszczy i ruin. Wróg niepokoi żonę i dzieci, pozostawione na Litwie; oto już pozbawił je siedziby, oto umiera jedyny syn... Traugutt posterunku nie opuszcza ani na chwilę. Zanika, kona jego szczęście osobiste—: dawno je poświęcił. Widział konieczność, konieczność polską starcia z kraju hańby niewoli, miał „niewzruszoną wiarę w świętość naszej sprawy“.

Ten los wewnętrzny duszy Trauguttowej i jej dzieje są jakoby poetyckim skrótem epoki, strofą doskonałą, która ujęła całe jej piękno i wszystkie jej cechy najistotniejsze. Powstanie w najwyższym swoim locie i w treści swej ostatecznej wypisało się jakoby w tej jednej duszy, ją jedną wystarczy odczytać, aby pojąć piękno tragedji narodowej, którą nazywamy rokiem 63-im. Zdawałoby się mogło, że w chwili, gdy wracały do ojczyzny pomordowane rzekomo „marzenia“, gdy zjednoczyły przebrzmiały jakoby daremnie głos swój z potężnym wołaniem powstania, nieśmiertelny pielgrzym polski, ten, co zamarzył „Ojczyzna pole życia słowu bożemu na ziemi...“, na serce Traugutta położył błogosławiące dłonie. „Czy ludzie pojną, jak się

kochać powinni, nie wiem,—Bogu to tylko wiadome; ale temu nikt nie zaprzeczy, że to jedy-ny środek do osiągnięcia szczęścia, tak dla po-jedynczych ludzi, jak dla całych narodów i dla ludzkości całej...” Tak marzył. Ziścił się w je-go sercu duch Mickiewiczowski, duch Polaka w pięknie swoim najwyższym.

Z Trauguttem skołało powstanie, skołała epoka. Ten trzydziestotysięczny tłum, który ję-kiem i modlitwą zęgał Jeziorańskiego, Toczy-skiego, Żulińskiego, Krajewskiego i Traugutta, ten tłum, który w obliczu wojska, policji i ko-zaków w głos krzyczał do Boga o pomstę za dokonywany nad narodem mord, pojmował, że wysączona jest czara. Zdarzały się owego dnia wypadki śmierci naglej, spowodowanej „nad-miarem bólu“, zdarzyło się też, że tryumfujący szubienicami wróg, wróg, zbrojny w działa i bag-nety, wobec bezbronnego tłumy modlących się stał „jak zdrętwiały“.

Koniec tedy?

Gdzieindziej byłby to niezawodnie koniec. Tu wszakże walczyli ludzie z pod fali, ci, co mówią: „trzeba zginać, by żyła Ojczyzna“, ci, co wierząc w niepodobieństwa, uwierzyć nie umieją, że jej sprawa jest stracona. Nie zdołano jeszcze także powiesić wszystkich, którzy warci byli stryka. Dopiero 17 lutego 1865 r. stanie w Warszawie szubienica dla Aleksandra Wasz-kowskiego, ostatniego naczelnika miasta, pod-trzymującego do ostatka zniszczoną przez wroga

organizację. I osierocony przez śmierć Waszkowskiego męczeński trud podejmie jeszcze raz urzędnik komisji skarbu Bronisław Brzeziński i jeszcze przez półtora roku czynić będzie rzecz „niemożliwą”. Aż od wysiłków daremnych, z „nadmiaru boleści” zamrok padnie na duszę...

Ten właśnie człowiek, ostatni, przyjdzie złożyć ostatni, widomy znak czasu, który był, w pewne, najczystsze ręce. I jak niegdyś skryła ziemia papiery Towarzystwa Patryjotycznego, tak dziś weźmie w siebie świetną Rząd Narodowego pieczęć. Pójdzie w świat daleki ostatni sprawy żołnierza, skryją niewiadome fale jego warz i ból...

Pójdzie w świat daleki o klęsce wieść. Przerzuci się do kazamat, uderzy w serca zesłańców. Padnie w grób Szlisselburski i przytłoczy do ostatka zewłok Łukaszińskiego. Padnie w serca zachodnich tułaczy... „Nie mogąc znieść otrzymany wiadomości z najnieszczęśliwszego pod słońcem kraju...—oświadczam w liście przedśmiertnym Paweł Pepłowski, kapitan wojsk polskich z 31-go r., — skracam sobie życie, abym nie był więcej świadkiem okrucieństw i bezprawii... Jak żyłem w porządku i z honorem, takim też sposobem kończę”.

Ucichło wszystko. Ogłoszone już są ukazy jugenheimskie, już podoficerowie carscy kształcić poczynają dzieci unickie. Już oświadczają wróg, że Polak jest Rosjaninem, tylko Rosjaninem „pośledniejszego gatunku...”

Odpowiedź na to wyzwanie pisać się poczyna w sercach jeszcze wśród prześladowań, któremi wróg znaczył czasy powstania. W słowach, pełnych prostoty, opowiada cudzoziemcowi Marja Jankowska (Mendelsonowa), jedna z pierwszych pionierek socjalizmu polskiego, jakie czynniki rozbudziły i utrwaliły w niej uczucia narodowe.

„...Młodość moja—mówi—płynęła podczas powstania 1863 r. Pan wie, że każdy Polak żyje nadzieją i cierpieniami swego narodu. W okresie 1863 r. byłam jeszcze dzieckiem, lecz dzięki nerwowemu swemu temperamentowi nie mogłam nie odczuwać, że naokoło mnie dzieje się coś strasznego. Rodzice moi dokładali wszelkich starań, by agitacja patryjotyczna nie dotarła aż do mnie, ale były to starania bezowocne. Nie mogłam przecież nie widzieć urzędnika policyjnego, który nachodził dom i często nieproszony zjawiał się nawet w czasie obiadu... Po obiedzie urzędnik ten włóczył się po prostu po całym domu, jak gdyby to był dom jego własny. Bywało, że podczas tych pielgrzymek po domu i ogrodzie spotykał się ze mną sam na sam: wtedy brał mnie na kolana... obiecywał zabawki i słodczy z miasta, a jednocześnie pokazywał mi fotografie różne, rozpytując, czy czasem kogoś nie poznaję. Odpowiadałam zawsze, że nie znam nikogo i instynkt raczej, nie zaś zrozu-

mienie sytuacji, wiódł mnie w ten sposób do spełnienia obowiązku milczenia, Przytaczam te fakty, aby Pan mógł zrozumieć wstręt moralny, jaki te prześladowania budziły...”

Nie mógł się stać Polak bratem gnębiiciela, sprzymierzeńcem szpiega i kata swego, nie mógł się stać Rosjaninem. Gdy zaś być mu nim kazano, gdy wydzierano mu w sposób bezprzykładny nie tylko ziemię i chudobę, lecz dobra jego wieczyste, sprężył się i do nowej stanął walki.

...Waćpan, który niczym u mnie jesteś!...

Przed chwilą Żuliński rzucił w twarz oprawcom: bić mnie możecie, ale nie sądzić; nic wam nie powiem, gdyż was nie uznaję! Za chwilę, w odmianach wielorakich padną te słowa z ust ludzi nowych...

— Waćpan, który niczym u mnie jesteś!

Bo znów pod ziemią bieć pocznie gości-niec, którego kres zwie się wolnością. Znowu nieprzerwanie wśród mąk i zgonów ofiar-nych ubijać go będą najpracowitsze ręce. Znowu zajaśnieje nam spojrzenie tej odważnej wspaniałości, która nie zna z losem targów. Znowu wydzwoni się refren: więzienie — śmierć...

Nic się nie skończyło.

I gdy, jak Padlewskiego pytał Semeka, zapyta kto tych ludzi nowych: „czy długo trwać

i wytrwać może powstanie?“ odpowiedź znowu
brzmieć będzie: „Póki wojska rosyjskie nie
opuszczą zaboru 1772 roku...”

 Nie spocznie człowiek z pod fali, póki
trwa niewola.

